

Wacław Sieroszewski



MIŁOŚĆ  
SAMURAJA

Wacław Sieroszewski

MIŁOŚĆ  
SAMURAJA

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza  
Warszawa 1990

Opracowanie graficzne  
Teresa Wieczorkowska

ISBN 83-205-4336-3

© Copyright by Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza  
Warszawa 1990

W dalekie dni epoki Genroku tęskniła do piękności ukochanego, którego oglądanie dawało rozkosz równą rozkoszy oglądania kwiatów...

Dziś pod mchem tego starego nagrobku stłalo i wsiąkło w ziemię wszystko, co było nią niegdyś, prócz jej... imienia. Wśród zmian niestałego świata kamień nagrobny również zmurzał, strawiony rosą i dżdżami, zasnuty własnym procnem, tak że mglisto się ledwie zaznacza jego dawny kształt...

Pątniku, małym datkiem pieniężnym pomóż nam zachować istnienie tego nagrobka, a ze swej strony nie pożałujemy my również zabiegów i tkliwości serca...

Albowiem, podtrzymując go, przechowamy dla przyszłych pokoleń wryty na nim napis:

„Dwa ptaki Sijoku, piękne jak okiść wiosenna wiśni, zginęły przedwcześnie, podobne ptakom tego kwiecia, zerwanym wichurą, wcześniej, nim wydały swój owoc”...

Mogiła Sijoku  
(legenda japońska)

Zmrok szybko gęstniał, zwiększany cieniami wysokich skał wąwozu oraz śnieżycą lecącą gęsto z nisko kłębiących się chmur.

Młody wędrowiec zatrzymał się i ukrył na chwilę za węglem urwiska przed wściekłością wichury, dmącej z przełęczy, ku której właśnie się piał. Poprawił na sobie lichą, przemokłą i obszarpaną odzież, strząsnął z niej śnieg i podciągnął pasa, za którym połyskiwały zjadliwym blaskiem drogocenne głównie dwóch samurajskich mieczów. Odetchnął głęboko i przysłuchiwał się chwilę szumowi zamieci, po czym wyrzwał za skałę na zawianą drożynę. Wśród głązów tu i owdzie trzęsły się rozpaczliwie w burzliwym potoku lodowatego powietrza nikłe krzewy i kręte, chore drzewiny górskiej granicy lasów; wyżej piętrzyły się już zupełnie nagie, czarne, z lekka obielone śniegiem złomy opok. Przełęcz nikięła w kłębach białych mroźnych mgieł, zmieszanych ze smugami siekającej ją białej zamieci.

Podróżnik wzdrygnął się i uderzył mocno o siebie przemarzłymi nogami, ledwie przykrytymi resztkami letnich *te-ko* (nagolenników) i obutych w słomiane sandały. Ubiór jego nie był wcale przystosowany do tak trudnej i niebezpiecznej wyprawy. Podkurczył jedną nogę pod przewiane fałdy letniego jedwabnego kimona i stał tak chwilę jak żuraw na czatach. Na młodej twarzy śmiertelne znużenie walczyło z dumnym uporem życia.

Z tamtej strony gór będzie już cieplej... — pocieszał się.

Podkurczył drugą z kolei nogę na zmianę pod fałdy ubrania i mierzył rozdygotane dookoła zwoje straszliwego Smoka Zimy wzrokiem błyszczącym od gniewu i gorączki walki. Wreszcie runął w wichurę, trzymając przed sobą w wyciągniętej ręce gałąź ułamanej jedliny, którą niby wachlarzem próbował ochronić swój podgolony łeb oraz samurajskie włosy od dotkliwych ukąszeń lecących drobinek śniegu...

Chwilami zdawało się, że burza go zwycięży. Oślepiiony śniegiem, potykał się o ukryte w zaspach kamienie, przykłękał, nawet padał. I natychmiast ze zwycięskim poszumem zawiewały go białym całunem lodowe skrzydła zimy. Lecz trwało to nie dłużej nad dwa ludzkie tchnienia: znowu podnosił się i brnął dalej przeciw wrogiemu pędowi. Wyzyskiwał każdy głąz, każdy załom, kryjąc się za nimi; kurczył się i zbierał w sobie, starał



się być wobec nieprzyjaciela jak najmniejszym, niby skradająca się ku zdobycy pantera. Ale siły opuszczały go; zaniedbał już rozcierać śniegiem lub rozgrzewać uderzeniami rąk powierzchnię zaskrzepłych członków, cała skóra wydawała mu się zlodowaciałą, nieczułą skorupą, pod którą z niewymownym bólem wiła się niska struga stygnącej coraz bardziej krwi. Gałąź jodłową dawno już zgubił i nagie ręce, chrzęszczące lodowatymi naramiennikami rękawów, skrzyżował na piersiach, tuląc do nich ostatni swój skarb najdroższy, swoją cudną broń samurajską...

Już nawet dobrze nie wiedział, czy idzie, czy leży, czy czuwa, czy śni, gdyż przywidywały mu się coraz częściej w oddali czarowne ogrody południa, pełne słońca, kwiatów wiśniowych i morskiej woni.

Wtem uderzyła go nagle zmiana: zatrzymał się i otworzył oczy. Stał jak słup lodowy na samej przelęczy; dookoła panowała cisza, z boków piętrzyły się wysokie zaśnieżone szczyty, nad nimi sklepiło ciemne, rzęsiście ugwieżdżone niebo. Po stronie, skąd przyszedł, w głębokim parowie wrzały mgły targane wichurą, a po drugiej — w siną przepaść zbiegała cicha ścieżka. Wydało mu się nawet, że widzi tam w niezmiernych głębokościach górskiej czeluści czerwone iskry ludzkich ogni, poczuł znowu moc w zmarzniętych członkach, uderzył rękami jak ptak skrzydłami i otrząsając z nich lodowe skorupy, szybkim krokiem posunął się ku krawędzi straszliwie zimnego, lecz cichego urwiska, za którym ginęła droga. Mróz otulił go żelaznym uściskiem, miał jednak nadzieję dać sobie z nim radę, gdyż przecież na dole była już wiosna i każdy krok zbliżał go do ciepła i schronień ludzkich.

Byle dostać się do zarośli! — pocieszał się czując, jak kostnieją mu zużone stawy i drętwieje źle okryte ciało. Tarł dłońmi od czasu do czasu policzki i obnażone części rąk, przemykając się chyżo wśród ogromnych skalnych złomów, widmowo rysujących się przy słabym świetle gwiazd pod całunem śniegów. Zdawało się, że nie ma im końca i kresu, że każdy z tych zastępujących mu drogę skalistych potworów lada chwila wyciągnie kamienną łapę, aby na wieki przydusić do ziemi wątłe jego ciało...

Szedł coraz szybciej, chwilami biegł, mocno tupiąc przemarzłymi nogami. Wreszcie wydał cichy okrzyk radości; nie opodał na zboczu występka spod białej zasy ciemna gałązka kosodrzewiny. Szybko pomacał miejsce za pasem, gdzie zwykle nosił kapciuch z hubką i krzesiwo, lecz ich nie znalazł. Ponowił poszukiwania w rękawach kimona i po całym ubraniu. Znikły bez śladu; widocznie zgubił je w popłochu naglej ucieczki. Cóż robić! W każdym razie stąd już niedaleko od granicy śniegów i zimno już nie dokucza tak przeraźliwie.

Jeszcze trochę! Ach, gdyby coś do jedzenia. Choć małą kruszynkę czegokolwiek położyć na ząb!

Uszczknął gałązkę kosodrzewiny i żuł gorzkie, smoliste igły, nie przerywając na chwilę pochodu. Wąwóz z wolna rozszerzał się, zarośla gęstniały i wyrastały coraz wyżej. Ciepły wiew dobiegał z dolin. Lecz siły młodzieńca również wyczerpywały się. Miał nieprzepartą ochotę usiąść choć na

chwileczkę; wiedział jednak, że tego nie należy robić, i przemagał się, ale nogi uginały się pod nim i płatały w rozmiękłym śniegu. Zdawało mu się, że już nie wytrzyma, że padnie, gdy nagle nie opodał na tle ciemnego, wysokiego już lasu, porastającego strome zbocze, błysnęło parę czerwonych gwiazd, błysnęło i zgasło...

Ogień! Ludzie!

Serce zabiło mu jak młotem, ręka oparła się na rękojeści szabli.

Nie ma wyboru! Czy tak, czy owak — zginę!

Wstrząsnął się, wyprostował i z oczami utkwionymi w coraz wyraźniej błyskające czerwone światelka, zbliżał się powoli ku ciemnej kupie budynku, przykrytego wielką kapicą śniegu.

Zajazd albo schronisko drwali! — pomyślał i wszedł śmiało do ciemnej sionki.

## II

Był to prawdopodobnie stary zajazd najniższego rzędu, gdyż wewnątrz obszernej izby dzieliły nie sięgające pułapu przegrody na kilka gwiazdzisto rozłożonych i otwartych ku ognisku części. Pośrodku na niskiej, wielkiej, pełnej piasku i popiołu ramie płonął suty stos rozrzucając wokoło światło i ciepło. Nad ogniem na drewnianych hakach wisiały okopcone kotły i czajniki buchające parą. W kole światła w zwykłej pozie wypoczynku kłęzało pięciu ludzi o twarzach prostackich, o ciałach tęgich, muskularnych, odzianych w gminną, brudną i znoszoną odzież. Bacznie wpatrywali się w kupkę pieniędzy oraz złotych i srebrnych przedmiotów, leżących przed siedzącym po ich środku ospowatym mężczyzną o dzikim, śmiałym spojrzeniu. Doostatniej odziany od innych, wydawał się być tu gospodarzem.

— *So-da!*\* — zachrypiał nagle, zwracając się ku niemu, mieszczący się na prawym końcu elegant z podgolonym po samurajsku łbem, z twarzą młodą, ale przyszczowaną, wstrętną i już pomarszczoną.

— *So-da!* — powtórzył. — Zgoda: pieniądze i klejnoty do równego podziału, ale dziewczyna moja! Pamiętajsz przecie, Ketsu-on, żem sobie to zastrzegł!

— Tak, ale zdobyczy okazało się mniej, niż obiecywałeś! — wycedził Ketsu-on nie patrząc na mówiącego.

— Mniej?! *Chaj!* któż wam winien, żeście źle szukali! Miałem wtedy ręce zajęte dziewczyną. Nie znaleźlibyście i tego, gdyby nie ja... Ja wszystko wyśledziłem, ja wam wskazałem. Przez ćwierć roku, gdy wy piliście i hulali, byłem niewolnikiem, udawałem wiernego sługę mieszczaucha, pracowałem jak wół, nosiłem wiązki drzewa i chrustu, słuchałem cierpliwie wymysłów i napomnień opasłego Irodzują Chitaci oraz docinków jego żony Matsu-san, złej jak osa, a chudej jak konik polny! Żaden z was nie wytrzymałby tam i trzech dni!

— Nie łzyj, Koda! — roześmiał się siedzący obok kudłacz. — Odwiedzałem cię i widziałem, że było ci wcale dobrze, nawet przyszczów ubyło ci na twarzy!

— To od czego innego... czego ty, stary wałachu, nigdy nie zrozumiesz!

\* So-da — tak.

Dziewczyna moja, nie dopuszczę do niej nikogo... Ja pierwszy! — syczał Koda czerwieniąc się z gniewu.

Wszyscy, prócz przywódcy Ketsu, wybuchnęli śmiechem.

— Cicho! — szepnął ten wznosząc rękę. — Ktoś idzie!

Nasłuchiwali chwilę trwożnie, a gdy stuk rozległ się już w samej sionce i po drzwiach zaszugały ręce szukając zaworów, Ketsu przykrył pospiesznie połą ubrania leżące przed nim złoto, a jednocześnie ruchem głowy wskazał groźnie, aby odeszła w głąb izby dziewczyna, która siedziała po drugiej stronie ognia z filiżanką herbaty w ręku. Dziewczyna nie zauważyła zrazu nakazu, gdyż wielkie, piękne jej oczy, ocienione gęstymi rzęsami, były wlepione oczekująco w drzwi. Ślady łez szybko wysychały na jej ślicznych policzkach.

— Ruszaj! Czy słyszysz?! — szepnął z wściekłością Ketsu.

Wtedy dopiero dziewczyna zerwała się i znikła w cieniu za słupem jednej z przegród.

Drzwi otwały się i na progu ukazał się oszroniony, przemarzły młodzieniec z dwiema szablami za pasem.

— *Kom-ba wa!* (Dobry wieczór) — wyrzekł przysiadając w grzecznym ukłonie. — Czy mogę prosić o przytułek?

Chwilę panowało milczenie, młodzieniec czekał wciąż pochyłony.

— Owszem! — odpowiedział wreszcie Ketsu. — Jest miejsce wolne przy ogniu!

Młodzieniec zrobił natychmiast parę kroków i upadł na kolana tuż przy ogniu, wyciągając skostniałe ręce ku dobroczynnym płomieniom. Obecni od razu zauważyli jego opłakany stan, bolesne drżenie ciała, niezmiernie zużycie wyryte na młodym obliczu i z wolna uspokoił się.

— Nasz niezmiernie szanowny gość miał uciążliwą i daleką drogę? — ozwał się uprzejmie Ketsu-on, wsuwając jednocześnie nieznacznie ukryte pod połą pieniądze i klejnoty do obszernych swoich rękawów.

— Tak, istotnie zaskoczyła mnie niespodzianie śnieżycą! Czy moglibyście sprzedać mi trochę gotowanego ryżu? — spytał młodzieniec.

— Wszystko w tym domu należy do ciebie, szanowny! — odrzekł Ketsu, wciągając głośno powietrze. — Jesteś wysoce pożądanym gościem naszym. Za chwilę będzie wieczerza.

Młodzieniec wyjął mały nożyk z futerału mniejszej szabli i zaczął szczyścić nim z odzieży topniejący śnieg i szron.

— Cienkie jedwabie są wyborną odzieżą w ciepłych dolinach — zauważył grzecznie Ketsu, obrzucając badawczym spojrzeniem hafty i herby wyrzające się spod błota i lodowych skorup na kimonie przechodnia.

— Zabłądziłem w lesie — odrzekł wymijająco młodzieniec.

— Jaśnie oświecony książę Inaba pewnie dużo ma wiernych i dzielnych rycerzy...

— Istotnie, jestem samurajem ze świty księcia Inaba! — przerwał dumnie młodzieniec. — Czy to może wam się nie podoba?

— O nie! Bynajmniej, my, skromni leśni drwale, smucimy się jedynie

z obawy, że wkrótce służba twoja odnajdzie cię, wysoce szanowny nasz gościu, i pozbawi nas drogocennej twojej obecności...

— Sary nasz umie gadać! — szepnął śmiejąc się Koda do sąsiada.

— Zanim to nastąpi, dajcie mi jeść! — odrzekł wesoło młodzieniec.

— Wola twoja, panie! Kamussa — zwrócił się do sługi — myślę, że podły nasz ryż już spulchniał i można go ofiarować dostojnemu...

Jeden z drwali zbliżył się do ognia, postawił przed kotłem szereg drewnianych miseczek i jął je napełniać białą dymiącą masą, czerpiąc ją wielką warząchwą spod uchylonej pokrywy.

Ketsu-on uważnie przyglądał się z ukosa twarzy gościa, który daremnie siłił się ukryć bijącą mu z rysów żądzę pokarmu.

— Więc wasza dostojność w ciągu jednej nocy zablądził aż tak daleko od zamku księcia Inaba... Jakże wielka musiała być zamieć i jakże długa musiała być noc! — zaczął znowu słodziuchno Ketsu-on.

— Uzyskałem urlop dla odwiedzenia chorych rodziców — przerwał niecierpliwie młodzieniec.

— To rodzice czcigodnego mieszkają w tych stronach?

— Nie, oni mieszkają... nad jeziorami Biwa, w miasteczku Notogawa...

— Aha, ależ tam prowadzi z zamku Inaba wielka i dogodna droga cesarska...

— Myślałem, że skrócę sobie podróż idąc przez waszą przełęcz.

— Dostojny omylił się, bardzo się omylił... — powtórzył Ketsu-on cicho i znacząco.

— Omyłkę zawsze można poprawić! Jutro rano pomówimy o tym! — odpowiedział żywo młodzieniec łykając pożądliwie ryż.

— Więc czcigodny nie zamierza porzucić zaraz nędznej naszej chaty?

— Tak, mam zamiar tu się wyspać! Wiele bierzecie za nocleg?

— Czy nie za mało będzie dla waszej szczodroblewości pół rijo? \*

— Co, pół rijo? Trzydzieści mommów... Zresztą nie mogę wam dać więcej jak dwa mommy, gdyż więcej nie mam! — odrzekł śmiejąc się młodzieniec.

Zabrał się ochoczo do podanej sobie znowu miseczki z ryżem; wraz z siłami wracała mu pewność siebie, śmiały mi oczami wodził po postaciach obecnych i zatrzymał je nawet dłużej na ospowatej twarzy Ketsu-ona. Ten nie cofnął wzroku, przeciwnie, zachował dalej wyraz starego brytana, śledzącego z łaskawą ciekawością igraszki młodego szczenięcia.

Podróżny wydał wargę i oczy opuścił na miseczkę z ryżem, która, zdawało się, całkowicie chłonęła jego uwagę. Ostrożnym ruchem ręki poprawił jednak swoją większą szablę, która obsunęła mu się cokolwiek na bok. Ketsu-on zauważył ten ruch i dłuższy czas przyglądał się cudnej, złotej inkrustacji na stalowej gardzie drogocennego oręża. Inni śledzili pilnie spod oka zachowanie się ich obydwóch, jedząc zgrabnie ryż dwiema pałeczkami z podanych sobie miseczek.

— Dostojny pan uczyni, jak zechce! Nie może być sporu o wynagrodzenie w tym wypadku... chociaż my, ludzie biedni, utrzymujemy nędzne nasze istnienie z dochodów tej oberży...

— Nie zapomnę o usłudze waszej i odpłacę ją z czasem stokrotnie! — odrzekł z pychą młodzieniec. — Gdzie mam spocząć?

— O, tu! — odrzekł Ketsu-on wskazując na jedną z przegród. — Ale my nie mamy pościeli, jesteśmy zbyt biedni i nie przygotowani na odwiedziny tak zaszczytne!

— Nic nie szkodzi! Ciepło ogniska wystarczy za przykrycie... *O jasumi nasai!* (Dobranoc) — zakończył dwornie, kłaniając się i przepelzając po matach ku wskazanemu miejscu.

Za chwilę kończący w milczeniu wieczerzę mieszkańcy izby usłyszeli jego miarowy oddech.

Ketsu-on dał im znak głową, aby wyszli na zewnątrz.

Rijo — moneta, równa mniej więcej obecnemu jenowi — dwa i pół złotego (przedwojennego).

### III

Blask dogasającego ognia wypełniał wnętrze pustej i cichej izby czerwona mgłą. Potrzaskiwał łagodnie i szemrał żar węgli osuwających się pod ciężarem popiołu i nie dopalonych głowni. Ale nad woszczynami szmerami górował równy i silny oddech śpiącego, którego figura nikła we wzmagających się cieniach izby. Nagle małe tylne drzwiczki otwały się i przez nie wśliznęła się postać dziewczęcia. Chyląc się nisko przy ziemi i chowając poza słupy i przepierzenia, dziewczyna dopełzła nareszcie do miejsca spoczynku nieznanego. Tu zatrzymała się chwilę, jakby niepewna, co ma dalej czynić. Młodzieniec spał głęboko, wyciągnięty na wznak, zarzuciwszy jedną rękę pod głowę, a drugą oparłszy na rękojeści swej szabli; spał czujnie, gdyż przy zbliżeniu się dziewczyny głęboki jego oddech urwał się i zamienił w ledwie dosłyszalny szmer. Oczu jednak nie otwierał i dziewczyna z niepokojem i zachwytem wpatrywała się chwilę w jego drobne, jakby z brązu wyrzeźbione, rysy, z ślicznym prostym nosem, po którego obu stronach na młodzieńcze policzki kładły się długie cienie przymkniętych rzęs. Drobne, świeże, wpółotwarte usta obnażały rąbek białych równych zębów. Dziewczyna nieśmiało wyciągnęła rękę, lecz wahała się, nie wiedząc, jak obudzić młodzieńca, gdy wtem głuchy szum na zewnątrz przynaglił ją — lekko jak motyl dotknęła piersi ledwie przykrytych zmiętym, wilgotnym jedwabiem. Młodzieniec otworzył oczy i usiadł natychmiast.

— Kto tu?!

— Ja... Komurazaki, córka kupca z prowincji Mikawa...

— Czego tu szukasz? Czego chcesz?

— Nie o to chodzi... Musisz się spieszyć! Wysłuchaj mnie... Gospodarz tego domu jest naczelnikiem bandy rozbójników... Porwali mnie z domu rodziców... A teraz na ciebie napaść mają, aby zabrać twą kosztowną samurajską broń... Właśnie umawiają się i kłócą, kto ma pierwszy napaść i szablą oraz woreczkiem twoim zawładnąć. Czekają, aż ogień zupełnie zgaśnie... Śpiesz się, uchodź tymi drzwiami, które prowadzą do składów! Tam ściany niemocne, chruściane, można wyłamać... Zabierz mnie z sobą... błagam... Rodzice podziękują ci... — mówiła głosem drżącym i przerywanym.

Młodzieniec wyprostował się, oczuony zupełnie, ale nie ruszył się z miejsca.

— Dorzuć drzewa na ogień — rozkazał.

— Co uczynić zamierzasz?

— Będę bić się! A ty uchodź, aby cię w walce nie pokrzywdzili!

— Ich dużo, ich dużo! — jęknęła dziewczyna.

Młodzieniec zamiast odpowiedzi spróbował, jak chodzi szabla w pochwie, i powtórzył rozkaz:

— Rzuć drzewa na ogień!

Szmer przy wejściu wzmagął się; dziewczyna szybko odskoczyła, rzuciła garść chrustu na ogień i znikła w cieniu nie domkniętych tylnych drzwi.

Przybysz znowu wyciągnął się na macie i zaczął równo, głęboko oddychać, lecz małe usta miał ściśnięte i spod długich gęstych rzęs błyskały złowrogo szparki czarnych źrenic.

Ostrożnie, skradając się kocimi krokami, wchodzili do izby rozbójnicy z gołymi szablami w rękach. Prowadził ich Koda. Przy przepierzeniu, za którym spał młodzieniec, zbój padł na kolana i na brzuchu, jak wąż, podpełzał ku śpiącemu, wciąż czujnie nasłuchując. Gdy już był blisko, wstał na kolana i szablę uniósł do góry. Nagle straszny cios szabli wyrzuconej z ciemności odciął mu ramię i otworzył pół piersi. Jednocześnie chrust, który skwierczał i syczał nieprzyjemnie na ognisku, buchnął jasnym płomieniem. W jego blaskach przerażeni ujrzeni pod nogami drgającego i buchającego krwią trupa towarzysza, a w głębi opartego plecami o ścianę młodzieńca z lodową smugą migotliwej stali w ręce, wyciągniętej daleko naprzód jak żądło skorpiona.

— Bij-zabij! Kamura, Oguri! Z boków... jednocześnie! — zachęcał towarzyszy Ketsu-on.

Ale ci się nie spieszyli.

— Łuk, łuk! Z łuku go trzeba przeszyć... strzałą! — wołał Oguri.

— Albo dzidą... z za przepierzenia! Pójdę po halabardę! — krzyczał Kamura.

— Ani mi się ważcie! Napadajcie zaraz na niego z za przepierzenia! Nie dajcie mu odetchnąć! Hej! Nomoto, siecz go, pomogę ci! Jak go zabijesz, szabla będzie twoja! Warta co najmniej półtora tysiąca rijos... Czyż doprawdy czterech was boi się jednego szlacheckiego szczenięcia?! Zdradzi nas! To szpieg. Nie może ujść stąd żywcem! — powtarzał z wściekłością Ketsu-on.

Zbójce usłuchali go; dwóch z nich, schowawszy się za przepierzenie, usiłowało stamtąd dosięgnąć młodzieńca końcami szabel. Byli jednak zbyt odeń daleko i musieli mocno wychylić się z za desek. Młodzieniec w gniewie oka skorzystał z niedogodnego położenia jednego z nich, przyskoczył i strasznym ciosem przez łeb położył go na miejscu, po czym natychmiast wrócił do dawnej obronnej pozycji. Nomoto, przerażony śmiercią towarzysza, uciekł. Na placu został jeden Ketsu-on i młodzieniec już gotował się wyskoczyć ze swego ukrycia i zaatakować go, gdy z tylnych drzwiczek wypadł Oguri, wlokąc za sobą długą i ciężką halabardę.



— Tym go dobijemy! — wołał. — Tym go dobijemy! Łuków nie można użyć... Ktoś przeciął cięciwy...

— *Chaj!* Na pewno dziewczka! — ryknął Ketsu-on. — Rozprawimy się z nią, jak z tym skończymy! Dalej, Oguri, kluj go z tej strony, a ja z drugiej wraz z Nomotą! Nie dopuścimy, żeby ci uciekł!

Młodzieniec w tej samej pozycji czekał spokojnie na atak, tylko rozdęte nozdrza mu falowały i drapieżny skurcz górnej wargi obnażał od czasu do czasu ściśnięte kły. Zdawało się, że nie patrzy wcale w stronę sierpu halabardy, skierowanemu ku niemu z za przepierzenia. Skoro jednak mordercza błyskawica mignęła stamtąd, odbił ją mistrzowskim ruchem szabli, a jednocześnie skoczył jak pantera i ciął Oguri po ręce nieostrożnie wysuniętej wraz z długim drzewcem. Oguri zaczął beczeć rozpaczliwie jak zarzynany kozioł leśny. Wtedy przybysz otwarcie wyskoczył z przegrody i zaatakował Nomoto i Ketsu-ona skupionych w jednym kącie. Pierwszy z brzegu znalazł się Nomoto, niedoświadczony młody wieśniak, który oszołomiony szybkimi ruchami przeciwnika, przerażony wszystkim, co się stało, po pierwszych złożeniach zaczął zaraz błagać nieznanego, aby darował mu życie.

— Rzucie broń... obaj! I na kolana! — wołał samuraj nacierając na nich.

— Rzuć broń, Ketsu on — błagał Oguri wśród szczyku szabel. — Nie widzisz, że ten czart pożre nas wszystkich?!

Ale Ketsu-on cofał się roztropnie ku drzwiom i szabli nie rzucał.

— Gdy będziemy bez broni, na pewno nas zabije! — dowodził.

— Już mnie zabił! — jęknął Oguri padając na ziemię.

Ketsu-on wyskoczył za drzwi.

Samuraj przesadził rannego przeciwnika i wypadł za Ketsu-onem. Ten już był na drodze.

— Popamiętasz nas jeszcze, przeklęty szlachecki rzeźniku, gnębicielu chłopów! Jeszcze się policzymy... Odszuka cię Ketsu-on, choćby się schował pod ziemię, odszuka i pozna po twojej małej mordzie i równych białych zębach! Nie wykręcisz się!

Młodzieniec rzucił się za nim, lecz zbój uskokzył w gęstwinę i zginął wśród ciemnych zarośli, nasiąkających modrym rozbrzaskiem zbliżającego się dnia.

Samuraj nie odważył się zagłębiać dalej w las i wrócił do izby. Tam na progu spotkała go na kolanach Komurazaki. Cała pochylona nisko, w poddańczym ukłonie, z rękami opartymi na matach tuż u nóg zwycięzcy, czekała pokornie.

— Sługą twoją jestem, panie! Uczynię, co każesz, i pójdę, dokąd każesz, ale najlepiej uciekaj zaraz stąd i zabierz mnie z sobą, albowiem główny uszedł. Dużo ma współników i mogą wrócić.

— A tutaj nikogo więcej nie ma prócz tych? — zapytał samuraj, wskazując końcem szabli na leżące trupy i rannych.

— Nikogo. Śpiesz jednak, panie, śpiesz się, gdyż bardzo są mściwi!

Młodzieniec nie odpowiedział. oparł dumnie nogę na piersiach Koda

i starannie wycierał swą okrwawioną klingę połą ubrania. Obejrzał jej ostrze pod światło, wreszcie wsunął ją w pochwę i zatknął za pas. Cały ten czas dziewczyna klęczała przed nim, pochylona w najniższym z ukłonów, jaki oddaje się rodzicom i przełożonym.

— Istotnie odejdziemy! — rzekł wreszcie. — Ale przedtem zjemy śniadanie i przygotujemy sobie pożywienie na drogę...

Dziewczyna podniosła się i zaczęła posłusznie podkładać ogień pod czajnik z herbatą. Samuraj obejrzał zabitych, odepchnął nogą na stronę ich ciała, a rannym kazał zebrać się w głębi za jedną z przegród.

— Należałoby ich zabić. Mogą mnie wydać... — rzekł z namysłem do dziewczyny, siadając wreszcie przy ogniu.

— Nie, nie zabijaj ich, szlachetny panie! I tak zostali kalekami na całe życie... A cóż złego mogą powiedzieć o tobie? Mogą tylko zaświadczyć, że walczyłeś w obronie własnego życia.

Młodzieniec potrząsnął głową.

— Ludzie są źli! Będą przez zemstę kłamać.

— Wtedy ja choćby życiem swoim zaświadczę o prawdzie słów twoich...

— Już dobrze, daruję im życie, skoro o to prosisz. Ale pośpiesz się, abyśmy rychło stąd odejść mogli. Zabiorę im tylko obuwie i odzież, gdyż moje bardzo się zdarły. To będzie mój łup...

— Nic, nic nie bierz od nich, panie! Aby nie mogli oskarżyć cię, że w tym celu ich napadłeś i pomordowałeś. Weźmy tylko to, co oni zrabowali u nas, co należało do moich rodziców... Mała częśćka tego wystarczy na kupno doskonałego obuwia i odzieży, skoro zejdziemy stąd w zamieszkane doliny. Ale nic więcej nie weźmiemy stąd ponad to, gdyż wszystko to zrabowane jest u innych ludzi. Gdyby właściciele poznali coś u nas, posądzono by nas o współudział w grabieży. Właściwie należałoby dać znać zastępcy dajmiosa o wypadku i wskazać mu ukryte skarby, aby odnalazł pokrzywdzonych.

— Zastępcy dajmiosa? Nie... Nie mogę zwracać się do policji. Jestem ronin \*! — odrzekł z dumą młodzieniec.

— Zrobimy zresztą, jak radzisz, gdyż mówisz rozsądnie — zwrócił się do dziewczyny. — Weźmiemy tylko to, co należało do twoich rodziców i... pójdziemy do nich!

Radość błysnęła w aksamitnych oczach Komurazaki.

— *Arigato!* (Dziękuję!) — szepnęła chyląc się znowu nisko przed samurajem. — *Arigato!* Szlachetny panie...

Ronin — człowiek fala, człowiek bez miejsca, rycerz błędny, szlachcic pozbawiony stanowiska społecznego, lecz zachowujący przywileje urodzenia. Powieść powyższa osnuta jest na tle legendy japońskiej z XVIII wieku, z czasów upadku feudalizmu.

#### IV

Szli wciąż na dół drożyną ledwie dostrzegalną wśród zielsk, krzewów, błot, kępisk i osypisk kamieni, wyścielających dno wąskiej górskiej doliny. Śniegi dawno już znikły, uciekły w górę, bieląc jedynie czuby wznoszących się z obu stron szczytów. Nikły początkowo ponik zamienił się na srebrny szeroki potok, wesoło szumiący wśród skalistych złomów, zielonych od mchów i porostów.

Szli ku wiosce. Wprawdzie otaczały ich jeszcze wyłącznie czarne, bezlistne gałęzie przedwiośnia, rude, jesienne badyle i zmięte, blade, zimowe trawy, lecz w twarze wiał im już z dołu ciepły, pachnący wietrzyk, budząc w sercach radosne, niespokojne drżenie.

Na przedzie szedł ronin, rzucając daleko przed siebie i wokół badawcze spojrzenia, a za nim dreptała Komurazaki, niosąc sakwy z pożywieniem, pieniędzmi i odebranymi rzeczami. Sakwy były ciężkie i dziewczyna nie mogła nadażyć za młodzieńcem. Ten zatrzymywał się często, zapalał maluchną fajeczkę, czekał na towarzyszkę, a skoro się zbliżała, ocierał rękawem cybuszek i podawał go dziewczynie. Ta przysiadła natychmiast na piętach, chciwie paliła i wyczywała przez chwilę.

— Niepokój życia osłabił mnie... Nie byłam w stanie nic jeść, żyłam samą herbatą — tłumaczyła się nieśmiało.

— Wiesz co: oddaj mi swoje sakwy... Choć mnie nie znasz, wierz mi, że nie ucieknę i nie zostawię cię samej w tym lesie! — rzekł wreszcie wesoło młodzieniec.

Zarumieniła się i spojrzała nań z wyrzutem, wnosząc motylim ruchem ku górze swe gęste rzęsy. Stał przed nią wyprostowany, rześki, wypoczęty, jakby doszczętnie opłukany z przebytych trudów i cierpień przez nową falę napływającej radości.

— Nie mów tak, panie! Czyż wszystko nie należy do ciebie, nawet ja sama, którą wybawiłeś od śmierci i hańby!

— Cóż miałem robić? Bronilem się, a ciebie wybawiłem jeno wypadkiem. Więc dziękuj wypadkowi. Zresztą daleko jeszcze do końca. Wiesz co? Słyszę, że niedaleko szumi wodospad, zatrzymamy się tam, rozpalimy ogień, wypoczniemy i napijemy się herbaty.

Dziewczyna zgodziła się z radością i zaraz powstała. Młodzieniec musnął wzrokiem jej nagie stopy, małe, zgrabne, widocznie nie przyuczone do dalekich podróży, teraz brzydko zbrukane i pokrwawione. Silną ręką zdjął z jej ramion sakwy i przerzucił na swoje plecy.

— Gdyby na nas napadli — pouczał ją z męską wyższością — nie płacz się koło mnie! Zabieraj sakwy i chowaj się za pień drzewa, za skałę... Już ja sobie dam radę!

Miejsce, gdzie zatrzymali się, było cudne. Uplaz doliny, po którym szli, urywał się i czarna skała, niby olbrzymi próg, opadała stromo na sinawą otchłań. Burzliwy potok staczał się z ostrego zrębu jednolitą srebrną strugą, jęcząc jak napięta struna, i dopiero na dnie przepaści rozpylał się w mgłę bryzgów z przeciągłym jękiem. Rosnące na krawędzi drzewa i krzewy, jakby wabione tym jękiem, pochylały się ciekawie nad bezdnią. Tam w oddali widniały polany i lasy już osnute delikatną zielenią, błyskała w słońcu złotem kręta rzeczulka, a z obu stron wznosiły się szeregi gór, rozstępujących się łagodnie, spowitych śniegami u szczytów, z błękitnym tumanem u stóp. Widać tam było już wyraźnie drogę przecinającą zarośla i szuwary bambusu wzdłuż brzegów rzeczki, a pod skalnym wiszarem, zamykającym z jednej strony dolinę, czerniał nawet lichy wiejski mostek.

— Zejść dla wypoczynku na dół byłoby bezpieczniej, ale tu jest ładniej... Zostaniemy więc tutaj, co? — spytał ronin dziewczyny.

Zgodziła się z radością.

Zaczął układać z płytek kamienia miejsce na ognisko oraz krześć ogień, a dziewczyna zajęła się zbieraniem suchego chrustu. Po drodze znalazła kilka pierwiosnków, które wetknęła do włosów, i jedną konwalię — rzadkość w Japonii, którą z triumfem przyniosła towarzyszowi. Wkrótce złoty ogień buchał wesoło pod pękatym czajnikiem ustawionym na dwóch ułamkach lawy. Chłopak i dziewczyna siedzieli naprzeciw siebie, nie odrywając oczu od ślicznego krajobrazu, i czekali, aż zakipi woda. Wtem ronin rzucił spojrzenie na dziewczynę siedzącą z opuszczoną głową, wziął gładką płytkę kamienia, nadrapał na niej pospiesznie nożykiem parę hieroglifów i podał jej nieśmiało.

O, cudny kwiecie wiśniowy!  
Zrzuć ciężkie myśli z swej głowy  
Na serce przyjaciela...  
I niech nas nic nie rozdziela,  
Gdyż nie ma on już na świecie  
Nikogo, prócz ciebie, cudny kwiecie!

— O, tak! Tanka Gojozona... Wiśnia z góry Omine... Ale to daleko od nas, to w Jamato! Gojozon wielki poeta! — odrzekła z grzecznym uśmiechem.

Wzięła nożyk i próbowała naskrobać odpowiedź, ale jej nie szło, nóż ślizgał się po twardym kamieniu i psuł litery, wreszcie z trudem wyryła:

W wąwozach gór,  
Purpurowy depcząc listopad,  
Ryczy jeleń samotny...



— O, tak! To Saru-Mary! — żywo odpowiedział i wzięwszy nóż dopisał:

Tęskny ryk jego mówi mi  
O przedwczesnej mojej jesieni...

Podał jej z kolei płytkę, aby przeczytała.

Tak zabawiali się, niby rycerz i dama na dworze księżęcym, zapomniawszy o niebezpieczeństwie i niedawnych strasznych przeżyciach. Szczęściem zakłapał czajnik i przywołał Komurazaki do jej obowiązków. Naląła dwie lakowe czarki aromatycznym płynem i postawiła je obok siebie na zapisanym wierszami kamieniu.

Pod pozorną jednak beztruską ukrywali wzajem przed sobą wzrastający niepokój. Samuraj coraz częściej spoglądał na ścielące się w dole zalane słońcem niziny.

— Wkrótce znajdziemy się wśród ludzi, więc przedtem chcę ci powiedzieć, w jaki sposób stałem się roninem, abyś mogła zastanowić się nad tym, czy będziemy nadal przyjaciółmi, czy tylko... towarzyszami podróży! — rzekł wreszcie z szorstką prostotą.

Dziewczyna zarumieniła się mocno, opuściła powieki, po czym zbladła, usta jej zadrżały, a małe kształtne piersi zaczęły mocno falować pod składkami szarego kimono. Choć włosy jej były w nieładzie, twarz wychudła i szcerniała, ubranie brudne i porwane, wydała się samurajowi przepiękną w tym nagłym wzruszeniu.

— Nie chcę, nie mów mi! Proszę cię, panie! Dla mnie i rodziców moich zawsze będziesz moim wybawicielem!

— Musisz jednak wiedzieć, gdyż musimy wspólnie ułożyć, co odpowiedzieć spotkanym i ciekawym. Jak zapisać się w hotelach? Co odpowiadać policji? Ty również musisz mi opowiedzieć wszystko o sobie...

— Dobrze, panie! Prawie że wszystko opowiedziałam ci już. Pochodzę z prowincji Mikawa... Ojciec mój ma skład porcelany w miasteczku Tojohaszi, co leży na wielkiej drodze Tokai-do, gdzie ona podchodzi do samego brzegu morza, aby stamtąd zawrócić w głąb lądu, ku jezioru Hamanako. Dobrze nam się powodziło. Mieliśmy własny dom z ogródkiem i wielki skład przy głównej ulicy... Aż ojciec potrzebując do pomocy służącego, gdyż sam już się starzeje, ma słabe serce i ciężki oddech, najął tego obrzydliwego Koda...

— To ten pierwszy, co napadł na mnie? — spytał młodzieniec.

— Tak, ten! Widziałam przez uchylone drzwi, że on pierwszy rzucił się na ciebie.

— Składał się szablą niezgorzej, wcale nawet dobrze jak na chłopca.

— Mówili o nim, że pochodzi z samurajów. A sam się przechwalał, że dziad jego był doradcą dajmiosa Kobori, towarzysza wielkiego Hidejoszi. Kto to wie? Trochę miał więcej od innych ogłady, był bardzo dumny i ustępował tylko naczelnikowi Ketsu. Ciągłe były między nimi spory i to mnie... ocalało! — dodała, rumieniąc się ponownie.

Umilkła i naląła czarki herbaty. Błyszczący wzrok samuraja mieszał ją i niepokoił.

— Więc cóż ten Koda? — spytał po chwili milczenia młodzieniec.

— Koda okazał się doskonałym służącym, pilnym, pracowitym, roztropnym i wydawał się ojcu i matce bardzo oddanym i wiernym. Ja tylko od razu poczułam do niego wstręt i nieufność... Wszyscy się śmiali, gdyż on był dla mnie bardzo dobry i usłużny. Nie mogłam się jednak do niego przekonać... Te jego oczy okropne, zaropiałe i zielone jak u węża... Dotąd je widzę...

Zakryła twarz rękawem kimona.

— Cóż dalej?

— Pewnej nocy obudził nas jakiś hałas. W domu pełno było zbrojnych ludzi, chodzących jak cienie i świecących sobie latarkami nakrytymi czarnymi kapturami. Ojciec jęczał bity, nie chciał wskazać, gdzie pieniądze. Dopiero matka powiedziała: lepiej oddać pieniądze... niż życie, i poprowadziła ich do kryjówki. Wtedy Koda przyskoczył do mnie, narzucił mi na głowę jakąś tkaninę, powalił i zaczął wiązać... Broniłam się, lecz pospieszył mu na pomoc jeszcze jeden zbój. Porwali mnie i wynieśli. Poznałam na szumie, że biegli w stronę morza. Istotnie wkrótce rzucili mnie na dno łodzi... Niedługo przybyła reszta z hupami. Zepchnęli łódź na wodę. Jak długo płynęliśmy i w jaką stronę, nie wiem, gdyż cały czas nie zdejmowali mi zasłony z głowy... Znowu w nocy przybiliśmy do jakiejś małej, skalistej zatoki, skąd z wielkim trudem wdrapaliśmy się na górzysty brzeg. Musiałam iść, gdyż bili mnie bambusowym prętem... Zresztą było mi wszystko jedno... Myślałam o rodzicach, z którymi nie przypuszczałam, że się kiedy zobaczę, gdyż zapewne umrą z rozpacz i nędzy... Zabrano im całą niezbędną w handlu gotówkę...

— Na pewno żyją, pomogli im sąsiedzi. Pamiętam ten rozbój, nabrał rozgłosu na całej Wielkiej Wyspie. Sam Sziogun podobno kazał cię szukać.

— To rodzice pewnie dotarli aż do stóp tronu! — ucieszyła się. — Lecz cóż: nic by nie pomogło, zginęłabym, gdyby nie ty, panie!

— Nie mówmy o tym. To był szczęśliwy zbieg okoliczności i nie ma w tym mej zasługi. Wszedłem, bo myślałem, że to oberża. Zresztą wszedłbym do każdego domu, gdyż umierałem z głodu i zimna. I tobie również dużo zawdzięczam. Zabiliby mnie we śnie, gdybyś nie ostrzegła mnie, a potem nie przecięła cięciwy u łuków.

— Skąd wiesz?

— Oskarżali cię o to ci zbroje, walcząc ze mną. Wszystko więc, mam nadzieję, skończy się dobrze. Już odzyskałaś stracony majątek, wracasz do domu, gdzie czeka cię radość rodziców. Jakże się cieszę, że znowu będziesz jak dawniej szczęśliwa!

— Nie, nie! — przeczyła cicho dziewczyna. — To już nie wróci. Dotknięcie zbrodni wypala wieczny ślad. Kto uwierzy w ten cud, że zostałam czysta?!

Młodzieniec jakby puścił mimo uszu jej uwagę i ciągnął dalej:

— Dziękuję ci za opowieść! Teraz muszę ci powiedzieć, kto ja jestem. Nazywam się Sirai Gompaci. Ojciec mój dzierżawił mały mająteczek dajmiosa Inaby i oddał mnie, kiedy minęło lat czternaście, na dwór księcia, abym służąc za pazia kształcił się jednocześnie w szkole rycerskiej w fechtunku oraz naukach potrzebnych samurajowi. Uczylem się już dwa lata. Książę mnie lubił i wyróżniał. Często mnie brał za podbródek i mówił: „Pięknym jesteś chłopakiem, ale nie szukaj chluby ze swej urody, musisz być przede wszystkim szlachetny i mądry”. Pragnąłem bardzo takim zostać. Za postępy w naukach książę podarował mi to jedwabne kimono, na którym widzisz jego herby.

Wskazał dumnie na wyszyty na rękawie znak.

— Nie znam się na herbach! — szepnęła nieśmiało dziewczyna.

— Wszyscy mnie lubili. Księżna też mnie lubiła, a nauczyciel fechtunku mówił mi nieraz, że mogę zostać z czasem znakomitym człowiekiem, pierwszym w Japonii szermierzem. Nie lubił mnie tylko mój kolega Zempaczi, gruby i tęgi syn naszego bogatego sąsiada. Był mocniejszy ode mnie i wciąż mnie przedtem bijał i dokuczał, ale ja lepszym od niego okazałem się rębaczem. Kiedy ostatniego roku przyjechałem do domu na urlop z pierwszą nagrodą z fechtunku i z jedwabnym kimonem, podarowanym przez księcia, ojciec mój aż zapłakał z radości. Bardzo mnie pieścili rodzice tego lata i sąsiedzi zjeżdżali się wieszować rodzicom, podziwiać moje kimono i nagrodę szkolną.

Nie przyjechał tylko Zempaczi... Przeciwnie, syn jego rozpuścił po okolicy plotkę, że jestem „malowaną lalką” i że dostałem nagrodę nie za zasługi, lecz za urodę. Takim był Zempaczi. Ojciec mówił mi, żebym nie sprzeczał się z nim, nie kłócił, żebym, przeciwnie, był z nim niezmiernie grzeczny, a dowiódł fałszu jego gadania czynami. Obiecałem sobie, że tak zrobię, że zawsze będę pierwszy we wszystkim. Kiedy wyjeżdżałem z powrotem na dwór księcia, ojciec w chwili rozstania wydobyl z domowego skarbczyka dobrze mi znane pudło lakowe. Tam, owinięta w żółty delikatny jedwab, leżała ta cudna broń, którą widzisz na mnie. „Synu — rzekł ojciec — to jest nasza rodowa, dziedziczna broń, przedziwnej roboty Muramasa! Masz już szesnaście lat, sprawuj się dobrze i mogę ci ją powierzyć. Pamiętaj jednak: nie wydobywaj jej nigdy na próżno z pochwy. Zastanów się dobrze, zanim to uczynisz, gdyż raz wydobyta musi wrócić na swoje miejsce zboczona krwią! Rozumiesz!” Padłem ojcu do nóg, dziękowałem za bezcenny podarunek, przysięgałem nie naruszać nigdy prawdeł *Buszido*\* i godnie używać broni, w której żyją dusze mych przodków... Wróciłem na dwór i wszyscy podziwiali starą, kosztowną broń. Nawet sam książę ją oglądał, a ponieważ, pokazując, wyjąłem ją nieostrożnie całą z pochwy, przeto przed włożeniem na miejsce zaciąłem się w ramię, aby stało się zadość duchowi szabli. Książę pochwalił mnie głośno za przestrzeganie starych zwyczajów i jeszcze mnie więcej wyróż-

niał. Jeden Zempaczi niecierpki był broni, spoglądał na nią z daleka i uśmiechał się złośliwie. Byłem z nim bardzo grzeczny, lecz nie gadaliśmy wcale. Aż pewnego razu, przechodząc mimo bramy fortecznej, usłyszałem psie piski i warczenie, a potem szczucia i głośne śmiechy ludzkie. Poznałem zaraz głos Zempaczi i zląkłem się, że on pewnie puścił na mego małego, słabego, młodego szczeniaka, podarowanego mi przez księżną, swego tłustego, starego psa. Istotnie, w bramie grupka paziów i dworzan otaczała gryzące się psy, w których od razu poznałem mego szczeniaka i brytana Zempaczi. Sam Zempaczi stał rozkraczony nad gryzącymi się psami i śmiał się swoim najgrubszym śmiechem, zadowolony, gdyż jego pies był na wierzchu i mocno tarosił mego. Wtedy przyskoczyłem i starałem się uchwycić za kark psa Zempaczi, aby odrzucić go precz, lecz Zempaczi schwył mnie za rękaw kimona i powiedział: „Nie pozwalam, niech walka rozstrzygnie, kto z nich lepszy...” „Wcale walki nie życzę sobie i nie pozwolę twemu dziakiemu psu rozszarpać mego wiernego szczenięcia!” „A ja zabraniam ci się mieszać! Twój zaczął!” — odrzekł Zempaczi. Wtem szczeniak mój żałośnie zapiszczał, schwycony za gardło. Odepchnąłem Zempaczi i porwawszy za skórę na grzbiecie jego psa, cisnąłem go daleko. Przewrócił się wielokrotnie i uciekł, skowycząc, wywołując powszechny śmiech. Wtedy Zempaczi uderzył mnie. A dalej nie wiem, co było... Zrzuciłem kaptur z rękojeści...\* Duch szabli Muramasa opętał mnie... Gdym przyszedł do siebie, Zempaczi leżał na ziemi z obnażonym mieczem w dłoni i straszliwie rozciętą głową. Widziałas sama moje Muramasa w robocie! Nie było ratunku... Zempaczi natychmiast wyzionął ducha. Nie ujęto mnie. Wyrwałem się. Może nie chciano mnie ująć, gdyż wiedziano, jak stała sprawa i po czyjej stronie była sprawiedliwość. Ale prawo mnie ściga. Uciekłem, jak stałem. Zostałem roninem, człowiekiem falą, bez domu, bez miejsca, bez praw, bez krewnych i przyjaciół... Do rodziców wrócić nie mogę, gdyż tam złapią mnie wysłańcy księcia Inaby albo zabiją krewni Zempaczi. Nawet pisać do rodziców nie mogę, żeby nie zdradzić, gdzie się ukrywam. Wrócić mógłbym z twarzą odkrytą do ludzi, do rodzinnego gniazda, do kolan matki i ojca jedynie wtedy, gdybym został znakomitym człowiekiem, gdybym się zaślubił wielkimi czynami. Więc dlatego spieszę do Jeddo. Tam zaciągnę się do wojsk jakiegoś z północnych lub wschodnich dajmiosów, gdzie są dzikie bestie i dzikie plemiona, gdzie grasują rozbójnicy, gdzie się można odznaczyć. Albo może wybuchnie na moje szczęście wojna.

Mówił pod koniec urywanymi zdaniami, pobladły i wzburzony wspomnieniami. Dziewczyna wpatrywała się w niego jak w tęczę, nie mniej wzruszona od niego.

— Najgorzej żal mi rodziców, gdyż mają mnie jednego! — dodał cicho.

— Wrócisz, na pewno wrócisz! Czyż nie uczyniłeś już wiele, zabijając rozbójników? Poradzimy się mego ojca, on powie, czy nie można już podać

\* Na drogiej rękojeści broni, dla ochrony ich, rycerze japońscy nakładali kaptury jedwabne lub skórzane.

prośby do Gorodziu\* albo do samego Szioguna. On zna już tę drogę, gdyż starał się o mnie! — pocieszała go Komurazaki.

Gompaci zrobił przeczący ruch ręką, ale grzecznie przemilczał.

— Ha, czas w drogę! Zagadaliśmy się! — rzekł wreszcie, rozglądając się po okolicy. — Więc jakże pójdziemy? Jak powiemy ludziom, kto jesteście?

— Jesteś szlachcic, rycerz, ja skromną jestem mieszczanką. Powiesz więc, że jestem twoją służącą...

Gompaci roześmiał się.

— Temu nikt nie uwierzy. Powiem raczej, że jesteśmy bratem i siostrą. Nazywamy się Ri-dzo z prowincji Harima. Zabłądziliśmy w lesie, idąc w pielgrzymce na Fudzi-san, ślubowanej przez ojców naszych. Pamiętaj!

— Będę pamiętała! — odszepnęła cicho.

Spojrzała ze stłumionym westchnieniem poza siebie na przebyte tylko co dzikie wąwozy i leśne ostępy, po czym zaczęła starannie gasić ogień, uderzając po głowienkach patyczkiem i zasypując je popiołem.

---

Gorodziu — Rada Najwyższa.

## V

Schodzili na dół śliską, wilgotną, dobrze wydeptaną ścieżką. Ciepłe, wonne powietrze, niby kąpiel cudowna, ogarniało stopniowo ich młode ciała, nękanie dotychczas zimnym wiatrem i wilgocią górskich mgieł. Gdy stanęli na mostku, drżącym od uderzeń w jego słupy spienionej rzeczki, zapach rodzimych kwiatów i dymów wypełnił im nozdrza. W oddali widać było szeregi domów na tle złotego zachodu. Wokoło szumiąły potoki wody śniegowej, spływając kamiennymi żłobami lub korytami z rozłupanych bambusów do wielkich rowów, pełnych mętnej, kłębiącej się wody. Droga równa, gładka, prowadziła wśród niw obsychających i czarnych pól. Towarzyszyły jej nierównymi rzędami drzewa i krzewy, mieszając ciemną zieleń sosen, tuj i kryptomerji z bladą zielenią zaledwie rozwijającego się listowia klonów, orzechów, kasztanów. Zbliżając się do pierwszego domostwa, młodzi podróżni zatrzymali się z drżeniem zachwytu przed paroma drzewami wiśniowymi, obsypanymi pianą różowego kwiecia.

— Tu zanocujemy! — szepnęła Komurazaki. — Dalej iść już nie mogę...

— Więc pamiętaj: nazywamy się Ri-dzo i jesteśmy bratem i siostrą.

Domek wyglądał skromnie, nawet ubogo. Gompaci wszedł do maluchnej sionki z plecionych prętów bambusnika, nakrywającej wiodące do izby schodki, i zapukał do drzwi.

— Zbłąkani pielgrzymi proszą o przytułek na noc! — wymamrotał nieśmiało.

— Dwa *ri*\* dalej macie oberżę! — odrzekł głos zza uchylonych drzwi.

— Siostra iść dalej nie może, zmęczyliśmy się bardzo... Idziemy aż od górskiej przełęczy...

— *Uru-sai!* Cóżście tam robili?

— Zabłądziliśmy w czasie śnieżycy!

— W takim razie zaczekajcie! Zaraz wam podamy wody gorącej do nóg.

Niezadługo młodzi podróżnicy po raz pierwszy od tak dawna zanurzyli poranione, obolałe i zabrukane nogi w kojącą, gorącą kąpiel. Przyglądała im się uważnie, stojąc na najwyższym stopniu schodów, młoda kobieta

---

*Ri* = 36 czo = 1/2 naszej mili (ok. 3,7 km).



w wieśniaczym ubogim stroju. Pucowałaty, półnagi chłopak wychylał się spoza fałdów matczynego kimona.

— O, miłosierny Butsu! Więc błędziście w takim ubraniu wśród śniegów! A rozbójników nie spotkaliście? Bo powiadają, że tam są rozbójnicy — dopytywała się gospodyni.

Gompaci odpowiedział coś niewyraźnie; ale kiedy po umyciu nóg wpełzł nareszcie do chaty i usiedli na matach przed ogniskiem, zaczęła się prawdziwa indagacja ze strony dwóch wieśniaków palących tam fajeczki.

Ronin musiał bardzo się pilnować, aby nie wpaść w sprzeczność z geografią kraju i szczegółami własnego opowiadania. Komurazaki rumieniła się i bladła słysząc, jak śmiało i zręcznie kłamał. Wieśniacy spoglądali wciąż nieufnie na szablę samuraja i udawali, że wierzą.

— Uciekamy dziś w nocy! — szepnęła Komurazaki, wyciągając się wkrótce po wieczerzy w pobliżu ognia obok rzekomego brata i podtykając sobie i jemu pod głowę węzełek.

— Przenigdy! Schwytano by nas zaraz i wydałoby się wszystko. Pięniądze i klejnoty, które niesiesz, zgubiłyby nas ostatecznie!

Noc upłynęła spokojnie, a gdy nazajutrz Gompaci zaofiarował gospodyni małą srebrną monetę z tysiącem grzecznych omówień, oblicze wieśniaka rozpodziło się zupełnie, zapłaty przyjął nie chciał, a w zamian zasypał młodych podróżników nieskończoną ilością rad i wskazówek co do dalszej ich wędrówki. Wskazał im nawet dom swego krewnego w wiosce odległej o dzień drogi, gdzie mogliby zatrzymać się na noc.

Gompaci wciąż przysiadł i wciążął mocno powietrze, jak każe grzeczność, ale skoro znalazł się sam z Komurazaki na gościńcu, rzekł stanowczo:

— Zrobimy zupełnie na odwrót: w pierwszym miasteczku kupimy sobie ubranie, żeby zmienić powierzchowność, i pójdziemy w bok, aby prędzej wyjść na wielki Trakt Cesarski. Tam łatwo utoniemy w tłumie ludzi!

Tak też zrobili.

Za kilka rijosów nabyli w sklepie bławatnym przyzwoite gotowe kimona oraz dwie pary mocnych sznurowanych sandałów podróżnych. Górską ścieżyną przedostali się do sąsiedniej doliny, przez którą przechodziła Droga Cesarska, i zatrzymali się w czystuuchnym hoteliku, gdzie kazali sobie przede wszystkim przygotować gorącą kąpiel, jakiej pozbawieni byli już tyle czasu. Komurazaki wieczór cały spędziła u fryzjera, który miał wiele kłopotu z jej zaniedbaną fryzurą. Gompaci przez ten czas siedział zamknięty w swoim pokoiku i cicho liczył pieniądze: mieli półtora tysiąca rijos srebrnych pieniędzy i trzy razy tyle w złocie i drogich kamieniach. Chłopak nie widział nigdy z bliska takiej sumy i wydawała mu się skarbem nieprzebrany.

— Za to można by nawet konia kupić i dojechać do samego Jeddo! — wykrzyknął półgłosem, ale rychło się opamiętał i powiedział sobie żartobliwie: „Zapominasz, chłopcze, że pieniądze nie są twoje i że szpiedzy Zempaczi zaraz by cię zauważyli i poznali. Rysopis twój na pewno już roze-

ślany wszędzie. Nie wiem nawet, czy nie lepiej kupić wielki kapelusz ronina z frędzlami, aby ukryć pod nim swą twarz”.

Rozmyślał i wahał się długo, aż usłyszał wreszcie, że wróciła Komurazaki, i ostrożnie zastukał w parawanik oddzielający jej pokój od jego.

— Chciałbym się poradzić ciebie — zaszeptał cicho, odsuwając papierową przegrodę — czy nie należałoby mi włożyć kapelusza ronina z nalicznikiem kryjącym twarz? Na drodze zbyt dużo przechodniów.

— W takim razie lepiej zawróćmy na boczne ścieżki.

— Tam znów trudno wytłumaczyć cel naszej podróży.

— Tak, to prawda!

Dziewczyna zamyśliła się głęboko.

— Doprawdy, nie wiem... Boję się tylko ogromnie, wciąż się boję, życie całe bać się już będę! Czy nie lepiej, abys ukrył swoje szable?

Chłopak spojrział na nią przeciągle i roześmiał się głośno:

— Nie, tego za nic nie zrobię! Ale ty nie masz się czego bać. Jeżeli zginę, to ja... Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Pójdziemy otwarcie, jak szliśmy dotychczas. I niech się spełni nasz los. Czuję, że jeszcze zaraz nie zginę, że wielkie mnie jeszcze czekają sprawy. Śpij spokojnie! Jutro ruszamy o świcie. Dobranoc!

Zasnął przepierzenie, położył się i natychmiast usnął.

Ale Komurazaki długo nie spała; przysłuchiwała się miarowemu oddechowi młodzieńca, wspominała jego słowa i spojrzenia, rozmyślała o niedalekim spotkaniu z rodzicami. Serce jej biło nierówno i gwałtownie.

Gdzieś niedaleko na ulicy ktoś grał na samisenie\* i wesoła piosenka wraz z łagodnym światłem miesiąca przedzierała się aż do jej wezłowią przez naoliwiony papier okienny. Wysunęła się więc spod kołdry, narzuciła na nagie ciało kimono i rozsunęła ramy *szodzi*\*. W srebrnej poświacie błyskała wesoło ogniami licznych domów okolica. Szeroka, pusta, nocna droga biegła przez nią w dal, a strzegły jej, ledwie rysując się we mgłach, śnieżne wysokie góry. Ponad górami były już tylko gwiazdy.

\* Samisen — rodzaj gitary.

\* Szodzi — szerokie przez całą ścianę ramy okienne.

## VI

Matsu-san siedziała na progu swej małej kuchenki, przed nią stało płaskie naczynie z wodą i leżała wiązka zieleniny i włoszczyzny, którą ona czyściła na obiad. Po rabunku, który ich tak bardzo zubożył, musiała oddalić służącą i cały ciężar utrzymania domu w porządku i czystości oraz przyrzędzenia pożywienia spadł na jej ramiona nadwątłone starością oraz rozpaczą i tęsknotą po utraconej córce. Chitaci-san musiał się również wyrzec pomocnika, aby zrównoważyć swój budżet handlowy obciążony zaciągniętymi długami i zobowiązaniami. Co dzień raniuchno szedł sam otworzyć sklep, w którym przebywał dzień cały. Matsu-san nosiła mu tam obiad i wracając po drodze załatwiała czasem interesy na poczie i u bankiera. Widywała się z mężem późno wieczorem i rozmawiali mało, gdyż to, o czym jedynie mówić teraz pragnęli i mogli, napelniało oczy ich łzami, a pozbawiało inne wyrazy dźwięku i znaczenia.

Mijał czwarty miesiąc, jak znikła spośród nich ta, która była ich podporą i pociechą, łącznikiem między radościami i nadziejami młodości a nadszarpniętą starością. Oto już ciepłe tchnienie wiosny okryło białym puchem wiśnie i śliwy ogrodu; na grzędach szybko dźwigają się, rosną, pęcznieją lodygi i pąkowania kwiatów. Kto je obetnie, podwiąże, podleje... Czyje oczy cieszyć się będą ich barwą i kształtem... Przecież nie nasze osłabłe od lat i zamglone przez łzy i ból... Czy zresztą ciężar zdwojony pracy pozwoli na chwilkę zastanowienia? Może i lepiej, że nie ma na nic czasu, że nie ma czasu nawet zaglądać w ziejącą pustkę przyszłości! Dla kogo pracować i po co? Dla kogo odmuchiwać z pyłu cenne „kakemona”, wybijać kurz trzepaczką ze złotych miękkich mat, obcierać gąbką i mokrą ścierką drewniane obszycia drzwi, okien, ściennych skrytek, gdzie czekały swego czasu „szycia wyprawy” sztuki jedwabiu, hafty i sukna, po części domowej roboty, po części nabyte przy szczęśliwej okazji. Obecnie wszystko sprzedane, nic już nie ma z dawnych wspomnień, nawet cenne zabawki, ślicznie ubrane lalki małej Komurazaki, zostały bezlitośnie oddane za gotówkę, niezbędną w nadszarpniętym gospodarstwie. Nie ma małej szczebiotliwej dziewczynki, z której wyrosła śliczna dziewczyna, za którą oglądali

się chłopcy. I choć pełne są jeszcze pokoje echa jej srebrnego śmiechu, sama ona już zginęła zgonem okrutnym lub została sprzedana do Chin czy Korei na życie straszniejsze od śmierci...

Gdyby porwali ją dla wymuszenia od nas okupu, dawno by zgłosili się z pismem... — rozmyślała Matsu-san łykając łzy.

Jednocześnie wszakże pilnie nasłuchiwała dźwięków z ulicy, gdyż była sama, i choć bardzo mało mieli rzeczy w domu, bała się w dalszym ciągu bardzo złodziei. Z niedalekiego gościńca dolatywał nieustanny szum głosów i kroków przepływających tam podróżnych, lecz w zaułku prowadzącym do ich domku panowała zwykła cisza.

Wtem wydało się jej, że ciszę naruszył zbliżający się stuk kroków na płytkach chodnika. Wychyliła więc głowę poza próg, aby zobaczyć, kto mógł iść ku nim, gdyż poznała, że kroki nie były jej męża. Ponieważ słońce biło całą falą wprost ku niej, przykryła oczy dłonią, aby lepiej rozpoznać postacie nadchodzących. Jedna z nich pobiegła nagle szybko naprzód i nim stara mogła się opamiętać, już kłęzała u jej kolan. Matsu-san jakby w przerażeniu odszarpnęła ręce od pochylonej przed nią głowy.

— Matko, matko... — szeptała przybyła.

— Ty, ty... Ktokolwiek jesteś... Żywa czy cień tylko... — odpowiedziała stara przypadając nagle twarzą, zalaną łzami, do karku dziewczyny.

— Żyję, żyję... Cud, cud! Miłościwa, Przczysta Kwannon ocaliła mnie! Gdzie ojciec? Czy zdrow?

— Ojciec w sklepie, ma dużo pracy... Zaraz pójdę po niego...

— Pójdziemy razem!

— Nie, nie chcę, abyś ukazywała się ludziom i abyś spotkała się z ojcem po raz pierwszy... wśród tłumów!

— W takim razie poślij Iku.

— Iku dawno odeszła.

— O, matko! Jakże było wam ciężko!

— Nic, nic... Teraz wszystko znów będzie dobrze... A kto to tam stoi opodal? Czy przyszedł z tobą?

— Tak, to ten, co mnie uratował...

— Uratował? Więc proś go, proś! Niech wejdzie!

Stara zerwała się na nogi i poszła ku młodzieńcowi, stojącemu u węgła domu i patrzącemu delikatnie w przeciwną stronę na gościnniec.

— Witaj, panie... Wejdz do domu naszego, będziesz tam drogim gościem i panem, albowiem córka mówi, że ty uratowałeś ją... — zaczęła stara chyłką się w niskim ukłonie.

Przybysz jednak ją wyprzedził, pochylił się jeszcze niżej i silnie wciągając powietrze odpowiedział:

— Zaiste, pani, córka pani przez wspaniałomyślność serca powiększa zbyteń mój uczynek, który był prostym obowiązkiem i błahym, mało ważnym postępkim w porównaniu z męstwem i cnotą samej prześwietnej Komurazaki. Chętnie wstąpię w progi czcigodnego waszego domu, aby powiedzieć, jak się rzecz miała w istocie.

Stara w milczeniu spoglądała na pochylonego dwornie prawie do ziemi młodzieńca, uderzona jego urodą i pańskim obejściem.

Jakiś książę przebrany... — pomyślała i wciągnawszy mocno powietrze, już nieśmiało prosiła:

— Uczyni nam ten honor! Tędy można wejść od frontu. Komurazaki, skocz i otwórz. Nastaw herbatę i rozpal *hibaczi* \*. Ja tymczasem pošlę synka sąsiadów po Chitaci-sana!

Śmiech wesela, szczebiot szybkich rozmów, ruch lekkich powiewnych szat wypełnił znowu czystociuchne, lecz zmartwiałe do niedawna pokoiki domku Irodzu.

Przez szeroko rozsunięte *szodzi* życie nowe buchało stamtąd na zewnątrz, dziwiąc sąsiadów.

Nareszcie niektórzy zajrzeli i wysłuchawszy radosnej nowiny, roznieśli ją po całym miasteczku:

— Komurazaki, córka starego Chitaci, wróciła cała i zdrowa. Przypro-wadził ją młody samuraj Ri-dzo, który zamieszkał u starych...

Każdy uważał za swój obowiązek odwiedzić starych Irodzu, złożyć mały upominek cudownie ocalonej Komurazaki i wysłuchać z własnych ust jej matki wielkocroć już od innych słyszane opowiadanie; wreszcie spojrzeć i chociaż zamienić słów parę z pięknym, tajemniczym samurajem.

O prawdziwym jednak przebiegu wypadków wiedzieli jedynie starzy Irodzu, gdyż imię Gompaci, powód jego walki z nimi, ze zrozumiałych powodów na prośbę młodego samuraja zostały zatajone. Mówiono po prostu, że Komurazaki udało się wymknąć cudownie z jaskini, że na drodze spotkała samuraja Ri-dzo, który szedł do Tokio do szkoły rycerskiej i który zaopiekował się nią i odprowadził do domu.

— Mogłaby znaleźć sobie starszego opiekuna... — mruczały zgryźliwe stare sąsiadki.

Poza tym jeszcze jeden powód radości zatajony został przezrocznie przez starego Chitaci, mianowicie, że córka przyniosła mu z powrotem wór srebrnych pieniędzy, zrabowanych niegdyś przez zbójów. Pozwoliło mu to ostrożnie spłacać dolegliwsze długi i powiększyć zmalełe obroty. Znowu przyjął sobie pomocnika i stara służąca Iku wróciła na dawne miejsce.

Życie ciche, słodkie, pełne codziennych trosk, nieustannej jednostajnej pracy i skromnych radości wypełniło znowu po brzegi tonący w słońcu domek kupca, przed którego werandą kwitnące glicynie spadały z drewnianych krat ametystowym wodospadem.

*Hibaczi* — fajerka z węglami.

## VII

Z okna pokoiku na górze, który oddano na mieszkanie Gompaci, roz-taczał się piękny widok na morze oraz biegnącą wzdłuż brzegów Cesarską Drogę Tokai-do. Po szafirowym morzu błędziły liczne statki o żaglach białych lub żółtych, a nad morzem błąkały się srebrnoszare chmury. Po białej wstędze Tokai-do od wczesnego ranka do późnej nocy sunęły, zwi-jając się, nieprzeliczone tłumy przechodniów. Szli pokrzykując wesołymi gromadami tragarze, obciążeni pakami towarów; sunęli pojedynczo prze-kupnie z pudłami swych wyrobów, zawieszonymi na końcach bambuso-wych nosideł; przechodzili kupami wieśniacy z worami ryżu, bobu, warzyw lub wiązkami chrustu na plecach. Lekko, kołysząc się na wysokich sanda-łach i ocieniając upiękzoną kwiatami i szpilkami głowę barwnym paraso-lem, mijała pracowity tłum elegancko ubrana kobieta; szedł za nią sługa z szablą za pasem, wężem podróжным na plecach i wachlarzem w rękę. Przechodził zbrojny samuraj sam lub z giermkim. Niekiedy maszerował cały ich oddział otaczając lektykę wysokiego urzędnika lub dajmiosa. Szły wieśniaczki i niesiono w palankinach damy z klasy zamożnej; snuły się dzieci, starcy, młódź, wędrowni mnisi buddyjscy w żółtych szatach i du-chowni *szinto* w szatach szaro-białych. Przesuwali się roninowie w wiel-kich bambusowych kapeluszach, kryjących twarze, z wiecznie czujną ręką na rękojęściach swych szabel. Od czasu do czasu ukazywał się w wieńcu pieszych gońców rycerz na koniu w hełmie i zbroi czarno lakierowanych, z łukiem i sajdakiem pełnym strzał za plecami, spowity w barwne hafty i jedwabie. Czasami przejeżdżało ich razem kilku lub kilkunastu, prze-cinali rozstępujący się przed nimi przyziemny tłum, jak smuga lśniącej błyskawicy, żarząca się ogniem płonących barw, przecina ciemną chmurę. Głuchy łoskot niezliczonych stóp bijących o twardą ziemię, klekot san-dałów, stuk kopyt, szmer głosów, gra przekupniów na flecie, bębnie lub piszczałkach, przeciągłe ich zachwalanie towarów, kłótnie, nawoływania ostrzegawcze, śmiechy, pieśni, wykrzykniki, żarty i wyzwiska — unosiły się nad rzeką ludzi, jak szmer wirów i prądów polatuje wciąż nad rzeką płynącej wody.

Godzinami całymi Gompaci wpatrywał się rozmarzonymi oczyma w tę



wiecznie ruchomą wstęgę życia, gdzieś w dal śpieszącego i niknącego bez śladu. Książka, którą mu pieczołowicie dostarczyła Komurazaki, leżała otwarta na tej samej stronie, a on, wyciągnięty na wielkiej macie, błędził wzrokiem po dalekim morzu i drodze. Niekiedy powstawał i zbliżał się do samej balustrady balkonu, aby dłużej nie tracić z oczu jakiego ciekawego zjawiska.

Raz, gdy stał wychylony, buddyjski duchowny w oliwkowej opończy zatrzymał się przy wylocie ich zaułka i długo przyglądał się mu spod trzymanego nad czołem jak daszek wachlarza. W tej chwili usłyszał za sobą na schodach lekkie, szybkie kroki i do pokoju wpadła Komurazaki.

— Ukryj się, ukryj! — wołała zadyszana od progów. — To on...

— Kto?

— Ketsu-on!

— Skądże by? Przywidziało ci się! Jakżeby śmiał?

— O, wśród tysiąca poznałabym go... On, on na pewno! Przyszedł znowu nas tropić i śledzić!

— Nie odważ się. Już spróbował raz mej szabli! — odrzekł dumnie młodzieniec. — Zresztą już go nie ma!

Dziewczyna ostrożnie wychyliła głowę za ramę okienną.

— Istotnie, znikł. Poszedł... Wyda ciebie, wyda! Poznał cię i wyda. Dowie się, a może już wie wszystko o tobie i wyda cię! Wiem... Słyszałam, jak mówili... tam u siebie w górach, że ich dużo, że mają wszędzie tajnie sprzysiężonych. Nic nie ukryje się przed nimi... Nie powinieś nigdy zbliżyć się we dnie do okna!

— Co mam robić? Chcę choć z dala popatrzeć na to, co dzieje się na świecie. Jak tam wszystko wre i kołuje się! Jacy tam wojownicy! Jakie skarby, kwiaty i bławaty... Przecież kiedyś ja się tam znajdę wśród nich.

— Więc już chcesz nas porzucić?

— Nie mogę wiecznie być gościem i żyć z waszej łaski!

Dziewczyna pobladła i pochyliła głowę.

— Każdemu los wyznaczył w życiu miejsce. Jam je utracił. Jestem roninem. Jak fala przelewać się muszę z krańca w kraniec Japonii. Inaczej zginę...

— Komurazaki, Komurazaki, gdzie jesteś?! — rozległo się nagle z dołu wołanie matki.

— Muszę iść... ale może, ale może... choć jakiś czas... A gdybyś znalazł pewny przytułek?

Chłopak potrząsnął przecząco dłonią.

— W jaki sposób?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż schody zaskrzypiały już pod stopami pani Matsu. Dziewczyna niecierpliwie wstrząsnęła głową i wymknęła się pośpiesznie z pokoju zasuważąc za sobą drzwi. Gompaci słyszał, jak matka robiła jej wyrzuty, i zamyślił się.

— Nie, nie. Po stokroć nie! — powtórzył nagle głośno, wyciągając się na wznak na macie i zakładając ręce pod głowę.

Nazajutrz wieczorem, kiedy jeszcze niebo nad morzem pełne było złote-go blasku, odwiedził na górze młodego gościa sam czcigodny Chitaci. Wypaliwszy fajeczkę tytoniu i zamieniwszy z Gompaci wszystkie wymagane wyrazy grzeczności, rzekł nagle prosto z mostu:

— Podobno pojawił się tu ten zbój Ketsu-on, ale ty się go nie obawiaj. Gompaci.

— Wcale się go nie obawiam! — odrzekł młodzieniec.

— Na wszystko znajdzie się sposób. Pomyślałem o tym: usynowię cię i moim nazwiskiem pokryję twą przeszłość. Odziedziczysz z czasem mój interes, który zaczyna znowu rozwijać się bardzo dobrze. Nie odmówię ci niczego, niczego... Nikt z mej rodziny nie odmówi ci niczego. Uważamy cię za swego. Byłoby więc może dobrze, żebyś zapoznał się z moimi handlowymi książkami i zajrzał od czasu do czasu do mego sklepu.

— Bardzo chętnie, czcigodny... Postaram się być ci użytecznym... — odrzekł grzecznie Gompaci.

— Wszystko można załagodzić, jeżeli rozumnie wziąć się do rzeczy. Właściwie żadnego niebezpieczeństwa nie ma. Ten mnich nie wiadomo jeszcze, co za jeden. Nikt z bliska nie widział. Wątpię, żeby Ketsu-on był na tyle bezczelny i tu się pojawił. Co zaś do twojej sprawy, to podobnych w Japonii są tysiące. Skąd mogą Zempaczi wiedzieć, że jesteś u mnie? Dopóki oni cię nie znajdą, nikt cię tu nie ruszy. Mam w mieście wpływy i poważanie. Zresztą, jeżeli się zgodzisz, porozumiem się z Zempaczi przez twego ojca. Zapłacę im...

— Daremne trudy! Zempaczi nie wezmą pieniędzy. Są bogaci i sami pewnie wyznaczyli już nagrodę za moje ujęcie. List twój, czcigodny, naprowadziły tylko ich na mój ślad.

— Boże uchowaj! Jak uważasz zresztą! — rzekł stary. — Jak uważasz! A do sklepu zajrzyj... Rozumie się, że szable swoje zostawisz tutaj. Kazałem ci przynieść pudło do ich schowania. Jest na dole. Może zejdziesz obejrzeć?

Zeszli obaj do jadalni, gdzie w rogu stało bardzo ładne pudło z czarnej laki ze złotymi iskrami, wyłożone żółtym atłasem. Gompaci zachwycony był podarunkiem, a wszyscy zostali bardzo ujęci jego zachwytem.

Przy kolacji uradzono jednak ostatecznie, że młody ronin czas jakiś jeszcze się wstrzyma od wychodzenia na ulicę i do sklepu uczęszczać nie będzie. Zajmie się natomiast porządkowaniem i przepisywaniem handlowych ksiąg w domu. Już nazajutrz przyniosła mu je Komurazaki, a stary kupiec dał mu cały szereg wskazówek, co i jak należy z nimi robić.

Młody samuraj roztarł dużo tuszu, uzbroidł się w pędzelek i pilnie zaczął sprawdzać liczby i przepisywać oznaczone stronicie.

Dzień był śliczny, morze w słonecznym blasku kotysało się łagodnymi falami bezbrzeżnego błękitu. A bliżej, tuż prawie pod balkonikiem domu, między morzem a powiewną zasłoną z ametystowych glicynii, szumią Tokai-do.

Młodzieniec pilnie pracował; szczerze pragnął zagłuszyć to nieustanne

wołanie szerokiego świata, jakie mu nosła Droga Cesarska, lecz nie wytrzymał. W pewnej chwili ziewnął przeciągle, rzucił pędzel, wyciągnął ręce ponad głowę i położywszy się na bok, zapuścił chciwe oczy w falę przelewających się przez drogę tłumów.

Tak leżącgo zastała Komurazaki, gdy weszła niosąc mu imbryk świeżej herbaty i talerz słodyczy.

— Nie... — rzekł Gompaci siadając nagle i zwracając się ku dziewczynie. — Każdy ma przez los i urodzenie wyznaczone sobie miejsce na świecie w ostatnim swoim wcieleniu. Czym byłem dawniej, nie wiem, może byłem tygrysem lub wilkiem, ale nie dla mnie wasze ciche spokojne zajęcie... Jestem samurajem; moim zawodem jest władanie bronią, moją pracą — ciągle nią ćwiczenie. Czy mogę to czynić? Ręce moje, pozbawione nieustannej wprawy, szybko zwątłają, serce i oko utraci pewność siebie. Zanim zostanę kupcem, przestanę być rycerzem. A co, jeżeli okaże się, że nie mogę być kupcem?

— Wrócisz do oręża — odpowiedziała szybko dziewczyna.

— Wołę go nie porzucać! — roześmiał się samuraj.

— Więc odejdziesz?

— Odejdę.

— Kiedy?

— Nie wiem, ale niedługo. Spieszno mi do sławy, do towarzyszy... Tam inni zajmują miejsca i spełniają czyny, które ja mógłbym zająć i spełnić! Szkoda każdego dnia.

— Weź mnie z sobą... — szepnęła cichutko, zasłaniając rąbkiem rękawa spłonioną twarz.

Młodzieniec umilkł zdumiony.

— Wziąć ciebie? Po co? We dwoje będzie o wiele trudniej. Przecież nie przebierzesz się za chłopca?

— Jeżeli zażądasz, przebiorę się. Zrobię wszystko, co będziesz chciał!

Pochyliła się przed nim pokornie jak niegdyś.

— Jestem niewolnicą twoją! — powtórzyła wyciągając ku niemu rękę.

Śliczna szyja łabędzia i toczony ramię dziewczęce wynurzyły się kusząco z jedwabiu kimona. Twarz chłopca pociemniała nagle, przysłonił na wpół powiekami rozblęśnięte oczy.

— Nie! — zamruczał. — To byłoby niegodne samuraja! Jestem gościem, korzystam u was ze schronienia...

— Kocham cię... — wyrzekła cichutko. — Umrę, skoro mnie opuścisz...

— Wrócę, wrócę wolny i sławny! A wtedy nie ja wejdę do was jako *Joszi*\*, lecz ciebie podniosę na szczyt! Udusiłbym się w tym waszym miasteczku. Ciebie też szkoda... szkoda twej myśli wesołej i jasnej na... liczenie skorup porcelany. Szkoda twego dowcipu na stręczenie kupującym towaru. Kiedy zostaniesz moją żoną, wielką panią, przymioty twe rozblęsną jak rozpostarte skrzydła motyla. Zazdrościć mi będą. Ubiorę cię w jedwa-

bie i hafty, otoczę rojem sług... Najprzedniejsi malarze malować będą na twoją cześć poematy! Wtedy dopiero pokochasz mnie całą potęgą!

— Kocham cię takim, jakim jesteś... całym, całym... sercem!

— Nie wiem, czy mnie kochasz, bo nie widziałeś innych, jak również ja sam nie wiem, kim jestem, gdyż nie spróbowałem jeszcze sił swoich...

— Nie wrócisz, nie wrócisz!

— Ależ wrócę... Niepodobna ciebie zapomnieć... — mówił gorąco, przyciągając ją ku sobie. Gięła się łagodnie w jego objęciach jak liana i poddawała mu biernie kibić, lecz usta odwracała jeszcze. Pieścił tylko twarz i ustami jej szyję białą, natartą migdałową pianką i pachnącą jak kwiat migdału w wiosenny poranek. Lekkie, jasne, haftowane, cudne kimono osunęło się z ramion, obnażając młode stożkowate piersi z końcami piękniejszymi od pączków najpiękniejszej różowej kamelii.

— Komurazaki, gdzieś się znowu podziała? Ojciec już idzie, a obiad jeszcze nie gotowy! — rozległo się z dołu wołanie.

— Matka! — szepnęła dziewczyna i wyrwała mu się z rąk.

Gompaci oprzytomniał.

Tak, to byłoby niegodne samuraja! Musiałbym ożenić się, zostać tutaj wyrzec na zawsze wojska... — mignęło mu w wzburzonych myślach.

\* *Joszi* — zięć, który wstępuje do domu teścia, przybiera jego imię i stanowisko społeczne.

## VIII

— Matko, znowu dziś rano, kiedy wracałam ze sklepu, spotkałam niedaleko naszego domu tego krwawego, kostropatego psa Ketsu-ona... Nie był już za bonzę przebrany, lecz za żebraka.

— Tak, istotnie był tu jakiś żebrak przed chwilą, dałam mu miseczkę ryżu. Ale on był ślepy, a Ketsu-on, mówiłaś, że dobrze widzi...

— Udawał. On, na pewno on; poznałabym go nawet w szatach książęcych!

— Czegóż on tu szuka? Może znowu nas chce obrabować?

— Wątpię. Nie przypuszcza pewnie, żeśmy już zdolali zebrać dostateczne bogactwa. On tu przychodzi dla Gompaci. Gompaci zabił mu przecież pięciu towarzyszy...

— Więc co? Gompaci zabije też i jego!

— Mogą rycerza zgładzić z zasadzki... Ci ludzie przed niczym się nie cofną. Umieram ze strachu od chwili, gdy zobaczyłam przed naszym domem tego straszego człowieka...

— Może lepiej, żeby Gompaci znikł stąd na jakiś czas. Wyślemy go do Kiu-szju do moich krewnych... — zauważyła ostrożnie Matsu-san.

— Nie wiem, matko, nie wiem... — odrzekła dziewczyna zakrywając twarz rękawem. — Jeżeli ma zginąć, niechby lepiej wyjechał! O, Kwannon Miłosierna! — szepnęła po krótkim milczeniu i upadła twarzą na matę.

Matka uklękła obok niej i łagodnie gładziła drgające od szlochania plecy dziewczyny.

Nazajutrz w czasie obiadu stary Chitaci znowu Gompaci zaproponował usynowienie.

— Mógłbyś potem wyjechać do Kiu-szju do naszych krewnych i przeczekać tam pod moim już nazwiskiem pierwszy okres gorących poszukiwań twych wrogów — dodał przezornie.

— Jeżeli stąd się ruszę, to pójdę do Jeddo... Tam moje miejsce, tam liczne dwory dajmiosów i książąt potrzebują wciąż oficerów. Zaciągnę się! Gdy będę pod opieką potężnego pana, drwię sobie z gniewu Zempaczi.

— Ha, trudno. Jeżeli chcesz koniecznie! — odrzekł stary, dotknięty trochę ponowną odmową. — Rozumiem dobrze, że tyś szlachcic, a ja skromny mieszczanin i do tego kupiec, lecz...

Zawahał się i szukał wyrazu.

— Nie o to chodzi, szanowny! — żywo przerwał młodzieniec. — Wróć do was, wróć sławny i bogaty, a wtedy...

Obrzucił błyszczącym spojrzeniem pobladałą i smutną twarz Komurazaki. Dziewczyna poczuła to jego spojrzenie, choć nie podniosła opuszczonych powiek. Dwie duże perły łez zawisły na długich, wygiętych jej rzęsach. Zerwała się i odeszła w głąb kuchni, gdzie gospodarowała, brzęcząc naczyńiami, matka.

— Skoro tak, pozwól, że wszystko przygotujemy ci do drogi. Kiedy chcesz wyruszyć?

— Jak najprędzej. Im wcześniej wyjdę, tym prędzej wrócę.

— Musisz jednak poczekać, dopóki kobiety nie skończą szyć zaczętego dla ciebie ubrania i nie kupią potrzebnych na drogę drobiazgów. Choć nie chcesz zostać naszym synem, serca nasze kochają cię jak dziecko rodzone... Nigdy nie zapomnimy, cośmy ci winni...

Znowu Gompaci zaczął grzecznie przekładać, że to, co uczynił, było niczym w porównaniu z tym, co otrzymał.

— Miłość takich ludzi jak wy nie ma ceny!

Stary słuchał wywodów jego dość obojętnie, pałac poobiednią fajeczkę.

— Niech błogosławi ci bóg Zizo i da długie szczęśliwe dni! — rzekł wreszcie. — Bogatym mógłbyś zostać i tutaj. Lecz rozumiem, że chcesz spróbować swych sił. Pamiętaj, że dom nasz i serca nasze zawsze otwarte dla ciebie!

Stary niedługo potem poszedł do sklepu, a Gompaci udał się na górę, gdzie wyjął z pudła swą cudną szablę, czyścił starannie jej rękojeść oraz pochwę, oglądał rapcie, szykował pas i wzmacniał przy nim kółka od szabli.

Po paru dniach, zaopatrzony w potrzebne rzeczy, w dwie pary mocnych sznurowanych sandałów, w rycerskie jedwabne naramienniki i nagołenniki, w świetnym kimonie z najlepszej materii, mając na plecach worek podróżny, za pasem dwie szable oraz woreczek z dwiema uncjami srebra, które Chitaci zmusił go przyjąć, a na głowie wielki bambusowy kapelusz ronina kryjący pół twarzy — Gompaci żegnał zasmuconych starszusków i splakaną Komurazaki.

— Wróć! — powtarzał z mocą. — Wróć! Otrzyj swe łzy, ukochana, i nie płacz więcej, ponieważ powrócę wcześniej, niż myślisz... Tymczasem ufaj mi, bądź mi wierna i... czcij rodziców!

Zakończył pożegnanie zwykłą sentencją narzeczonych, zawahał się, spojrział w zamglone łzami, utkwione w sobie wyczekująco dobre oczy starszusków i dodał nagle, chyląc się w niskim, do samej ziemi, ukłonie:

— ...Którzy przez ciebie stali się i moimi już rodzicami!

Pożegnałny uśmiech wykwitł na pomarszczonych twarzach Irodzu i roz-

świecił również jego na krótką chwilę, choć większe groziło mu niebezpieczeństwo.

Tak słońce, przedarłszy obłoki, złoci i maluje tęczowymi barwami nawet smugi deszczu i mgły.

Gompaci odszedł w daleką drogę z sercem pełnym radości i nadziei, lecz przeznaczenie poszło za nim, gdyż nikt nie może uciec od własnych czynów.

## IX

Za miastem zatrzymał się na wzgórku i namyślał przez chwilę. Poza nim, w głębi lądu, piętrzyły się wysokie góry, czarnymi porośłe borami, z białymi śniegami na szczytach. Przed nim rozpościerało się bezbrzeżne, lazuruowe morze, szumiąc wesoło i błyskając złotą łuską w słońcu. Nie mógł przezwyciężyć tajemnej odrazy do zamkniętych górskich dolin, gdzie przeżył niedawno tak ciężkie chwile i choć większe groziło mu niebezpieczeństwo na widnej, przestronnej drodze nadmorskiej Tokai-do niż na górskim trakcie Nakasen-do — wybrał wybrzeże.

Nie mieszał się z tłumem podróżnych dążących środkiem drogi, lecz naśladując innych roninów trzymał się ubocznej ścieżki, tuż pod cieniami sosen i kryptomerii, gdzie łatwiej było ustrzec się niespodzianego napadu. Oka jednak nie spuszczał z ludzkiej rzeki, podziwiając z bliska nie widziany przezeń nigdy na północy przepych księżąt niesionych w lektykach, cudną lśniącą broń rycerzy, urodę kobiet, hafty, barwy, jedwabie, srebro, brąz cenniejszy od złota, lekkie, miłe uśmiechy i groźne spojrzenia — wszystko zmieszane niby tęczowa piana płynąca na ciemnych barkach błękitno odzianych prostaków — tragarzy, uznojonych i zgarbionych pod nieznośnym ciężarem cudzych bogactw i cudzego zbytku.

Nie, on się nie da zepchnąć na te niziny. Ma dwie zasłużone szable ojcowskie i ma do nich prawo! Mogą mu je odebrać jedynie wraz z życiem.

Gdy przechodził mimo podobnych do siebie młodocianych figur z wielkimi kapeluszami na głowach i rękami na rękonożach sztyletów, pozdrowił ich pozdrowieniem towarzysza i brata. Czasami zatrzymywał ich i zapytywał z ukłonem o hotel bezpieczny lub miejsce dogodne dla noclegu. Odpowiadali grzecznie, lecz oberże, które zalecali, nie podobały się Gompaci, gdyż przepełnione były zazwyczaj, prócz roninów, włóczęgami i żebrakami, których miał powód obawiać się. Wolał więc zatrzymywać się w droższych hotelach, tym bardziej że miał czym płacić!

Tu znowu była inna niedogodność, że jako ronin zwracał na siebie powszechną ciekawość, a jego młodość i uroda potęgowały ją jeszcze.



— Co to za dziecię książęce? — pytały nieraz kobiety gospodarza hotelu.  
— Nie wiem. Podał nazwisko, ale pewnie fałszywe. Ronin... — odpowiadał ten kwaśno.

— Drugi Joszitsune! \*

— Nie usnę dziś ze strachu, że będzie awantura! — mruzczał hotelarz.

Awantura istotnie była niedaleko. Od niejakiego czasu już czuł ją wokół siebie Gompaci. Jakiś obrzydliwy kulawy żebrak błąkał się za nim od kilku dni jak cień. Czasami nocował z nim razem w jednym hotelu, gdzie przytulony pod ścianą, w kuchni lub sąsiednim domku ubogim. Czasem zniknął na cały dzień, aby pojawić się znowu na drodze pod jakimś drzewem, gdzie siedział w posępnym milczeniu z wystawioną u kolan miseczką żebracza. Parę razy Gompaci, obróciwszy się nagle, podchwycił spojrzenie włóczęgi utkwione w sobie z taką nienawiścią, że mimo woli położył rękę na rękojeści miecza.

Byłem tylko dostał się do Jeddo... Nie śmiać mnie tknąć, gdy będę w orszaku znakomitego pana! — rozważał.

Miał się na ostrożności. Nie mieszał się z tłumem, lecz również nie skręcał w pole i nie oddalał zbyt od drogi. Raz tylko skusił się.

Było święto Puszczania Latawców.

Ciepły, lazorowy poranek, owiany łagodnym wiatrem od morza, zapowiadał trwałą pogodę. Na opustoszałych polach jasna zieleń zbóż rozpływała się delikatną mgłą w złotych blaskach słońca i srebrnych z dołu odbłaskach ryżowych zalewów. Wszędzie szumiała wesoła woda biegnąca z dalekich błękitnawych gór. A na drodze szumiał tłum inny niż zawsze. Stare, strudzone i skłopotane korowody zwykłych podróźnych znikły bez śladu w gromadach kobiet, dziewcząt i dzieci w jasnych, barwnych strojach z parasolkami i wachlarzami w rękach, z kwiatami we włosach. Radosny świergot młodych głosów, śmiech, nawoływania, zmieszane z nieprzerwanym stukotem drewnianych sandałów o twarde płótnisko szosy, stwarzały gędbę, podobną do gwaru ptasiego sejmku w czasach odlotu. Cała ta hałaśliwa, rozbawiona rzeka skręcała z szerokiej drogi w bok ku wylotom dwóch otwartych dolin, wrzynających się głęboko w podgórze, zielone w pobliżu, błękitnoplone w oddali. Wyloty dolin zamykał stożkowaty pagórek porośnięty na szczycie ciemną, wichrzastą szczecinią sosen. Mocną ich zieleń przecinała czerwień kilku wygiętych *tori* \* oraz ściany małej świątyni, gorejącej w słońcu żywymi barwami koralu jak stężały płomień.

Ku stokom tego wzgórze kierował się napływający z dwóch stron ludzki potok.

Było to święto Puszczania Latawców.

Gompaci dał się porwać świątecznemu nastrojowi i rozbawieniu otoczenia. Po chwili wahania pociągnął za jedną z grup rodzinnych, obładowaną imbrykami i koszykami z żywnością, która go zaczęła wesołym okrzy-

Joszitsune — brat cesarza. Bohater legendarny o kobiecej urodzie i duszy hartownej jak żelazo.

Tori — rodzaj bramy z dwóch słupów połączonych u góry przecznicą.

kiem i propozycją przyłączenia się do niej. Grzecznie powtórzone zaproszenie starszego wieśniaka i jego żony, figlarne spojrzenia i powabne uśmiechy dwóch ich ładnych córek złamały resztki oporu samotnego chłopaka. Zapomniał na chwilę, że jest ściganym przez prawo roninem, i wesoło gawędząc nawrócił z nowymi znajomymi ku dolinom.

— My jesteśmy z sąsiedniej wioski Szi-midzu i nasi chłopcy dawno już są tam i puszczają swoje latawce! — mówiła matka pokazując palcem na jedną z dolin.

W miarę zbliżania się do świątyni tłum gęstniał tak, że iść razem było już cokolwiek trudno. Gompaci z dziewczętami został w tyle.

— Ciekawa jestem, czy i w tym roku bracia zwyciężą jak w przeszłym? — rzekła jedna z nich pozornie do siostry, obrzucając jednak zalotnym spojrzeniem twarz Gompaci.

— A wy nie puszczacie latawców? — spytał ten z udaną naiwnością.

Obie dziewczyny roześmiały się tak głośno, że matka obejrzała się na nie.

— Pośpieszajcie, pośpieszajcie, bo zgubicie nas w tłumie!

Szli ulicą utworzoną z bud, namiotów i straganów pełnych słodczy, owoców, zabawek, szpilek, grzebyków, lusterek, nieskończonej ilości rozmaitych tanich świecidełek, pudełeczek, sztucznych oraz żywych kwiatów, nawet klatek z ptaszkami i szklanych baniek ze złotymi rybkami.

Przekupnie głośno zachwalali swe towary, kucharze wykrzykiwali nazwy sprzedawanych potraw, wabiąc do swych przenośnych restauracji. Tłum brzęczał jak rój pszczół i chwili jednej nie pozostawał w spokoju.

Rodzina wieśniaków z Gompaci przedzierała się coraz wyżej ku świątyni. Tam było trochę spokojniej, mrowie ludzi stanęło w zwartych szeregach z oczami zwróconymi ku dolinom. Rzadkie głośniejsze okrzyki przeływały głuchy szmer przyciszonych rozmów. Krzykliwie brzmiały nosowe głosy żebraków modlących się głośno i proszących o jałmużnę u wrót świątyni. Uwaga wszystkich skierowana była na roje wysoko w powietrzu unoszących się latawców. Z dala wyglądały jak stada barwnych ptaków lecących ku morzu i słońcu. W miarę swych zwrotów i pochylań płaszczyznami ku światłości migały tysiącami kolorów: żółtych, niebieskich, zielonych, czerwonych, fioletowych. Jedne na wysokościach wyglądały jak nieruchome plamki na niebie; poniżej inne sunęły wolno jak stado lecących przeciw wiatrowi czajek. Jeszcze inne — ledwie wznosiły się nad polami i lasami, ciężko nurkując z dołu ku górze. Niektóre miały kształt orla, inne smoka z szeroko rozpostartymi szponiastymi łapami, niektóre falowały i błyskały łuską ryb płynących przeciw prądowi. Na białych widać było czerwone lub złote słońca, na niebieskich srebrzyły się księżycy lub gwiazdy, a na wszystkich czerniały wielkie litery chińskie: nazwiska właścicieli lub ich wiosek rodzinnych, bohaterów lub książąt ukochanych, myśli mędrców, wiersze poetów.

Od czasu do czasu to tu, to tam jedna z tych dumnie wydętych szybujących w błękitach płacht drgała boleśnie, po czym chybotwała się chwilę, pochylała bokiem i nagle spadała na dół zwątpiała, zmięta jak zmoczona

chusta. Gdzieś w tłumie rozlegał się wówczas okrzyk. W dole widać było gromady chłopaków z wielkimi widłami bambusowymi, pędzących na wyprzódki ku opadającemu szybcowowi.

— Widzi pan, tam są nasze, tam są nasze! Te wysoko ponad górą... czerwone z żółtym napisem! Nikt im jeszcze sznurka nie pociął! One biją wszystkich — mówiła z ożywieniem jedna z dziewcząt wskazując Gompaci dwa wspaniałe latawce, wyprzedzające inne w dążeniu ku morzu.

— Nie żałowałam szklanego piasku na ich sznurek powodowy, toteż biją inne, przecinają je jak samurajski miecz! — śmiała się matka.

— Nie pomogłoby to wiele, gdyby nie zrzeczność chłopców — wtrącił ojciec.

— Byle tylko wydostały się na morze!

— Jeszcze daleko.

— Widzisz, widzisz tego żółtego smoka? Ściga ich!

— To latawiec bogacza Tody!

— Amida-Butsu! Czy aby dadzą sobie z nim radę?

Zamilkli i wstrzymując oddech śledzili za śmiertelną gonitwą. Smok na ukos wciąż zbliżał się do wspaniałych, czerwonych tarcz z żółtymi znakami, pływających wysoko ponad nim. Gonitwa była zauważona i przez innych widzów. Rozmowy przycichły, oblicza wszystkich prawie obróciły się w tę stronę. Wtem Gompaci poczuł na sobie dziwne, niepokojące spojrzenie. Obrócił szybko głowę i spostrzegł nie opodal wstrętą, znaną mu twarz kulawego żebraka. Znikła, skoro tylko dotknął ją oczyma.

Czego on chce? Trzeba będzie z nim się rozprawić! Może to szpieg Zempaczi? — pomyślał.

— Patrz, patrz! Pobity! Smok spada! Banzaj Szimidzu! — wołały z zapalem dziewczęta wskazując na smoka zwijającego się nagle w kłębek.

„Czerwone tarcze” dumnie płynęły dalej; ale tam już na nie czekała potworna ryba błyskająca w słońcu złotymi łuskami. Znowu zapanowała cisza w pobliżu rodziny właściciela latawców. „Czerwone tarcze” oceniły widać niebezpieczeństwo, gdyż zniżyły cokolwiek lotu i szybko zaczęły uchodzić bokiem.

— Uciekają! — zaszemrano w tłumie.

— Poczekajcie, jeszcze nie wiadomo! — wołał stary wieśniak.

Istotnie „Czerwone tarcze” znalazły się w pewnej odległości od przeciwnika, poczęły znowu gwałtownie wznosić się w górę, podczas gdy ryba niemrawo zwracała się ku nim potworną głową, próbując je ścigać. Ponieważ dalszy ich bieg zakrywał las, rodzina wieśniaków rzuciła się szybko w tę stronę, żeby móc śledzić dalej gonitwę. Za nią ruszyła część tłumu. Reszta pozostała na miejscu, przyglądając się rozmaitym rozgrywającym się wszędzie zapasom. Każdy miał tam krewnych lub znajomych, a niektórzy porobili zawczasu wielkie zakłady i czekali niecierpliwie na ich rozwiązanie. Hazard zaczął rozpalać rzesze.

— Jeden przeciw dziesięciu za *Wa-mi!*

— Dziesięć rijos... dziesięć rijos...

— Dwadzieścia rijos... za „Czerwonego orła”...

— Pięćdziesiąt... za „Błękitną niezabudkę!”

Gompaci zgubił w tłumie znajomych wieśniaków. Nie szukał ich więcej; zbliżył się do budki, gdzie robiono zakłady, i postawił dziesięć rijos na małego rześkiego karpia, ściganego zawzięcie przez cztery aż latawce. Wygrał. Znowu postawił na tego samego karpia i znowu wygrał!

*O-chaj!* W ten sposób zarobił sobie na rok utrzymania! — myślał radośnie.

Za trzecią wygraną na karpia wycofał się ostrożnie i poszedł do innej budki, ale tam znaczną część wygranej wkrótce przegrał. Zniechęcony udał się do restauracji zjeść obiad i postanowił odszukać zagubionych znajomych.

Nie było to łatwe. Gdy znalazł się na skraju lasu, dokąd byli pobiegli, już ich tam nie było; nie było również nigdzie widać ani „Potężnego smoka”, ani „Czerwonych tarcz”. Wrócił więc znowu Gompaci w obcy mu tłum i tu czas jakiś błądził znudzony i niespokojny. Spoglądał na niebo, gdzie wciąż jeszcze polatywały roje bańnych szybcowców, walcząc z sobą. Więcej jednak zajmowało Gompaci to, co się działo koło budek zakładniczych. Podchodził ku nim, przysłuchiwał się wykrzyknikom, śledził za wskazówkami w powietrzu, po czym odchodził, aby wrócić znowu za chwilę. Wreszcie postawił ponownie dziesięć rijos na latawca, który wzbudził w nim szczególnie zainteresowanie. Miał kształt czarnego kota z żółtymi oczami. Wygrał zakład raz, drugi, trzeci i czwarty ku powszechnemu zdziwieniu i zazdrości, gdyż nikt nie stawał na kota, nie dowierzając w powietrzu tak przyziemnemu stworzeniu. „Kot” tymczasem był wszystkich, wzbijając się coraz wyżej i zbliżając coraz szybciej ku zbawiennej smudze nadmorskiej. Wtem drogę mu zastąpiła nadlatująca skądś z boku zwykła, szara „gęś”. Ścigając się wzajem, znikli za krawędzią lasu. Zaciekawiony tłum widzów pobiegł w tę stronę. Rzucił się za nim i Gompaci, lecz się spóźnił i nie mógł przedrzeć przez lawinę biegnących na przełaj; zorientował się, że szybciej od nich wydostanie się na tamtą stronę pagórka, jeżeli pobiegnie ścieżką przez las. Tak też uczynił.

W lesie już panował zmrok, rozświetlany zaledwie przedzierającym się przez czarne gałęzie złotym pyłem gasnącej zorzy wieczornej. Na ścieżce nie spotkał nikogo, a ciszę naruszał jedynie jednostajny szum zaczynającego się morskiego przypływu, dolatujący zza góry. Drożyna nie biegła wprost, lecz zawracała, jakby okrążając stojącą poniżej świątynkę. Gompaci zawahał się, zrozumiał, że źle wybrał, że droga nie wiodła nad morze i że dlatego pewnie tłum ją ominął. Zatrzymał się i rozważał, czy lepiej zawrócić, czy też próbować przedrzeć się bezdrożem, gęstwiną? Postanowił wrócić i energicznie pomaszerował z powrotem, gdy wtem krzyknął na głos jakiś z tyłu.

— Gompaci! Hej! Młodzieńcze, stój! Zatrzymaj się!

Zdziwiony obejrzał się i rękę opuścił na szablę. Jakiś człowiek, stojący opodal w lesie, znowu zawołał:



— Gompaci! Na imię ojca twego, szanownego Sirai Take-tomo, za-  
trzymaj się!

Chłopak stanął i zwrócił się twarzą ku wołającemu.

— Czego chcesz? Kto jesteś? — zapytał głosem drgającym.

Nieznajomy zbliżał się powoli. Gompaci ze zdumieniem poznał w nim kulawego żebraka. Ogarnęła go zabobonna trwoga, mocniej ścisnął rękojeść oręża i zawołał ostrzegawczo:

— Czego chcesz? Mów!

Nagle poczuł cios z tyłu i nogi, podcięte ogarniającą go wielką wewnętrzną słabością, ugięły się pod nim.

— Zdrajcy... — wyszeptał. — Przekłęci!

Upadł. Ktoś w tej chwili nadepnął mu nogą na kark i zaczął szybko  
ściągać z pleców podróżny węzełek.

— Jeżeli żyje, dobij go! — słyszał, jak wołał z dala zbliżający się kulas.

— *O-chaj!* Nie trzeba! Zdechnie na pewno... Mój *wakiraszi* (sztylet)  
nigdy nie zawodzi! Popamięta nicpoń bractwo Ketsu-ona! — roześmiał się  
drugi głos, pochylony tuż blisko nad młodzieńcem.

— Więc się śpiesz, śpiesz, bo ludzie idą! Słyszysz?

— Zabierz mu szablę!

Gompaci mocniej oręż w ręku zacisnął: wtem przebiło go powtórne  
bolesne pchnięcie, krzyknął głośno i stracił przytomność.

## X

— Spójrz, dobry panie, jaki on młody! Dziecko prawie! Co złego mógł  
on komu uczynić? Jaka będzie szkoda, jeżeli...

— Czy żyje?! — przerwał nagle głos gruby i rozkazujący.

— Dyszy jeszcze, ale rana ciężka. Dwie rany. Umrze, jeżeli go tu zosta-  
wimy i dopiero ze wsi pošlemy pomoc. Krew go ujdzie!

— Oho! Więc go bierzcie! Tylko prędko!

— Wielka jest wspaniałość duszy twojej, panie! Ale to zabierze trochę  
czasu. Trzeba nałamać gałęzi i zrobić nosze.

Otyły magnat siedzący w lektyce poruszył się niecierpliwie.

— Ciemno już! Czy macie choć świece w latarniach?

— Wszystko w porządku, książę panie!

— A tego zbója trzymacie?

— Trzymamy, wielmożny panie.

— Odstawić go do wioskowego starosty!

— Razem z rannym? On samuraj! To widać z odzieży i broni. Napastnik  
też mówi, że jest samurajem, twierdzi, że jest niewinny i prosi pokornie,  
żeby go książę pan wysłuchał...

— Obaj roninowie? Co?! Może to istotnie nie rozbój, lecz zemsta  
rodowa?!

— Nie walczyli. Rana z tyłu, a druga zadana leżącemu, wielmożny panie.

— Więc co? Co mam robić?! Wplączecie mnie znowu w jaką awanturę!  
Niepoprawny jesteś, Norimici! We wszystko się wtrącasz.

— Bez przygód życie jest szare jak kurz Tokai-do, wielmożny panie! —  
roześmiał się dworak. — A jaka przygoda może być straszna dla księcia  
Goto Sikibu-no Kami, posiadacza dochodu 20 000 kokusów ryżu i pana  
kilkuset wiernych na śmierć i życie wasali.

Mówiąc to Fusiki Norimici, naczelnik przybocznej straży księcia, wciągnął  
mocno powietrze i pochylił nisko głowę w skrzydlatym hełmie.

— Już dobrze! Tylko się śpieszcie!

— Nosze zaraz będą, żołnierze już łamią gałęzie. Może tymczasem wasza  
wielmożność wybada zbója?

— Dobrze. Przeprowadźcie go!

Norimici kazał zapalić dwie latarnie i oświetlić nimi twarz postawionego przed księciem przestępcy. Był rozbrojony, dwóch żołnierzy trzymało go mocno za wykręcone w tył ręce.

— Kto jesteś?!

— Nagoja Sanza, były dworzanin księcia Honda Dai-naiki, obecnie ronin — odrzekł pośpiesznie więzień.

Książę Goto obrzucił samuraja bystrym spojrzeniem.

— Znam twójgo pana. Cóż się tam stało, że zostałeś roninem?

Po ciemnej, chudej twarzy Sanza przepłynął krwawy cień.

— Ukradziono bezcenną szablę Muramasa, którą pan mi powierzył. Wydalono mnie ze służby, skonfiskowano majątek, splamiono moje dobre imię... Szukam winowajcy...

— Więc winowajcą jest ten oto młody człowiek?

— O, nie! Winowajcą jest mój kolega, oficer, który pozazdrościł mi łask księcia, ukradł szablę, aby mnie zhańbić, i uciekł w niewiadomym kierunku. Tego młodzieńca nie ja ranilem. Przeciwnie, słysząc krzyk jego, nadbiegłem i wyrwałem go z rąk napastników.

— W którą stronę oni uciekli? Dlaczego ich nie ścigałeś?!

— Ratowałem chłopca. Uciekli w tę stronę! — odrzekł samuraj, wskazując głową na las.

— To niemożliwe. Stamtąd myśmy przyszli. Nikogo nie widzieliśmy. Nieprawda, Norimici?!

— Tak, właśnie, wielmożny panie! Nikogośmy nie spotkali. Chłopak ma istotnie świetny brzeszczot Muramasa... Może chciał mu go odebrać ten oto rycerz, żeby przedstawić w miejsce skradzionej szabli, wielmożny panie — zauważył ostrożnie Norimici.

— To prawda. Możesz mu chciał odebrać szablę, żeby przedstawić zamiast skradzionej?! — powtórzył żywo książę.

Po twarzy Sanza znowu przepłynął krwawy cień. Spotkawszy badawcze spojrzenie księcia, zuchwałych oczu jednak nie opuścił.

— Nie jestem złodziejem, wasza wielmożność! — szepnął wciągając mocno powietrze.

— Spytały chłopca, jak tylko przyjdzie do siebie...

— Tak, tak! Spytały chłopca, jak tylko przyjdzie do siebie, a teraz musisz iść z nami! — postanowił książę.

Gompaci już leżał na noszach, jęczał cichutko, ale oczu nie otwierał. Norimici skierował światło latarni na twarz młodzieńca.

— Piękny jak sam Jozsitsune! Czy nieprawda, wielmożny panie?

— Istotnie piękny! — zgodził się książę. — Ruszajcie już, bo chłód wieczorny wieje z tego lasu jak z piwnicy!

Tragarze pochycili lektykę księcia i pochód ruszył. Czerwone blaski latarni i czarne cienie ludzi zaskakały na ciemnym tle lasu. Do Norimici, który szedł na przodzie, zbliżył się pospiesznie jeden z żołnierzy straży tylnej i podał mu okrwawiony sztylet dziwnego kształtu.

— Gdzie znalazłeś?

— Niedaleko tego rannego ronina, na brzegu ścieżki...

Norimici uważnie obejrzał oręż, owinął go w kawałek wyjętego z rękawa papieru i rzekł do żołnierza:

— Dobrze. Możesz odejść.

— Ja znalazłem...

— Wiem: ty znalazłeś. Dostaniesz go, jeżeli okaże się niepotrzebny.

Rychło ścieżka przełamała się na przełęcz i jęła zbiegać na dół. Przez zarośla zabłysły rzędy świateł, stukot sandałów na ubitej drodze, gwar rozmów w dole, szum morskiego przypływu, wmieszały się do łagodnego szmeru kołysanego wietrzykiem lasu. Wyszli na Tokai-do i zatrzymali się przed jednym z rzęsiściej oświetlonych budynków. Na podniesieniu z ciosanych kamieni natychmiast zjawił się gospodarz i oddawszy czołobitny ukłon z tysiącem grzecznych omówień i wciągań powietrza, oznajmił, że czekają pokoje i wieczerza przygotowana dla jasnego księcia.

— Mamy rannego. Poślij po wioskowego lekarza i uwiadom starostę! — rozkazał mu Norimici.

Książę już wszedł do hotelu. Część orszaku udała się za nim; reszta pod nadzorem Norimici porządkowała i rozwiązywała pakunki, ustawiała lektykę oraz wniosła ostrożnie do domu wciąż nieprzytomnego Gompaci.

— Panie — rzekł nagle, przystępując do naczelnika eskorty Sanza — jestem, jak i ty, z dobrego rodu. Jestem niewinny i nie boję się sądu. Ale mam swoje powody, dla których proszę cię raz jeszcze, panie, wstaw się za mną do księcia, aby wysłuchał mojej opowieści, zanim mnie odda władzy wojskowej!

— Czy to twój sztylet? — spytał Norimici, pokazując znaleziony oręż.

— Ależ nie! Mój sztylet zabraliście wraz z szablą...

— Ohe! — bąknął Norimici. — Spróbuję wstawić się do księcia! Zaczekaj. Wszedł do hotelu; po chwili wyskoczył stamtąd żołnierz i zawołał Sanza.

Książę, już przebrany w jasne, domowe kimono, siedział wygodnie na jedwabnej poduszce przed niziutkim lakowym stoliczkiem z przyborami herbacianymi. Pił napój drobnymi łykami z maluchnej porcelanowej filiżaneczki, którą co chwila pieczołowicie napełniała płynem z pękających czajników kłęząca opodał młodzieńca *muś-me* \*. Przez otwarte szeroko *szodzi* widać było falujące w blaskach księżycy morze z czarną plamą skalistej wysepki pośrodku. Spod drewnianego sufitu zwieszała się latarnia z ślicznie wypisanym *hajkajem* na białomlecznym abażurze:

Makolągwa urodzona w klatce  
Nie zna lasów południa...

Sanza już w progu upadł na kolana i czołem uderzył o ziemię:

— O, panie dobrotliwy, chciałbym, aby twoje tylko uszy i uszy twego wiernego sługi Norimici słyszały moją smutną opowieść! — prosił wciągając mocno powietrze.

*Muś-me* — dziewczyny usługujące w hotelach i herbaciarniach.

— Rozwiązać go! — rozkazał książę.

Na dany znak wszyscy wyszli z wyjątkiem Norimici, który ukląkł z tyłu za swym panem, spróbowałszy przedtem niepostrzeżenie, czy mu szabla łatwo chodzi w pochwie.

— Mów! — zwrócił się książę do więźnia.

— Nieszczęście moje zaczęło się tak: Pewnego razu pan nasz Honda Dai-naiki pokazywał nam, dworzanom, jeden z mieczów ze swojej zbrojowni i kazał zgadywać, czyjego był wyrobu. „A ja myślę, że to jest klinga Musamune” — powiedział pierwszy Fuwa Banzajemon. Takagi Umanojo dowodził, że to robota Szidzu Kanendzi. Ale ja poznałem od razu po głębokim, sinym błysku stali, że to musi być Muramasa i wszcząłem z nim spór. Wtedy pan nasz kazał przywołać słynnego znawcę, który po długich rozważaniach przyznał mi słusność. Od tego dnia Banzajemon znenawidził mnie. Im więcej nasz pan wyróżniał mnie, tym więcej on mi szkodził i dokuczał. Wreszcie zaproponował księciu, aby kazał mi zmierzyć się z nim w fechtunkowej sali. Książę spytał mnie, czy się zgadzam, i rozumie się, że wyzwanie przyjąłem. Uzbroiliśmy się w drewniane miecze, nałożyliśmy maski i rękawice. Cały dwór zebrał się patrzeć na naszą walkę. Los dopomógł mi, uderzyłem po kilku złożeniach przeciwnika tak silnie w napiątkę, że wypuścił szablę, a wtedy, zanim zdążył ją podjąć, drugim ciosem w ramię powaliłem go na ziemię. Od dnia tego zdobyłem serce pana.

Jeszcze więcej zaczął mnie wyróżniać. Za to jeszcze więcej nienawidził mnie Banzajemon. Ale milczał; owszem, zataił się do czasu przede mną, był nawet bardzo uprzejmy. Zdarzyło się, że książę zechciał nabyć sobie dobrą klingę Muramasa i polecił mi ją wyszukać. Z wielkim trudem i po długim staraniu znalazłem odpowiednią broń, którą pan nasz kazał mi przechowywać u siebie przez czas, gdy majstrowie dorabiać będą do niej rzeźbioną rękojeść i kosztowną pochwę. Kazał nie żałować wydatków. Przychodzili majstrowie i we dnie pod moim osobistym nadzorem pracowali nad upiększeniami, a w nocy klinga leżała na widelkach podstawki mieczowej na podwyższeniu w mojej sypialni. Razu pewnego zbudził mnie ból i nagle uczucie palenia na szyi. Otwarłem oczy i ujrzałem przy świetle nocnej lampy twarz Banzajemona pochyloną nade mną. W rękę trzymał obnażoną szablę. Zasłoniłem głowę rękami i uderzyłem go nogą w żołądek. Wtedy odskoczył, zagaszył lampę i znikł w otwartym *szodzi* wiodącym do ogrodu. Schwyciłem moją szablę i wypadłem za nim, żona moja uzbroiła się w halabardę i niosąc zapaloną latarnię pobięła za mną, a za nią nasz syn Kosan-za ze sztyletem. Tymczasem ja daremnie upędzałem się za kryjącym się w cieniach drzew napastnikiem. Dopiero kiedy przybyła żona ze światłem, spostrzegłem go zaczajonego za grubym pnem sosny. Już zaczęliśmy go otaczać, pewni, że go schwytały, gdy nagle rzucił wielkim kamieniem w latarnię, zgasił ją i odskoczył znów w głąb ogrodu. Bojąc się poranić wzajem w ciemnościach, wstrzymaliśmy pościg i zajęli zapalaniem latarni. Skorzystał z tego, przeskoczył przez parkan i uciekł. Wybiegłem za nim na drogę, lecz chyżo umykał i był już daleko. Wtedy do-

piero poczułem wielką słabość i podniósłszy rękę do obolałej szyi przekonałem się, że jestem raniony...

Tu samuraj głowę w bok pochylił i pokazał okropną, świeżo zagojoną ranę na gardle.

— Ohe! — mruknął książę, wytrząsając popiół z fajeczki.

— Przy pomocy syna i żony wróciłem do domu i tu dopiero spostrzegłem, że na podstawie nie błyszczy już bezcenna szabla mego pana. Zrozumiałem, że wróg mój ją porwał, że nie tylko zapragnął mnie w ten sposób zrujnować, ale i zhańbić! Nie spaliśmy już do samego rana z wielkiej żalości i gniewu. Poszedłem powiadomić księcia o tym, co zaszło, i wysłuchać jego rozkazów. Oddał sprawę na sąd Rady, która choć uznała Banzajemona za złodzieja, nałożyła jednak na mnie ciężką karę za niedbałość, za słabe zabezpieczenie drogocennej broni od takiego wypadku. Straciłem miejsce, skonfiskowano mi majątek. Ale obiecano zwrócić, skoro odszukam Banzajemona i odbiorę odeń skradzioną broń.

Przyjąłem wyrok bez szemrania; poleciłem żonę i syna opiece krewnych i gotowałem się opuścić okolice jako ronin w poszukiwaniu mego krzywdziela. Ale przedtem pomyślałem, że powinienem pójść do braci-oficerów poradzić się, jak najlepiej osiągnąć mój cel. Udałem się przede wszystkim do Tagaki Umanojo, który uchodził za surowego, lecz prawego człowieka. Przedłożyłem mu moją prośbę; odpowiedział mi nadspodziewanie niegrzecznie. „Prawda, że Banzajemon jest złodziejem, lecz szabla zginęła jedynie przez twoją niedbałość. Nic nie będzie z twojego przyjścia do mnie o pomoc! Odejdź sobie z powrotem w spokoju!” Nie mogłem się powstrzymać i krzyknąłem: „Ach, widzę, że i ty cierpisz do mnie urazę za zwycięstwo moje w sądzie o szablach...” Nic nie odrzekł, a ja odszedłem z sercem pełnym goryczy i gniewu. Czyż mogłem puścić płazem taką niesprawiedliwość i obrazę? Przecież wiedział, że o mało nie postradałem życia w obronie szabli, że byłem ranny! Poczułem nagle tak silny ciężar w piersiach i żołądku, że zrozumiałem, iż nie uda mi się nic, nawet pościg za Banzajemonem, dopóki nie pomszczę nowej zniewagi. Nazajutrz pilnowałem na drodze Umanojo. Wiedziałem, że ten lubi łowić ryby, i rychło spostrzegłem, że jest właśnie z synem z wędkami nad rzeką. Podeszedłem ku nim. Umanojo widząc mnie domyślił się, że chcę znowu z nim porozmawiać, gdyż rzucił swą wędkę i wyszedł kilka kroków uprzejmie naprzeciwko mnie. Wydało mi się, że chciał mnie przeprosić. Lecz duch szabli już mnie opętał, krzyknąłem na całe gardło: „Panie Umanojo, wyjmij już mnie opętał, krzyknąłem na całe gardło: „Panie Umanojo, wyjmij szablę i broń się! Co? Może nie byłeś w zмовie z Banzajemonem, aby wyrzucić zło na mnie? Obnaż pan szablę, obnaż! Pomogłeś zniknąć twemu współnikowi, lecz sam tu jesteś i odpowiesz za jego sprawki. Nie udawaj niewiniątka! Twoja zdziwiona mina nie uratuje cię! Broń się, ty tchórz i zdrójco!”

„Nie, panie, przynigdy nie jestem winien w tej sprawie! Poniżasz swą godność z tak nędznego powodu!” — odpowiedział mi. To mnie jeszcze bardziej rozgniewało. „Falszywy hultaju! — krzyknąłem. — Boisz się,



że nie oprzesz mi się! Znam ja wasze zdradzieckie serca!" Natarłem i po kilku skrzyżowaniach szabli ciąłem go w czoło; upadł umierający na piasek. Jego syn Umanosuke zobaczył z daleka walkę i biegł ku nam, krzycząc i rzucając we mnie kamieniami. Ale przybył za późno. Otarłem moją skrważoną szablę, gdy Umanojo wydał ostatnie tchnienie. „Stój, panie Sanza, morderco mego ojca! — zawołał Umanosuke wyciągając swoją szablę i stając przede mną. — Musisz bić się ze mną, abym mógł na tobie pomścić śmierć mego ojca!"

Umanosuke miał wszystkiego piętnaście lat, ale na jego dziecinnej twarzy dostrzegłem taki szlachetny gniew, żal i uniesienie odwagi, że złość moja od razu zagaśła. „Tak, to jest właściwe i słuszne, że chcesz zamordować nieprzyjaciela twego ojca, lecz chociaż ja to wywołałem kłótnię z twoim ojcem i zabiłem go, jak przystoi samurajowi, nie mogę jednakże obecnie z przyjemnością narazić dla ciebie życia, gdyż ono potrzebne mi jest dla innych celów: muszę ukarać Banzajemona i zwrócić ukradzioną przezeń szablę. Gdy zwrócę memu panu szablę, będę służył chętnie twej zemście i będziesz mnie mógł spróbować zabić. Wierne jest słowo żołnierza, lecz aby cię upewnić jeszcze więcej, że spełnię moją obietnicę, dam ci, panie, w zastaw mego syna i moją żonę. Wstrzymaj swoją mściwą rękę, proszę cię, panie, aż spełnię mój obowiązek!"

Umanosuke okazał się szlachetnym chłopcem, wysłuchał mojej uniżonej prośby i odrzekł: „Zgadzam się czekać i biorę twoją żonę i syna w zastaw, aż do twego powrotu!" Pokornie podziękowałem mu i obiecałem po odszukaniu Banzajemona wrócić i przyjąć jego zemstę. Czy wobec tego mogłem myśleć o takich rzeczach, jak rozbój w czasie drogi, osądz, dobry panie? W dodatku mam pieniądze! — dodał Sanza, wyciągając zza pasa sakiewkę.

— Ohe! Zapewne. Sztylet twój również jest czysty, a ten okrwawiony, powiadasz, że nie twój? — zauważył łagodnie książę.

— Sztylet jest nietutejszy. Z dalekiej pochodzi północy. Tu takich już nie wyrabiają! — wstawił Norimici.

— Zabiłem człowieka. Jeżeli oddacie mnie władzy, posadzą mnie do więzienia. Śledztwo nie wiadomo kiedy się skończy. Banzajemon dowie się, że go szukam, skryje się w dalekich stronach. Kiedyż go znajdę? Po dwakroć nie dotrzymam słowa i imię moje zostanie wiecznie pohańbione. Nic mi w takim razie nie pozostaje, jak zrobić zaraz *harakiri*. Jeżeli wolisz, Wasza Książęca Mość, jako dowód mojej niewinności... uczynię to natychmiast!

Książę Goto milczał przez długą chwilę.

— Wierzę ci, ale widzisz, muszę też zachować przepisy prawa. Poczekamy, co powie ten młody człowiek, kiedy się obudzi.

— Śpi i bredzi przez sen! — zauważył Norimici.

— Uzbrój się w cierpliwość i zaczekaj do jutra.

Sanza uderzył znów czołem przed księciem i wycofał się tyłem za drzwi.

## XI

Nazajutrz Gompaci oprzytomniał na tyle, że mógł odpowiedzieć na kilka zapytań księcia. Postawiono przed nim Sanza.

— Czy znasz tego człowieka?

— Nie, nie widziałem go nigdy!

— Czy to nie on na ciebie napadł w lesie koło świątyni?

Gompaci zawahał się, wzrok jego spotkał się z błagalnym, żalnym spojrzeniem Sanza.

— Zostałem uderzony z tyłu. Inaczej nie dałbym się, ale tamci byli... zbóje Ketsu-ona... Ja ich znam!

— Ketsu-ona? — podchwycił Norimici. — Czy to nie ich sztylet?

— O, tak! To jest ich sztylet ząbkowany. Ja ich znam. Ścigają mnie... Przekłęci! O, Komurazaki! Gdybyś wiedziała... Cieniu... kwiatów...

Przymknął oczy i zaczął znowu majaczyć.

Książę po krótkiej naradzie z Norimici postanowił, że chociaż Sanza nie winien jest nic a nic w tej awanturze, lecz ponieważ nieostrożnie znalazł się w jej pobliżu, powinien ponieść skutki, jakie wypadek nań nałożył, i zostać przy młodym chłopcu jako opiekun, dopóki ten nie przyjdzie zupełnie do siebie.

— Bardzo chętnie, gdyż tak podobny jest do mego syna! — zgodził się Sanza.

Książę zostawił mu dziesięć uncji srebra na leczenie Gompaci i odjechał nazajutrz.

Z wolna goiła się rana młodego ronina, jeszcze wolniej wracały mu siły. Wciąż widział u swej pościeli posępną brązową twarz nieznajomego, który doglądał go w chorobie z czułością ojca. Ale nie dowiedział się od niego, ani kim był, ani skąd przyszedł, ani dlaczego tak troskliwie opiekuje się nim, ani dlaczego nigdy się nie uśmiecha. Milczący opiekun powiedział mu tylko swoje imię, Sanza, i dodał, że pilnuje go z ramienia księcia Goto Sikibu-no Kami, który znalazł jego, Gompaci, rannego w lesie i wybawił od pewnej śmierci. O swoim udziale w tym wybawieniu przemilczał.

Kiedy Gompaci już mógł sam wstawać i wychodzić na balkon, Sanza położył przed nim pewnego poranku kupkę srebrnych pieniędzy i rzekł:

— Oto reszta z pieniędzy, które zostawił dla ciebie książę. Myślę, że ci się bardzo przydadzą, gdyż rabusie zabrali ci wszystko.

— Została mi szabla! — roześmiał się Gompaci. — A to jest więcej niż wszystko!

— Słusznie mówisz: dla samuraja jest to bardzo wiele, ale przyda się i trochę pieniędzy wśród obcych. Powinieneś pięknie podziękować księciu Goto Sikibu-no Kami, kiedy znajdziesz się w Jeddo.

— Książę Goto to taki gruby, bardzo gruby, wielki pan? Przypominam sobie jak przez mgłę. Tam był jeszcze ktoś drugi.

— Tak, był naczelnik jego straży przybocznej Fusiki Norimici. Również bardzo życzliwy dla ciebie szlachcic!

— Powiadasz, że oni są z Jeddo? Ale skądże wiesz, panie, że ja tam właśnie idę?

— Wszyscy tacy jak ty tam idą!

— Ja nie jestem... — zaczął Gompaci, lecz nagle przerwał i spojrzał podejrzliwie na nieznanego.

Ten zdawał się nie zauważać jego spojrzenia.

— Zabierz swoje pieniądze. Dziś odchodzę. Nie jestem ci już potrzebny.

— Dlaczegoż nie zaczekasz, dobry panie, abyśmy mogli udać się razem w dalszą drogę?

— Muszę się śpieszyć, aby dopędzić mój los! I tak straciłem już zbyt dużo czasu.

— Jeżeli i ty idziesz do Jeddo, to gdzie cię znajdzie?

— Nie znajdziesz mnie, młodzieńcze, gdyż jestem jak fala bez miejsca i możliwości wytchnienia. Może i ty takim zostaniesz.

— Już jestem... — szepnął chłopak.

— Tym gorzej! Żal mi cię. Wezśnie zacząłeś!

— Mogę w każdej chwili wrócić, gdybym chcia! — odrzekł z pewną dumą.

— A ja już wrócić nie mogę!

Pożegnali się głębokim dworskim ukłonem i Gompaci pozostał sam.

Jeszcze pięć dni ubiegło, zanim odważył się pomyśleć o dalszej podróży. Wprawdzie rana zagoiła się zupełnie, ale czuł się bardzo jeszcze osłabiony i chętnie przeleżałby w cichym swoim pokoiku drugie tyle, gdyby nie straszliwa szybkość, z jaką uchodziła mu z rąk moneta. Hotel okazał się bardzo drogi, a jego gospodarz bardzo chciwy. Chociaż Gompaci wypruł srebrne pieniążki, zaszyte przezornie przez Komurazaki w końcach jego rękawów, z przerażeniem dostrzegł, że niewiele mu pozostanie na drogę, jak tak dalej pójdzie. Co dzień liczył swoje grosze oraz dni koniecznej podróży do stolicy; dzielił skrupulatnie monetę i coraz mocniej utrwalał się w przekonaniu, że jeżeli natychmiast nie wyruszy, pieniędzy mu na połowę drogi nie starczy.

Wyruszył więc. W pierwszych dniach podróży czuł się bardzo słabym i musiał często przysiąść i wypoczywać; potem trochę się wzmocnił, przyzwyczał; nie mógł jednak nigdy przejść całej zamierzonej ilości *ri*. Podróż opóźniła się i pod koniec miał pieniędzy tak mało, że mógł zaledwie raz

na dzień kupić sobie małą garsteczkę gotowanego ryżu, a w dzień, kiedy musiał sobie podgalać czuprynę, zwykle nic nie jadł. Z trwogą myślał, co nastąpi, gdy wyda ostatni grosz. Żebrać nie umiał i miał nieprzewycięzoną do tego odrazę. Czyż nie był właśnie przedmiotem zemsty i prześladowań tych żebraków i włóczęgów z kudłatymi łbami, do których, w razie żebrania, byłby musiał się przyłączyć i w łaski ich wkupić?! Przecież nigdy! Nienawidził ich. Nie mógł zapomnieć ucisku cuchnącej stopy, opartej wówczas na jego karku. Nieraz mierzył spotkanych włóczęgów do tego stopnia gniewnym i mściwym wzrokiem, że ci cofali się z wyrazem przestachu i zdumienia na twarzy. Spotykał jednak czasami nie mniej groźne i złe spojrzenia, świecące pod kosmykami niechlujnych włosów spadających im na czoła. Wtedy szedł ku nim z ręką na mieczu i złośliwie uśmiechał się, gdy mu ustępowali.

Po wielu dniach podróży dowiedział się nareszcie, że do stolicy pozostał zaledwie dzień drogi. Wydał ostatni grosz i choć był bardzo zmęczony, postanowił dostać się tam jeszcze tegoż dnia wieczorem, gdyż był pewny, że tam czeka nań zbawienie...

Tyle dworów książęcych! Tyle żołnierzy! Tyle rozmaitych spraw! Tyle bogactwa! Zaraz się zaciągnę do jakiego dajmiosa. Wciąż się kłóca, potrzebują rębaczy — marzył, spoglądając na coraz liczniejsze tłumy przechodniów, orszaki wielmożów, przewijające się na szerokiej, pyłnej wstędze wielkiej drogi.

Szedł, wciąż kroczył, choć nogi ugiwały się pod nim, choć wieczór już zapadł i opustoszała droga. Minął wesołe ognie Sugumori, posępny cień Gaju Dzwonów i wyszedł na dolinę, w końcu której światła stolicy migały we mgle jak niezliczone gwiazdy w chmurach nadmorskich.

Wtem z krzewów pobliskich wyskoczyło sześciu zbrojnych ludzi.

— Nie mam nic prócz życia! — wykrzyknął wyciągając szablę.

— Po nie właśnie przyszliśmy! Cienie pomordowanych naszych towarzyszy proszą o nie! — odpowiedział mu znany głos.

— Przedtem ty zginiesz, przeklęty Ketsu! Tyś ukradł moje pieniądze i ranieś mnie w Święto Latawca!

— *So-da!* — odrzekł zbój. — Myślałeś, że tak łatwo ujdzie ci nasza krzywda?! My też jesteśmy dziećmi tej ziemi i nade wszystko kochamy zemstę!

Gompaci natarł na przeciwnika, lecz ten odskoczył zręcznie w bok, puszczając przed siebie dwóch rośłych drabów z ogromnymi dzidami. Samuraj zręcznie podbił jedną z nich i jednocześnie rozpruł żołądek przeciwnikowi tym samym sztychem. Błyskawicznie zastawił się szablą przed drugim, przysiadł ku ziemi, tak że ostrze dzidy trafiło w próżnię powyżej jego głowy. Wówczas skoczył naprzód jak kot i gwałtownym pchnięciem przebił napastnika. Wyprostował się, ciężko dysząc.

Lecz już napastowało go nowych trzech z szablami; bronił się, parował uderzenia, czuł jednak, że słabnie. Przeciwnicy umieli władać mieczami i żwawo nacierali z przodu i z boków, podczas gdy Ketsu-on ostrożnie zachodził mu z tyłu. Gompaci cofał się, oglądając przezornie na jakieś

drzewo, słup lub jakieś inne oparcie dla ochrony pleców. Nie spostrzegł nic w pobliżu. Zebrał więc sił ostatek, natarł sam i usieknął raz jeszcze jednego w rękę. Rozumiał jednak, że zginie niechybnie, otoczony ze wszystkich stron, gdy nagle napadający, bez żadnej widocznej przyczyny, podali tył i rozprysnęli się we wszystkie strony jak kropla wody uderzona kamieniem.

Zdumiony obejrzał się i dostrzegł za sobą na drodze stojącą lektykę, obok niej gromadkę tragarzy. Za uciekającym zaś w pole Ketsu-onem biegł jakiś nieznajomy z wzniesioną szablą. Gompaci, śmiertelnie zmęczeni, obcierał pot z czoła i krew z szabli połą kimona. Nieznajomy przestał ścigać Ketsu-ona i zbliżył się ku niemu.

— Kto jesteście i czego chcecie ode mnie? — spytał podejrzliwie Gompaci ludzi pilnujących lektyki.

— Jesteśmy „Oto-ko-date”, a to nasz ojciec Czobei z Bandzuin, który cię zbawił! — odpowiedzieli wesolo.

Gompaci włożył natychmiast szablę do pochwy i zwrócił się do wracającego z pościgu mężczyzny.

— Nietutejszy jestem i nie wiem, wielce szanowny panie, kto jesteś?! Muszę jednak podziękować ci za wybawienie od wielkiego niebezpieczeństwa... Gdybym tylko kiedykolwiek mógł odwdziżyć się w podobny sposób tobie, panie...

— Jestem tylko biednym mieszczaninem, najskromniejszym z równych mi ludzi. Ucieczkę rozbójników należy przypisać raczej szczęśliwemu wypadkowi niż mojej zasłudze. Złękli się nie wiadomo czego. Za to ja zachwycony jestem pańską walecznością. Pan wykazałeś tyle sztuki i męstwa potykając się z liczniejszym przeciwnikiem, że stanowczo umiejętność pana oraz cnoty rycerskie są stokroć większe, niż pozwala przypuszczać kwitnący wiek szanownego pana!

— Doprawdy? — spytał Gompaci, uśmiechając się najpiękniejszym swoim uśmiechem na tyle pochwał. — Jestem jeszcze bardzo młody i niedoświadczony, wstydzę się bardzo swego niezręcznego fechtunku!

— Jest późno i czy mogę spytać szanownego pana, dokąd pan kieruje się o tej porze? Może mógłbym jako tutejszy wskazać jaki hotel odpowiedni?

— Prawdę powiedziawszy sam nie wiem! — odrzekł ze smutkiem Gompaci. — Jestem roninem i nie mam nic określonego na widoku!

Czobei chwilę milczał, przyglądając się uważnie zmęczonej i wynędzniałej twarzy młodzieńca, wreszcie rzekł wolno:

— To źle! Nie łatwo znaleźć w tych czasach miejsce i pracę. Ale jeżeli pan jako samuraj wybaczy mi, że chociaż skromny mieszczanin, ośmielię się zaproponować ci mieszkanie u mnie, zanim nie znajdziesz bardziej odpowiedniego dla siebie pomieszczenia i godnego zajęcia, to prosiłbym bardzo zaszczycić moją ubogą chatę, którą całkowicie oddaję do rozporządzenia pana!

Gompaci, wciągając mocno powietrze i chyląc się wielokrotnie w niskich ukłonach, z radością przyjął zaproszenie. Obaj ruszyli natychmiast piechotą ku miastu, a pustą lektykę z tyłu niesiono za nimi.

## XII

Siedzieli w kółko, podwinąwszy wygodnie pod siebie nogi, dookoła ciepłego *hibaczi* i ciągnęli dym z małych fajeczek. Rozsunięte szeroko *szodzi* otwierały rozległy widok na błękitnożłoty poranek pogodnego dnia, na tonące w zieleni miasto. Służąca, pełzając cicho po miękkiej macie, uprzątała stoliczki po tylko co spożytym śniadaniu.

— Token Gombei, ty byś wziął z sobą chłopca i zapoznał go trochę z miastem. On zapisał się do naszego bractwa (Otokodate) i zostanie u nas, dopóki nie znajdzie sobie zajęcia! — zwrócił się ojciec Czobei do siedzącego tuż obok niego żołnierza o twarzy ciemnej i szeroko rozlanej jak u Mongoła.

Token Gombei wyjął z ust fajeczkę i chwilę przyglądał się klęczącemu skromnie na uboczu Gompaci.

— Trudno będzie o zajęcie w tej porze. Dajmiosi rozjechali się już do swoich dajmijatów. W ogóle w stolicy teraz trudno o zajęcie. Tyle rozmaitej napchało się hołoty! Ile to czasu potrzebowałem ja, żeby coś znaleźć?! — mruknął inny, gruby, tęgi, jakby z kamienia wyciosany, bojownik.

— Ty, Banzajemon, co innego. Jesteś już starszy i inne miałeś wymagania! — wstawił się łagodnie Czobei.

— Znajdziemy coś! Na początek byle się zaczepić! Prawda, rycerzu? — zwrócił się Token Gombei z uśmiechem do Gompaci.

— Tak, mniej więcej — odrzekł ten grzecznie, chyląc się i wciągając mocno powietrze.

— Ale musi przede wszystkim wziąć sobie przydomek — zagadał głośno Szirobei przewany Żrebem.

— Tak, to prawda. Jakże go będziemy zwali? — zgodził się Token Gombei.

— Nazwijmy go „Wiosna”, gdyż przyszedł do nas na wiosnę! Czy zgadzasz się? — spytał Czobei z łagodnym uśmiechem gościa.

— Mniej więcej — odrzekł Gompaci, znowu chyląc się grzecznie i wciągając powietrze.

— A może to dla niego za skromne? Jeden wyraz! To dobre dla nas, mieszczan, a dla człowieka szlachetnego lepiej pewnie brzmieć będzie



„Bambus rosisty na urwisku” albo „Blask słońca na porannej fali”. Cha, cha! — zarżał nagle Żrebiec.

— Cicho! Już się zgodził — postanowił Czobei i zastukał wypaloną fajeczką o krawędź *hibaczi* na znak, że rozmowa skończona. Wojownicy podnieśli się i, kłaniając się nisko „ojcu” Czobei, wychodzili jeden za drugim.

Ostatni wyszedł Token. Czobei dał mu parę monet na wydatki dla Gompaci.

— Spraw mu nowe sandały, nie może przecie nasz brat, nawet tak młody, chodzić boso! No i kimono skromne, ale dobre!

— *Sajo de gozaimasu!*\* — mruknął Gombei. Zrobił porozumiewawczy ruch ręką i przyłączył się do oczekującego na podsieniu Gompaci.

— Więc będziemy cię zwali Haru (wiosna). Słyszysz, Gompaci? My tu wszyscy mamy przydomki, a to dlatego, aby nie wyróżniać się od tych, którzy nie mogą używać własnego nazwiska. Niektórzy mają tajemnice. Ja bo ich nie mam — gadał wesoło Gombei. — Ale przydomek mam; nazywam się Token, co znaczy pies, gdyż będąc małym chłopcem zabiłem wściekłego psa, a Szirobei zwie się Żrebcem, bo skacze jak dziki kozioł i śmieje się za głośno...

— Cha, cha, cha! To prawda! — potwierdził Żrebiec. — Dlaczego nie mam się śmiać? Szczególniej, jak uda się spłatać figla tym paniczom Dżiurozajemona!

Tak gwarząc przedzierali się przez gęsty tłum przechodniów, wypełniających ulice.

Gompaci nie słyszał dobrze, co mówili, czuł się oszołomionym, nieledwie pijanym od tego gwaru, ruchu, zmienności ludzkiego wiru, w który wpadł nagle. Wciąż biegła nań, oblewała go, mijała fala ludzkich ciał, niosąc na sobie błyski białych twarzy — młodych, starych, smutnych lub śmiejących się, ożywionych lub zamyślonych, niecierpliwych lub obojętnych. Tysiące oczu błyszczało dookoła, tysiące piersi dyszało, tysiące ust poruszało się, wydając dźwięki. Tu i tam wyskakiwały podgolone lby samurajów jak bąble piany; płynąc kołysały się kunsztowne uczesania kobiet, upięte kwiatami lub wielkimi szpilkami świecącymi kolisto jak promienie gwiazd. Barwne cienie szeroko rozpiętych pod słońcem parasoli rzucały na ten tłum kolorowe plamy, niezliczone wachlarze trzepotały się jak skrzydła polatujących motyli, potok tkanin wzorzystych, różnokolorowych sunął wciąż i mienił się, niby luska pełzającego Drakona Życia bez początku i końca...

Nieustraszone serce ronina biło nierówno, chwilami omdlewało pod naciskiem nie znanego mu dotąd uczucia. Jakże go gniewały, niecierpliwily te wszystkie obce ciała, budzące w nim grozę bezsilności i zupełnego osamotnienia. Był dla wszystkich niczym. Tonął wśród innych. Jednocześnie jakże pragnął ich wszystkich poznać, pokonać, zawiadnąć nimi, przytrzymać, przykuć do siebie te ślizgające się po nim obojętne spojrze-

nia, zabrać wyłącznie na swój użytek uśmiechy tych ust, wśród których było tyle ślicznych, kobiecych, świeżych i purpurowych jak rozpekły owoc dojrzałego granatu.

Sam sobie się dziwił i zdziwienie to potęgowało jeszcze ogólnie przykre uczucie. Przecież wszystkie te postacie znał, rozróżniał doskonale kupców od rzemieślników, szlachtę od chłopów, bogaczy od biednych, żebraków i włóczęgów od żołnierzy, a kurtyzany od kobiet cnotliwych.

Przecież wszystkich ich już tylekroć spotykał w swej wędrówce na Tokai-do.

O, tam było zupełnie co innego! Tam nawet najgęstszy tłum wydawał się nikłym różańcem, przesuwanym nieśmiało wśród bezmiaru okalających przestworzy. Tam wzrok na chwilę nie tracił widoku bezkresnych dali lazuru morza, rozłogów wzorzystych pól, zwartych ścian, szmaragdowych lasów, błękitnych wnek głębokich dolin, zmieszanych z chmurami szczytów niebotycznych gór.

Tutaj wszystko to nikło: tłum ludzki i jego mieszkania zasłaniały świat. Szum głosów i stukot sandałów pokrywał nawet plusk oceanu, bijącego o niedalekie brzegi.

A przecie miał tu on, Gompaci, pozostać na długo, może na zawsze, i znaleźć sobie miejsce w tym tłumie!

Posmutniał, nawet przybladł i niezręcznie posuwał się za towarzyszami, starając się nie odłączać od nich na krok, z trudnością wstrzymując się nieledwie od chwytania ich za rękawy. Wciąż jednak trafiał w drodze na przeszkody, potraçał lub zderzał się z przechodniami, co wywoływało wesoły śmiech lub gniewny pomruk poszkodowanych. Szczególniej trudno mu było ominąć tych bardzo licznych, dobrze wychowanych ludzi, którzy, spotkawszy znajomych, musieli z nimi zamienić trzy nagłębsze ukłony. Kto mógł przewidzieć, że właśnie tutaj podoba im się przysiąść, dotykając palcami ziemi? Inni znowu biegli jak szaleńcy, wykrzykując coś głośno, a tłum rozstępował się pospiesznie przed nimi jak fala morza przed narwalem lub delfinem.

Ronin starał się zrozumieć, o co im chodzi, oglądał się za nimi, a wtedy znowu potraçał kogoś, wysłuchiwał przykrych uwag, przeproszał i gubił towarzyszy.

— Pospieszaj, pospieszaj! Bo stracisz nas z oczu i zabłądzisz. Zobaczysz! To nie Tottori! — pouczał go dobroliwie Gombei.

— Jakże ich dużo! Nigdy nie przypuszczałem! — wybąkał Gompaci.

— Szczególniej strzeż się gońców! Zdepczą cię i nawet nie przeproszą, zupełnie jak stepowe konie! — śmiał się Żrebiec.

— A jakżeś ty sobie wyobrażał stolicę? — spytał ciekawie Gombei.

— Wyobrażałem sobie, że tu w pięknych ogrodach stoją rzędami ciche, złote pałace, z których wychodzą od czasu do czasu wspaniali rycerze i piękne panie...

— Są, są i takie! Ale to w dzielnicy Kodżimaczi. Pokażę ci później, a teraz pójdziemy kupić sandały i kimono z naszymi znakami. Żebyś był jak inni, bo ojciec Czobei powiedział, że przyłączyłeś się do nas ostatecznie...

\* *Sajo de gozaimasu* — nieprzetłumaczalny wyraz ugrzecznionej zgody.

— Choć jesteś samurajem! To ci się chwali! — przytaknął Żrebiec. — Ja też jestem szlachcicem. Ale po naszej stronie sprawiedliwość!

— *Sa-jo! Sa-jo!* — zgadzał się grzecznie Gompaci, choć nic nie rozumiał.

W sklepie z obuwiem załatwili się prędko, o wiele więcej czasu zajęło im wybieranie kimona, gdyż Gompaci trochę grymasił; to kolor mu się nie podobał, to rękawy były za krótkie, to składki z tyłu za małe. Żrebiec był wprost zgorszony.

— Widzę, młody bracie, że tu się nie znajdzie odpowiedniego dla ciebie ubrania. Lepiej chodźmy od razu na ulicę Ginza, gdzie ubierają się książęta!

— Daj mu spokój! Młody, niech się bawi! Nie zapłacimy przecież więcej, niż możemy zapłacić! — uspokajał towarzysza dobroduszny Gombei.

Gompaci usłyszał ich rozmowę, poczerwieniał mocno i wziął pierwsze kimono, jakie mu podano. Ale na jego smukłym, młodym ciele każda szata leżała wybornie, w dodatku ciemnoszary jedwab tkaniny doskonale podkreślał czysty, świeży brąz jego cery. Gombei patrzył nań ze szczerym zachwytem i pomagał mu pieczołowicie założyć należycie za pas jego niezrównane Muramasa.

— A gdzie kaptury na rękojeści szabel? — zapytał, rozglądając się dokoła.

Stłudz sklepowi również zaczęli szukać kapturów.

— Nie mam ich, nie mam! Dawno zgubiłem! — wstydliwie wstrzymał szukających Gompaci.

— Tak! Dobrze. Kupimy je potem, to teraz nie starczy nam na wszystko. Niech świecą twe rękojeści, niech ludzie widzą, jakie są ładne. Wyglądasz, mały, jak prawdziwy książę. Tylko te białe znaki na rękawach mówią, że jesteś z nami! Cha, cha! One mówią! — śmiał się Gombei, klepiąc ronina po ramieniu.

Na ulicy zatrzymał wędrownego przekupnia i wybrał u niego papierowy wachlarz z wymalowaną ślicznie gałązką kwitnącej wiśni.

— Teraz już cię nikt nie pozna, jesteś jak my wszyscy. No, chodźmy na śniadanie! — gadał wesoło Gombei, idąc przodem i ciągnąc za sobą zupełnie już udobruchanego chłopca.

Wtem niedaleko rozległy się głośnie okrzyki, tłum zafalował się, rozstąpił, zatrzymał. Z bocznej ulicy wypadł w tej chwili zbrojny orszak i rozciął cofającą się cizbę jak ostry miecz.

Na przodzie sunął drobnymi krokami goniec ze złoconym znakiem na wysokim drążku i krzychał chrapliwie:

— Droge, droge Jaśnie Wielmożnemu Księciu! Rozstąpcie się! Droge, droge!

Za nim biegli w dwóch rzędach zbrojni w szable ludzie, dalej kotysała się wspaniała lektyka, niesiona przez ośmiu nagich tragarzy, szczęściu zapasowych podążało tuż obok, a dwunastu samurajów w rogatych przyłbicach i czarnych pancerzach zamykało pochód. W lektyce siedział otyły, otulony w jedwabie i brokaty magnat.

Gompaci oniemiał z początku ze zdziwienia; potem nagle rzucił się za orszakiem, lecz wstrzymał go gwałtownym szarpnięciem za rękaw Gombei.

— Co chcesz uczynić, szaleńcze?! Żołnierze zarąbią cię!

— Ależ to Goto Sikibu-no Kami!

— No, tak! Nasz wróg... Bo to on do spółki z Mizuno Dżjurozajemomem, Kondo Noborisuko i opatem Shirogoro założyli Otokodate Panów. Myślałem, że chcesz go zabić...

— Ależ nie! Przecież to on uratował mi życie.

— Książę Goto uratował ci życie? Co ty pleciesz?

— Cóż takiego? Przecież Gompaci wtedy nie był jeszcze „Wiosną” z Otokodate — zauważył rozsądnie Żrebiec.

— To prawda. Ale to ciekawe! Pójdziemy do herbaciarni i opowiesz nam całą historię — powiedział po chwili namysłu Gombei.

Udali się aż do parku Ueno, gdzie choć już wiśnie okwitły, było ślicznie nad srebrnymi stawami. Młody lotos rozwijał swe szerokie liście, a wodospady kwitnących jeszcze glicynii, zwieszane w altanach nad wodami, odbijały się w nich ametystową luną.

Dwie młodzieuchne *muş-me* w ciemnych kimonach, opasane pasowymi *obi*\*, schylone w przyziemnym ukłonie, spotkały żołnierzy przy wejściu do herbaciarni, zdjęły im zakurzone sandały i powiodły na werandę, dokąd Gombei kazał podać herbatę i ciastka.

Lubowali się w przyjemnym chłodzie ślicznym słonecznym widokiem, popijali wyborną herbatę, z której przedziwnej goryczki poznali od razu, że istotnie pochodzi z Udzi, jak to sobie zamówili, a Gompaci tymczasem wzruszonym głosem opowiadał im swoje przygody...

\* *Obi* — barwny, szeroki pas z wielką kokardą na plecach.

### XIII

— Już dziesiąty dzień mija i nie! Niedobre miasto! — skarżył się Gompaci młodemu koledze z Otokodate, przezwanemu Sei-bei.

— Oho, ja już miesiąc szukam i nic... Rad jestem, że choć mam dach nad głową i garść ryżu co dzień — odrzekł Sei-bei.

— Właśnie to mnie boli: brać jałmużnę jak dziad...

— Jaką jałmużnę?! Ojciec Czobei potrąci ci wszystko z zarobku, skoro znajdziesz zajęcie. Im więcej weźmiesz, tym pilniej będą szukali dla ciebie pracy. Zresztą to grosz wspólny. Każdy, prócz długu, płaci na utrzymanie całego Otokodate...

— Wiem, ale nie chcę! Nie podoba mi się. Pójdę lepiej do pałacu księcia Goto, dowiem się, może wrócił?

— Ej, jeszcze cię tam zabiją!

— Nie mi nie zrobią. Już tam byłem. Przyjęli mnie bardzo dobrze. Ale nie zastałem księcia ani Fusiki Norimici. Wyjechali do Kijoto na Innari Matsuri\*. Nikt mnie więc nie znał. Inaczej zaraz bym dostał miejsce, tak mi mówili.

— A wiedzieli, że przystałeś do ojca Czobei?

— Wiedzieli. Nie ukrywałem przed nimi.

— To na pewno jakaś zasadzka. Zgody między nami być nie może. My właściwie odbieramy rycerzom chleb.

— My? Rycerzom?

— Nam więcej wierzą i my mniejszej żądamy zapłaty, dlatego nas chętniej najmują do pilnowania towarów w drodze lub porządku w miastach. W dodatku my, kiedy trzeba, nie wstydzimy się nosić ciężarów. A tam są sami... samuraje... Radzi są tylko każdego wykpić, wyśmiać...

— Wykpić?! Jeszcze nikt ze mnie nie kpł bezkarnie! — przerwał Gompaci, opierając rękę na głowni szabli.

Sei-bei spojrział nań bystro z ukosa i wydał wargi.

— Dużo w Jeddo jest dobrych rębaczy. Nie chciałem ci dokuczyć! —

---

Innari Matsuri — święto Lisa.

odpowiedział łagodnie. — Jeżeli koniecznie chcesz, pójdę z tobą do księcia, choć on pewnie jeszcze nie wrócił, gdyż słyszałem, że uroczystości tym razem, na skutek przyjazdu do Kijoto Szioguna, przedłużą się znacznie. Lepiej pójdziemy do Josziwary. Tam ślicznie. Choć wiśnie już okwitły, ale kwitną jeszcze peonie, wistorie, azalie i kwitnąją zaczynają irysy. A irysy to przecież kwiat miłośnic i tam są najpiękniejsze!

— Co? Kwiaty czy kobiety? — uśmiechnął się Gompaci.

— Jedne i drugie! Przyjrzyjmy się im choćby z daleka, my, ludzie biedni!

— Zdarza się jednak miłość i bez pieniędzy! — zauważył chmurniejac Gompaci.

— Na to trzeba być takim ładnym chłopcem jak ty! — roześmiał się Sei-bei. — Dla mnie to jest na zawsze zamknięte!

Tak gawędząc, szli wąskimi, krętymi uliczkami przedmieścia ku widniejącej w oddali purpurowej wieży świątyni Asakusa, ku coraz wyżej wznoszącym się nad dachami domów obłokom zieleni parku Ueno.

Wreszcie wyszli nad brzeg szerokiego błotnistej kanału, pełnego kwaczących żab, zarosniętego lotosem, trzciną i sitowiem, poza którymi widniał wysoki wał ziemny, uwieczony bambusowym płotem na podwójną wysokość człowieka. Spoza płotu wysuwały się wierzchołki drzew: klonów, cyprysocedrow, platanów, sosen, sumaków, kasztanów, fikusów, dębów, buków, jesionów, drzew kamforowych, kryptomei oraz innych, splatających kapryśnie swe gałązki w przedziwną koronkę różnokształtnego szmaragdowego listowia. Spoza niej zalotnie przeświecała tu i tam żółta, niebieska lub zielona polewa kunsztownie wygiętych pałacowych dachów.

Gompaci przyglądał się wszystkiemu z zachwytem — jeszcze tu nie był.

— Widzisz tam tę wielką sosnę za bramą? To sosna, do której niegdyś rycerze przywiązywali swoje konie, gdy przychodzili tutaj. A tam dalej przed kapliczką Lisa stoi wiśnia, na której jeszcze tu i tam zachowały się kwiaty. To wiśnia „Pierwszego Spotkania”... A płaczące wierzby złote przy samych wrotach? Mówią, że szumią tym, co stąd odchodzą, o przeżyciach, które już nie wrócą — gadał Sei-bei półgłosem, prowadząc przyjaciela ku wysokiej, kraciastej bramie, na w pół uchylonej, gdyż było dopiero południe. Gdy mijali ją, odźwierny wyjrzał ze swojego domku i okrzyknął ich:

— *Chaj!* A dokąd to?

— Gdzie nogi poniosą! A co, może nie wolno?! — odparł śmiejąc się Sei-bei.

Odźwierny zszedł z wysokiego progu swej werandy i zbliżył się ku nim.

— Owszem, wolno, byle... nie za... blisko! — wyrzekł spokojnie, mierząc badawczym spojrzeniem Gompaci.

Drugi stróż ukazał się na progu z halabardą w ręku.

— Ciebie to widziałem już tutaj, ale ten jakiś nowy... kto to? — zwrócił się znowu odźwierny do Sei-bei.

— Nowy? Bardzo stary! Czy nie widzisz? Podoba ci się, co? — śmiał się w dalszym ciągu Sei-bei.



— Owszem, ale skąd jesteś? — spytał stróż wprost Gompaci.

— Ze świata! — odrzekł ten dumnie.

— *Chaj!* Wczesnyś, widzę, ptak! Ronin, co? He, he! Kto dziś rozróżni ronina od zwykłego żołnierza? Mógłbym wam odebrać broń, skoro nie chcecie się legitymować, gdyż tu z bronią wolno wchodzić tylko samurajom. Ale niech was tam! Nie chcę się kłócić z ojcem Czobei! Wchodźcie! Pamiętajcie jednak, że tu... psocić nie wolno... Szczególniej ty, młody panie! Jeżeli szukacie swoich, to widziałem, że weszli do herbaciarni „Południowego Urwiska”.

Kiwnął głową za siebie i ustąpił im z drogi. Młodzieńcy, trochę zmieszani ostrym przyjęciem, poszli ulicą wysadzoną drzewami, usypaną starannie żółtym piaskiem. Po obu jej stronach za niziutkimi sztachetami wśród klombów bujnego kwiecia i zieleni kryły się śliczne domki z balkonami. Przez rozsunięte *szodzi* widać było tu i owdzie w ocienionych wnękach postacie kobiet w barwnych lekkich kimonach, uwijające się z ryżowymi szcztokami i miotełkami z piór w ręku. Czasem z wysokiego balkonu wychyliła się poza balustradę, obwieszoną kolorowymi lampionami, różśmiana twarzyczka dziewczęca i wesoły okrzyk: *o-hajo* (dzień dobry) spadał na głowy młodzieńców jak zatruta słodyczą strzała. Nim zdołali oczy wznieść do góry, już twarzyczka nikła, zostawiając za sobą trel śmiechu... I ten śmiech srebrnym szmerem brzmiał wszędzie, jakby echo odbite po stokroć w zaczarowanym lesie. Drżały odeń obciążone perłami rosy niskie dywany heliotropów, ametystowe grona wistarii i kielichy białych, jakby z mgły wykutych peonii, i ciężkie krzewy azalii, obwieszonych żółtym i różowym kwieciem. Przewijał się on, przesiąkał, ten śmiech łaskotliwy, przez łapczate liście srebrnych lub miedzianopąsowych klonów, przez pęki ciemnego sosnowego igliwia, ślizgał się wyżej po złotych, wiecznie kołyszących się łodygach bambusów, aż zamierał wysoko w bładozielonych, zionących aromatem koronach drzew kamforowych, ponad którymi było już tylko turkusowe słoneczne niebo.

Po brudzie, kurzu i śmieciach tylko co przebytych zaułków przedmieścia, wydało się młodzieńcom, że dostali się do jakiegoś bajecznego kraju...

— Jak tu czysto... Jak tu cicho... — wyszeptał Gompaci zmienionym głosem.

— Cicho? Nie zawsze. W nocy tu rojno jak w ulu. A i we dnie później cokolwiek, kiedy zaczną się godziny dziennych przyjęć, dużo bywa ludzi — poucał towarzysza Sei-bei.

Ten widział rozmarzonymi oczyma po cudnych, ukwieconych dalach ulic i milczał.

— Tu mieszkają te, o których chudopachołkom marzyć nawet nie wolno, które nie ukazują się nikomu i zobaczyć je można chyba na procesjach, Śliczne jak kielichy dzikich kamelii... Mówię ci... Przyjdziemy tu koniecznie w Święto Irysów. To już niedługo. Ale dużo ładnych jest i na wystawach, które są tam w bocznych ulicach. Teraz nie warto tam chodzić... Puste, zamknięte. Dopiero przed wieczorem... A teraz może pójdziemy do

tej herbaciarni, o której mówił odźwierny? Ciekawy jestem, kto tam z naszych może być? Pewnie ktoś ze starych, bo herbaciarnia „Południowego Urwiska” to nie byle co. W tej herbaciarni nasz stary ojciec miał śmieszna awanturę... Chcesz, to ci ją opowiem? — gadał Sei-bei.

— Owszem, opowiedz! Ale pochodźmy tu jeszcze trochę, tu tak ładnie... — odrzekł cicho Gompaci, rozmarzony i posmutniały.

— Raz przyszedł ojciec Czobei z rana, jak my, do Josziwary, aby się trochę rozerwać. Widzi, na rogu ulicy Azejna-Maczi przygotowują piękną herbaciarnię na przyjęcie znakomitego gościa. Na podsieniu kwiaty, wszędzie girlandy z czerwonych wstążek jedwabnych, ze złotej i srebrnej przędzy, z kolorowego papieru. W pokojach rozpostarte najpiękniejsze maty.

— Na kogo to czekacie? — spytał ojciec gospodarza.

— Jaśnie Wielmożny Pan Dżurozajemon, naczelnik Otokodate Dajmiosów i Hatamotoów, ma zaszczycić nas po obiedzie swą obecnością.

— Doskonale się składa, właśnie mam się spotkać z Jaśnie Wielmożnym Dżurozajemonem, więc tu na niego zaczekam — powiedział ojciec i poszedł do pokoju na piętrze, gdzie już otwarto *szodzi* i rozpostarto na podłodze cudny pilśniowy dywan.

Gospodarz nie wiedział, co robić, ale rozumie się, że nie śmiał sprzeciwić się ojcu Czobei. Ten wszedł na górę, zrzucił ubranie, przykrył się z wierzchu pilśniowym dywanem i zasnął. Przychodzi Dżurozajemon, widzi: leży pod dywanem w wynajętym przezeń pokoju wielki, nagi człowiek.

— Co za grubianin tu się spać położył? — pyta gniewnie gospodarza.

— Wielmożny Panie, to Czobei, naczelnik Otokodate z Jeddo! — odpowiedział drżący gospodarz.

Dżurozajemon zamilkł, domyślił się, że Czobei ma go zamiar obrazić. Usiadł obok i zapalił fajeczkę, a gdy cała się wypaliła, wytrząsnął gorący popiół z ogniem na pępek śpiącego Czobei. Czobei ani drgnął. Dziewięć razy wypalił magnat fajeczkę i wytrząsnął z niej ogień na to samo miejsce ciała naszego czcigodnego ojca; ten wciąż spał. Zdziwiony jego mocą i wytrzymałością, Dżurozajemon trącił go wreszcie i rozbudził, wołając:

— Czobei, Czobei, obudź się, człowieku!

— O co chodzi? — spytał Czobei przecierając oczy, jak gdyby tylko co się przebudził, a spostrzegłszy Dżurozajemona udał wystraszonego mówiąc: — Och, Jaśnie Wielmożny Panie, ja nie wiedziałem, kto pan jest i, zdaje się, że byłem bardzo niegrzeczny dla Waszej Wielmożności?! Usnąłem tu, zamroczony winem... Proszę Waszą Wielmożność przebaczyć mi!

— Czy ty nazywasz się Czobei?

— Tak, Wasza Wielmożność, do usług. Jestem biednym człowiekiem i zupełnie nie znam światowych zwyczajów. Byłem pewnie grubianinem i raz jeszcze proszę Waszą Wielmożność wybaczyć mi moje złe wychowanie!

— Nic, nic! Słyszeliśmy coś niecoś o sławie Czobei z Bandzuina. Jestem rad, że go dziś spotykam. Będziemy przyjaciółmi — odpowiedział dajmios.



— Jest to wielki zaszczyt dla marnego żołnierza spotkać się twarzą w twarz ze Szlachetnym Wielmożą!

Gdy tak rozmawiali, służba wniosła ryby i wino; Dźjurozajemon zmusił Czobei z nim ucztować. Aby urazić go, ofiarował mu, od razu wielką czarę wina\*. Czobei wypił ją bez skrzywienia się i zwrócił natychmiast pełną ofiarodawcy. Dźjurozajemon nie miał tęgiej głowy, więc wpadł na inny pomysł dokuczenia Czobei i, pragnąc go nastraszyć, powiedział:

— Oto, Czobei, pozwól mi ofiarować ci kawałek ryby!

To mówiąc, wyciągnął szablę, nadział na jej koniec kawałek pieroga z ryby i skierował ku ustom Czobei. Ojciec ani okiem nie mrugnął, otworzył usta i jadł spokojnie pierog, nadziany na koniuszek drżącej szabli. Gdy Dźjurozajemon umilkł, zdziwiony odwagą tego człowieka, którego nic nie mogło poskromić, ojciec rzekł mu:

— Spotkanie z Waszą Wielmożnością jest dla mnie tak niesłychanie pomyślnym wydarzeniem, że pozwolę sobie prosić o łaskę ofiarowania pokornie jakiegos małego podarunku Wielmożnemu Panu na dobrą pamięć! Czy jest coś, co Wasza Wielmożność szczególnie lubi?

— Tak, ja... bardzo lubię... zimne makarony! — odpowiedział szyderczo magnat.

— A więc będę miał zaszczyt dostarczyć trochę tego Waszej Wielmożności — odpowiedział uniżenie Czobei, zszedł na dół, gdzie czekał nań Token Gombei, dał mu 200 rijos i kazał zakupić i znieść niezwłocznie wszystek zimny makaron z okolicznych jadalni. Gombei zwołał natychmiast ludzi z Otokodate, rozesał ich po mieście i wkrótce góry zimnego makaronu zaczęły się wznosić dookoła herbaciarni, tak że Dźjurozajemon, który myślał ośmieszyć naszego ojca lichym podarunkiem, sam musiał prosić ze wstydem, żeby więcej makaronu nie znoszono, gdyż nie będzie mógł przedostać się przez wał ciasta do domu... Cha, cha! Che! Ale ty, widzę, nie słuchasz?! — zwrócił się nagle Sei-bei do Gompaci, który istotnie zamyślony patrzył w dal, jak gdyby tam śledził jakieś własne widzenie. — Ty pewnie jesteś zakochany?! Przyznaj się! A widzisz tam tę herbaciarnię? To tam miała miejsce opowiedziana przeze mnie historia... Aha, co widzę: na balkonie siedzą Token, Żrebiec i Banzajemon. Spozrzegli nas, wołają na nas. Chodźmy! W sam czas wypić filiżankę herbaty albo lepiej jeszcze czarkę gorącej *sake*. Pociągnął za rękaw Gompaci, który nagle jakby się ocknął, i obaj pobiegli w stronę pięknego piętrowego domu, z którego balkonu, spoza rzeźbionej balustrady schylały się ku nim rozognione twarze i podgolone czupryny towarzyszy.

Przy wejściu do herbaciarni Gompaci nagle zwolnił kroku, wyprostował się, błysnął oczami i pomacał szablę.

— Co się stało? — spytał Sei-bei już w sionce, gdzie śliczne *muś-me* na klęczkach zdejmowały im z nóg sandały.

\* Japończycy uważają za rzecz niegrzeczną poczęstować od razu gościa wielkim kielichem wina, jak najemnika.

— Znowu włóczęga z „kapeluszem tajemnicy” na twarzy! — krzyknął Gompaci, stąpając lekko bosymi nogami po purpurowych stopniach lakowych schodów.

— Co tu robicie? Może nas szukacie? — spytał wchodzących Token Gombei.

— Co się stało?! Gadajcie! Ja niczego się nie boję! Słyszysz, Żrebiec?! Nie boję się! — krzyczał Banzajemon, obracając na wszystkie strony swoją twarz, czerwona od wypitego wina.

— Nic się nie stało! Nie szukaliśmy nikogo... — odrzekł cicho Sei-bei, przyklękając poza kołem uczujących towarzyszy. — Przyszliśmy tak sobie... pospacerować wśród kwiatów! Gompaci nie był jeszcze w Josziwarze!

— Cha, cha! Nie może być! Teraz już stąd pewnie nie wyjdzie! To dla niego najodpowiedniejsze miejsce... Cha, cha, cha! — rżał wesoło Żrebiec.

— Przestań, Żrebiec! *Sake* przez ciebie mówi — wstrzymał kolegę Token. — Skoro macie czas, przyjaciele, siadajcie z nami, każcie sobie podać obiad. Hej! *Muś-me!* Dwa obiady i dwa dzbanuszki gorącej *sake!*

Dwie klęczące przy drzwiach dziewczyny pochyliły się nisko ku ziemi, po czym znikły cichutko jak myszki.

— Niczego się nie boję! Moja szabla jest błyskawicą! — dowodził krzykliwie Banzajemon.

— Ładne miejsce, co? — zauważył spokojnie Token, kiwając głową w stronę rozsuniętych szeroko *szodzi* balkonu.

Otwierał się stąd widok na całą prawie Josziwarę, na szeregi mieniących się łagodnymi barwami domów, spowitych w zieleń i wstęgi kwietników. W dali migąła w słońcu srebrna opaska Surugawy. Białe widma statków z rozpiętymi żaglami cicho płynęły po niej w głąb ładu od morza. Żaden dźwięk nie dolatał z zewnątrz prócz urywanego skrzekotania „śpiewających motyli” i głuchego szelestu bosych nóg stąpających miarowo pod oknem.

Sei-bei przysunął się i wyjrzał za balustradę.

— Chodzi, wciąż chodzi! — szepnął do Gompaci; wtedy młody ronin również zbliżył się i głowę wychylił.

— Znam go skądciś — mruknął.

— Co wy tam widzicie? — zapytał Token, przysuwając się również do balustrady.

— Jakiś włóczęga tu chodzi. Gompaci go zauważył...

— To nie prosty włóczęga! — rzekł Token.

— Patrz, Żrebiec, jaki on brudny i obdarty, a jednak od razu widać, że to ptak z szlachetnego gniazda... My, prości żołnierze, nawet ubrani w najlepsze nasze suknie, nie umiemy ani tak się trzymać, ani tak ruszać, ani tak nosić oręża, jak ci szlachetni. Czy nieprawdę mówię, co?

— Oj, prawdę mówisz! Ty zawsze mówisz prawdę, Token! — zgodził się Żrebiec, który wraz z Banzajemonem na pierwsze zaraz wezwanie przechylili się przez balustradę i śledzili pilnie za spacerującym na dole oberwańcem.

— To jest na pewno szlachcic! Pragnę bardzo zawrzeć z nim znajomość i poprosić go o wypicie z nami czarki *sake*, ale nie wiem, czy wypada to zrobić prostemu żołnierzowi... ofiarować czarkę *sake*... takiej... osobie! — gadał Żrebiec pijanym głosem.

— Nie łatwiejszego! — ryknął Banzajemon. — Jestem samurajem i nie właściwszego, że... pójdę, powiem mu kilka grzecznych słów i... przyprowadzę go tutaj!

— Zgoda, zgoda! Możesz iść... Tylko nie zrób awantury — zgodził się Token.

Banzajemon podniósł się i wyszedł niepewnym krokiem. Token zamówił nowy obiad, a Sei-bei, Gompaci i Żrebiec, wychyliwszy za balustradę golone łby z czarnymi kokami wojowników na ciemieniu, czekali niecierpliwie, co dalej nastąpi.

Widzieli, jak Banzajemon wyszedł na próg, jak kołysząc się z lekka, zbliżył się ku nieznajomemu, uklonił mu się z zabawną przesadą pijanego. Włóczęga zatrzymał się i zwrócił ku niemu żółtą słomianą przyłbicę swego kapelusza, wśród której świeciły czarne otwory oczodołów jak w trupiej czaszce. Strzępy zasarganych niemożliwie łachmanów zwieszały się ciężko wzdłuż chudych jak szkielec członków.

— Ja... proszę... pana... wstrzymać się na chwilę... panie... szlachcic! — bełkotał Banzajemon. — Wstrzymać się i... wysłuchać... Nazywam się Fuwa Banzajemon, do waszych usług... Jestem... roninem jak wy... sądząc z godnej... powierzchowności... Mam nadzieję, że nie posądzisz, nie uważasz... że mogę prosić, żebyś nie uważał... za niegrzeczność... tak za nie... za... śmiałość, że odważę się ciebie, panie... prosić... tak... prosić waszą łaskawość wejść do tej herbaciarni... i wypić ze mną i mymi przyjaciółmi czarkę wina... tak... wina albo... gorącej *sake*...

Włóczęga, który już w początkach rozmowy położył rękę na rękojeści szabli, stał długą chwilę bez ruchu jakby rażony piorunem. Wreszcie podniósł wolno swą słomianą przyłbicę i zagrzmiał chrapliwym głosem:

— Więc jesteś Fuwa Banzajemon, Fuwa Banzajemon, mówisz?

— Tak: Fuwa Banzajemon, do usług!

— A poznajesz mą twarz, Banzajemonie?

Banzajemon chwilę przyglądał się nieznajomemu, po czym odskoczył w tył i zmartwiało bez ruchu; widać było, jak fala krwi, wypełniająca dotąd jego twarz pijaną, zbiegła gdzieś na dół.

— Sanza... pan Sanza! — szepnął zbiegającymi ustami. — Ma pan aż nadto wiele powodów być na mnie gniewny... Przyznaję, gdyż ja ukradłem szablę Muramasa i uciekłem do Jeddo... Wszystko to prawda! — ciągnął trzęsąc się nagle. — Wszystko to prawda, lecz nie miałem od tej chwili spokoju! Ścigały mnie nieustannie okropne wyrzuty zbrodni... Dawno bym przyszedł do ciebie, abyś spełnił nade mną swą zasłużoną zemstę, ale... nie wiedziałem, gdzie ciebie szukać, gdyż doniesiono mi, że porzuciłeś swój dom... Jakże dobrze, że cię spotykam, mój panie! Raczej odbierz mi życie, a niech nastąpi koniec moim cierpieniom!

Schylił się do ziemi w niskim ukłonie. Sanza stał dalej wyprostowany z ręką na szabli, jeno łachmany drżały na nim drobnym drżeniem.

— Nie! — rzekł wreszcie. — Zabić człowieka, żalującego szczerze swej winy, jest czynem niskim i niegodnym szlachcica. Przez twoją kradzież brzeszczotu Muramasy, powierzonego mi przez zwierzchnika, zostałem zrzucony i wyrzucony ze stanowiska. Wróć mi szablę, abym mógł złożyć ją memu panu, a daruję ci życie! Nie szukam... nie pragnę... wcale niepotrzebnego zabójstwa!

— Panie Sanza, dzięki ci za twą dobroć! Ale ja nie mam w tej chwili szabli ze sobą... Jeżeli jednak wejdiesz do tej herbaciarni i zaczekasz z moimi przyjaciółmi, którzy poręczą za mną, to ja pójdę do domu, przyniosę ją i złożę niezwłocznie w twe ręce...

Sanza zgodził się, tym bardziej że towarzysze Banzajemona słyszeli wszystko doskonale i zachwyceni wspaniałomyślnością nieznajomego, zbiegli na sam dół, aby go powitać i zaprosić na ucztę. Spotkanie Sanza z Gompaci, który od razu poznał swego opiekuna w chorobie, powiększyło ogólną radość. Zaczęły się opowiadania bez końca, przerywane wykrzyknikami zadziwienia, zachwytu, szacunku.

*Muś-me* przynosiły coraz nowe stoliczki zastawione potrawami i przekąskami, a gospodarz ledwie nadązał napelniać gorącą *sake* miedziane dzbanki.

Ale Sanza wkrótce umilkł, jego zgłodniałe ciało i stroskana głowa nie zniosły tak nagłego przypyły pokarmu, radości i wina... Pochylił się na poduszki i usnął raptownie, głęboko. W ucichłym pokoju, zalanym czerwonymi promieniami kłoniącego się ku zachodowi słońca, rozbrzmiewał jedynie dziki głos rozbawionego Żrebca:

— Wtedy... powiedziałem mu: — Na to się nigdy nie zgodzę! Nie bądź nikczemnikiem i dobywaj szabli...

— I on dobył szabli? — dopytywał się uprzejmie Sei-bei.

— Dobył... he, he! Ale ją rychło wypuścił, he, he!

— Słuchajcie! — przerwał nagle Token Gombei. — Gość nasz śpi, biedaczysko, dawno pewnie nie miał w ustach nic gorącego. Wyjdziemy więc, niech obudziwszy się nie ma uczucia przykrości. Banzajemon zostanie z nim, bo on... przedtem już wypił... zbyt wiele! — dodał, wskazując na pijaka leżącego na wznak na swoim miejscu z twarzą czerwoną jak miedź.

— Tak, tak! Chodźmy, bo i mnie kurzy się już dobrze ze łba! Chętnie się przejdę! — zgodził się Żrebiec powstając.

— Josziwara teraz może najpiękniejsza, bo nie ma jeszcze tłoku i gwaru, a kobiety już się ukazują — dodał Sei-bei zwracając się do Gompaci.

Token Gombei zapłacił rachunek i odprowadzeni do drzwi przez nisko kłaniającego się gospodarza, przeszli bracia Otokodate wspaniale między dwoma szeregami pochyłonych do samej ziemi *muś-me*, z których każda dostała szczodry *szadaj*\*.

\* *Szadaj* — datek obowiązuje w hotelach, herbaciarniach, restauracjach, nawet w sklepach i świątyniach za każdą usługę.

Zachodzące słońce już napoiło tumany miasta miedzianym blaskiem swoich promieni. Pobladły barwy Josziwary. Stapiały się z wolna w jednolite plamy delikatne desenie kwiatów i listowia drzew. Węgły i ściany, balkony i odrzwia, rzeźby i złączenia domów kryły się coraz głębiej w cieniach okapów, wyginających swe ostre końce o wiele namiętniej teraz w ciemniejszym powietrzu niż w blaskach słońca. Tu i ówdzie już płonęły lampiony jak zawieszane w powietrzu ogniste kwiaty, a przez papierową mgłę zamkniętych *szodźi* przeświecało światło wewnętrznych ogni domowych, jak klejnot ukryty w pianie koronek. Gęstniejąca purpura wieczoru powlokła śliczne szczegóły dzielnicy jednostajną czerwienią, podobną do dzierganego nocnego kimona kryjącego ciało miłośnicy gotującej się do nocy rozkoszy. Wyraźniej wyblęśły gwiazdy zapalonych gęsto ogni. Szmer rozmów i śmiechów, głuchy stukot coraz liczniejszych sandałów na piaszczystych ulicach rósł, a łagodne dźwięki muzyki rozlegały się to tu, to tam, wśród tych szmerów jak ciche, lecz dźwięczne pocałunki.

— A teraz, chłopcy, chodźcie, pokażę wam dom, gdzie mieszka „Purpurowa Jaskółka”, do której stopy wierszy pisują co dzień najsłynniejsi poeci Jeddō, której portretami chlubią się najznakomitsi malarze i o której uśmiech ubiega się kwiat rycerstwa stolicy! — powiedział poważnie Token Gombei i poprowadził swój mały orszak wąską uliczką, w której końcu, w gęstwinie drzew, stał dom ciemny i milezący jak jedna z licznych tutejszych tajemnic...

Banzajemon wcale nie spał i zupełnie nie był pijany. Przerazenie wytrzeźwiło go, a powszechne, wywołane zachwytem dla Sanza, podniecenie pozwoliło mu niepostrzeżenie wylewać swoją *sake* do cudzych kubków lub opróżnionych już z jadła miseczek.

Skoro tylko biesiadnicy opuścili salę, uniósł się, posłuchał chwilkę, po czym ostrożnie popęzł na balkon i ukryty za kratą śledził przez szczeliny w blaskach za odchodzącymi. Gdy byli już daleko, wciąż pilnie następując przysunął się jak wąż do Sanza, chwilę wpatrywał się z nienawiścią w jego wychudłą twarz, po czym dotknął końcem sztyletu jego nagich przeświecających spod łachmanów piersi... Śpiący poruszył się niespokojnie, ale oczu nie otworzył. Banzajemon cofnął szybko rękę i przywarował tuż obok śpiącego na macie. Gdy jednak Sanza po chwili znowu zaczął oddychać miarowo w głębokim uśpieniu, złoczyńca przysiadł i rękę z bronią podniósł do góry. Przeszkodził mu szmer na korytarzu, rzucił się jak przedtem na znak na matę i zachrapał pijackim chrapaniem. Cichutko rozsunięto się *szodźi* i *muś-me* ostrożnie wsunęły do wnętrza swe wysoko zaczesane, ozdobione kwiatami, główki. Chwilkę oglądały pokój i śpiących mężczyzn błyszczącymi oczkami, następnie równie cicho cofnęły się i zasunęły drzwi za sobą. Stłumiony oddalający się śmiech i leciuchny szmer ich wleczonych po podłodze sukien powiedział Banzajemonowi, że usunęły się na koniec korytarza, lecz na dół nie zeszły. Wciąż dochodziły go ciche szepty dziewcząt. Najmniejszy krzyk napadniętego, walka, zwabiłyby natychmiast świadków. Zresztą zabójstwo rychło by wykryto. Zwykła ucieczka nie uwolniłaby

go od prześladowań. Nie będzie miał spokoju nigdy! Co uczynić? Trzeba go się pozbyć raz na zawsze! — rozmyślał Banzajemon. Leżał chwilkę bez ruchu, wpatrując się w śpiącą spokojnie swą ofiarę i jej szablę leżącą na boku. Chytra jego myśl, podniecona winem, pracowała z takim natężeniem, że grube żyły wybiegły mu na czoło. Nagle oczy mu rozblęśły: znalazł! Uniósł się ostrożnie na łokciu, na miękkich matach, jeszcze czas jakiś rozważał, nadsłuchiwał... Cisza w domu panowała zupełna, jedynie z ulicy przez otwarty balkon dolatywał go miarowy stukot licznych sandałów. Uklęknął, podpełzł ostrożnie na balkon, wyjrzał... Przyjaciół nie było widać. Wieczór niedaleko i Token Gombei musi wracać do domu po rozkazy ojca Czobei... Ale trzeba się spieszyć, bo ten żebrak może się obudzić. W istocie: pił bardzo mało!

Banzajemon znowu węzowym ruchem podpełznął ku szabli Sanza i nie spuszczać oczu ze śpiącego, wyciągnął ją z pochwy bez najmniejszego szmeru. Po czym obrzucił pokój bystrym spojrzeniem, własną szablę nogą zepchnął w dalszy kąt, odsunął *szodźi* i wyszedł na korytarz. Rozmawiające w końcu korytarza *muś-me* pochylili się przed nim z zapytaniem w oczach.

— Szysz! — syknął. — Niech śpi! Zaraz wrócę!

Nie spiesząc się, zszedł po schodach i uspokoił gospodarza zapewnieniem, że zaraz wraca.

— Zresztą to nie ma znaczenia, gdyż Token Gombei załatwił już wszystko! Ale wrócę po mego kolegę, który śpi jeszcze...

— Aha! Tego czcigodnego samuraja, który przyszedł ostatni? Czy nie mógłbym się dowiedzieć, jak zacne miano nosili jego rodzice i skąd on sam pochodzi?

— Nie wiem. Powie ci pewnie sam, gdy się obudzi... Zaraz wracam! — odpowiedział Banzajemon wkładając sandały. Gospodarz chciał go odprowadzić i wskazać miejsce na tyłach domu, lecz ronin machnął niecierpliwie ręką i podtrzymując szablę ukrytą pod połą kimona, wyskoczył za próg.

W odległym kąciku obejrzał się ostrożnie na wszystkie strony, ostry koniuszek szabli wetknął pospiesznie w szparę kamiennego bruku i przegiął brzeszczot gwałtownie w bok, aż stał pękła z żalonym bzyknięciem. Wtedy samym ostrzem powiódł mocno kilkakroć razy po kamieniach i upewniwszy się, że nikt go nie widział, wrócił co prędzej do sali na górę równie cicho, jak był stamtąd wyszedł. Sanza już się przewrócił na drugi bok i spał dalej smacznie. Banzajemon przysiadł obok, wsunął stępioną szablę na miejsce do pochwy i wtedy dopiero potracił śpiącego:

— *Chaj!* Sanza, wstawaj, przyjacielu! Wieczór zapada, a mamy dużo jeszcze spraw do załatwienia! Daruj, że cię budzę!

— *A-i!* To wy darujcie mi moją niegrzeczność! Usnąłem... Nie przypuszczałem nigdy, aby mię tak mogło odurzyć parę czarek *sake!*

— Dawno pewno nie piłeś, towarzyszu?

— Tak jest: dawno nie piłem i nie jadłem.

— Ale się śpiesz, śpiesz, gdyż daleką mamy jeszcze drogę!



— Już idę!

Poprawił swoje łachmany, założył szablę za pas i wyszli. Banzajemon przodem biegł prawie.

— Szabla twego pana złożona w pewnym miejscu; nie ma jej u mnie, gdyż bałem się, że mi ją ukradną... Muszę ciężko pracować na utrzymanie... Uczę rycerzy fechtunku w budzie Otokodate, za co płacę dobry czynsz — gadał Banzajemon w czasie drogi.

Przeciskali się ku bramie Josziwary przez gęste, zewsząd już napływające tłumy gości.

— Więc gdzież jest ta szabla? — pytał Sanza, z trudem podążając za towarzyszem.

— Ona jest... u mego przyjaciela... kupca... niedaleko mostu Megane-baszi!

— Aż tam?

— Tak. Dlatego musimy się śpieszyć! Ale jeszcze zdążymy, dopóki widno... Do Josziwary napływa dopiero pospolity tłum, nie widać jeszcze lektyk dajmiosów.

— Ale szabla? U kogo jest ta szabla?

— Wszystko jedno, nie wydadzą jej nikomu bez mego pozwolenia.

— Przecież powiedziałeś, przyznałeś się przy świadkach, żeś ją wziął i obiecałeś zwrócić?!

Weszli już na most na fosie. Gromady włóczęgów, żebraków, aktorów ulicznych, akrobatów, wróżów i wrózek, czarnoksiężników, lekarzy, których w czasie dnia widać też nie było, obsiadły teraz brzegi kanału i głośno swarząc się, klnąc, spluwając żuty tytoń lub kurząc małe fajeczki, chciwymi, zawistnymi oczyma spoglądały na dostatnio odziane tłumy, płynące do niedostępnych dla nich miejsc zbytku i rozkoszy, błagali o datki, ofiarowali swoje usługi. Ślepi masażyści, wygwizdując na piszczałkach monotonne piosenki, przeciskali się ostrożnie ku szeroko otwartej, oświetlonej już bramie Doliny Szczęścia.

— Stój nareszcie i powiedz, dokąd mnie prowadzisz?! — krzyknął Sanza, zatrzymując Banzajemona za rękaw kimona.

Ten stanął, zwrócił się ku niemu twarzą i odstąpił pół kroku.

— Istotnie, szlachetny panie, ja winienem ci zwrócić szablę i ja to robię! Lecz na nieszczęście nędza zmusiła mnie — ciągnął żałośnie, cofając się i kładąc jednocześnie rękę na głowicy szabli — więc wybacz...

— Mów, nędzniku! Co kręcisz? — krzyknął Sanza napierając na niego.

Okrutny uśmiech rozszerzył nagle pokorną dotychczas twarz Banzajemona, dziko błysnęły mu oczy, a pod wzniesioną włochatą wargą zabieliły ostre kły; dokończył głosem twardym i szydlerczym:

— Zastawiłem ją za pięćdziesiąt uncji srebra. Jeżeli masz taką sumę, to daj mi ją, a ja ci zwrócę twoją Muramase!

— Podły! Oszukałeś mnie! Dość mam twoich wybiegów! Wyprowadziłeś mnie daleko od swoich przyjaciół, abym nie miał świadków, żeś się

przyznał! A teraz żądasz pieniędzy! Skąd ja wezmę tak wielką sumę? To znaczy, że mi odmawiasz szabli. Ale ja zamiast niej położę u nóg mego pana twoją głowę! Broń się! — wybuchnął Sanza.

— Z całego serca gotów jestem. Ale nie tu! Na moście. Tu nam przeszkodzą! — odparł Banzajemon, wskazując na poczynający się dokoła nich gromadzić tłum oraz na idących ku nim od bramy strażników.

— Wyjdźmy za obręb Josziwary! Tam nam nikt nie przeszkodzi!

— Zgoda! Ruszaj!

Gdy tylko stanęli po drugiej stronie kanału, dobyli szabli i rzucili się na siebie wściekle. Cizba ciekawych otoczyła ich natychmiast, a jeszcze większe tłumy zaczęły biec z Josziwary na wieść o pojedynku.

— Biją się roninowie z Otokodate... Otokodate!

Token Gombei, który już wracał z przyjaciółmi, pospieszył na te krzyki.

— Ktoś z naszych! Chodźcie! Prędej! Rozstąpcie się, panowie, rozstąpcie!

Nikt na nich nie zważał, wszyscy byli przejęci walką, a ścisk był tak wielki, że z niezmiernym trudem zaledwie posuwali się naprzód.

Wtem z miejsca walki dobiegł ich krzyk przejmujący, hasło Otokodate, wzywające pomocy brata.

Token Gombei całą mocą szarpnął się naprzód. Wszyscy posunęli się jeszcze trochę.

— To Banzajemon walczy z Sanza! — zauważył Gompaci, który, wyższy od otoczenia, dostrzegł wcześniej, co się dzieje pośrodku widzów.

— Nic nie znaczy! Według naszych prawideł, młodzieńcze, nie mamy prawa roztrząsać, kto ma rację, skoro nas woła. Musimy swemu dopomóc, a potem go osądzimy, jeżeli źle zrobił! — gadał Gombei, przepychając się całą mocą naprzód. Żrebiec bił na prawo i lewo łokciami jak kopytami, Sei-bei też nie próżnował, nie wstrzymały ich skargi, wyrzekania i obraźliwe uwagi otaczających. Ale gdy przepchnęli się naprzód, brama okazała się zamknięta. Musieli więc beczynn timer patrzeć na walkę poprzez jej kraty.

Roninowie walczyli rozpaczliwie. Sanza miał widoczną przewagę jako lepszy fechtmistrz i już kilka razy ciął straszliwie Banzajemona. Ten jednak ani drgnął i nawet nie krwawił. Sanza zwiększył wysiłki i ponowił straszliwe ciosy, tak że obecni, zachwyceni jego siłą i zręcznością, obsypali go oklaskami. Przerażony Banzajemon zachwiał się i nawet upadł na ziemię. Sanza, prawy żołnierz, nie uderzył leżącego, cofnął się, pozwolił mu wstać i wtedy dopiero natarł na niego powtórnie. Lecz najbardziej pewne jego razy nie skutkowały. Ku coraz większemu swemu zmieszaniu dociekał myślą, co by to znaczyło, jednocześnie czuł, że opuszczają go siły, sterane w czasach poszukiwań Banzajemona o głodzie i chłódzie. Przeciwnik z wolna brał nad nim bezwzględnie górę. Pelen wstydu i rozpacz natarł Sanza raz jeszcze zapamiętale, ale pośliznął się i upadł na wznak. Banzajemon nie czekał, aż wstanie, lecz radośnie błyskając nabiegłymi krwią oczami rzucił się na niego i pchnął go tak mocno w bok, że przygwoździł go do



ziemi. Ranny, osłabiony niezmiernie, nie był w stanie nawet ręki podnieść w swojej obronie. Krzyk zgrozy i potępienia tej widocznej nieczemności rozległ się dokoła.

— Wstrzymaj się, łotrze! Zapomniałeś, że on darował ci życie przed chwilą! — krzyczał głośno Token.

— Bydlę samurajskie! Byliśmy twymi przyjaciółmi aż dotąd, ale teraz będziemy mścić się za tego dzielnego człowieka! — ryczał Żrebiec.

Otokodate obnażył szablę, wyłamali kratę i rzucili się na Banzajemona, który przerażony ich widokiem oraz groźną postawą tłumu, uchodził, ile nóg starczyło, w stronę tonących w zmroku ulic miasta, strasząc zastępujących mu drogę okrwawionym mieczem.

Otokodate widząc, że go nie dogonią, zwrócili się ku rannemu. Położyli mu pod głowę zwinięte kimono, przewiązali jego rany, напоili go wodą przyniesioną z sąsiedniej herbaciarni, po czym, widząc, że umiera, zaczęli rozpytywać się, z jakiej jest prowincji, do kogo pisać mają i kogo uwiadomić o jego śmierci? Sanza słabym głosem odpowiadał na wszystko, wskazał adres swojej żony i syna, lecz przede wszystkim prosił, by sprawdzono, co się stało z jego wierną szablą.

— Przecież — mówił — uderzyłem go tylekroć razy, że powinien być posiekany na kawałki...

— Czyż nie wiesz o tym, panie, że szabla twoja nie ma końca? — spytał Gompaci, który dawno już szablę oglądał.

— Nie może być! Ach, nędznik! Umieram słusznie, gdyż... piłem... razem z nim wino... — wyszeptał konający zamykając oczy.

— Piłeś wino z nami, to wino było nasze i my pomścimy cię, przysięgamy ci! — pocieszał go Token.

— Ach, nędznik! Ułamał koniec, kiedyśmy odeszli! Zabiję! — ryczał Żrebiec.

Sanza raz jeszcze podniósł powieki, spojrzal na nich z wdzięcznością i szepnął:

— Syna... synowi... sy...

I wyzionął ducha.

#### XIV

Ojciec Czobei, wysłuchawszy szczegółowego sprawozdania z przebiegu wypadków, postanowił, że ponieważ niegodny Banzajemon należał bądź co bądź do Otokodate, bractwo powinno zająć się pogrzebem Sanza i losem jego rodziny. Ogólne zgromadzenie członków, pośpiesznie zwołane, zgodziło się z tym postanowieniem. Wysłano obszerny list do żony Sanza i wyprawiono wspaniałe pogrzeb rycerzowi. Wszyscy obecni w Jeddo członkowie Otokodate, w pełnym uzbrojeniu, z chorągwiami i gałązkami sosny w ręku, szli przy dźwiękach żałobnej muzyki długim korowodem za biało ubranymi kapłanami *Szinto* oraz trumną niesioną przez ośmiu biało ubranych grabarzy. Długo o tym pogrzebie mówiono we wschodniej dzielnicy Jeddo, wychwalając szczodrość i bogobojność Otokodate.

Banzajemon znikł bez śladu. Obszerna szopa, gdzie uczył fechtunku, opustoszała.

Bracia z zaciekawieniem czekali, kogo też ojciec Czobei nazaczy jako fechtmistrza, gdyż miejsce nauczyciela nie tylko dawało pewien dochód, ale było prócz tego wysoce poważane. Wśród starszych członków dostrzec się dało pewne zaniepokojenie, gdy po paru dniach i paru poufnych rozmowach z „Wielce Szanownym” Tokenem Gombei, postanowienie jeszcze nie zapadło.

— Może uważa, że nie ma wśród nas godnego i myśli raczej zwinąć szkołę, niż zawstydzić bractwo nieudolnością mistrza?!

— Oczywiście zwrócone są na nas! — zwierzał się cicho Gompaci Sci-bei.

— Święta prawda! Dajmio i Hatamoto\* tylko czyhają na jakiś błąd z naszej strony! Toby sobie użyli! *Chai!* Tym się tylko trzymamy, że władamy szablą nie gorzej od ich wasalów! Szio-gun za to tylko nas lubi! — grzmiał głośno Żrebiec. — Czy nieprawdę mówię, stary? — zwrócił się do Tokena palącego na uboczu fajeczkę.

— Nie pleć! — odparł ten. — Jeszcze cię kto usłyszy, przekręci i do-

\* Daj (wielki), mio (imię) — nazwa magnackich rodzin dziedziczących na lennym prawie od Mikado prowincje, dające dochodu najmniej 10000 koku ryżu (koku = 184,6 litra). Pomniejsi zwali się Szio-mio. Hatamoto byli bezpośrednimi lennikami Szio-guna. Samurajowie — zwykła szlachta.

niesie! Sziogun lubi nas, bo pewien jest, że pomożemy mu w razie buntu panów. Siła nasza nie tyle w szabli, co w jedności i cnocie naszej. Szanują nas, bo pomagamy wszystkim pokrzywdzonym! Cóż ty na to, młody bracie? — spytał nagle Gompaci.

Młodzieniec poczerwieniał z lekka i z trudem ruszył brwiami. Widać było, że myśli jego błądziły daleko.

— Tak, istotnie, ale bez szabli również nie można! — odrzekł z namysłem.

— Słusznie! Bez szabli nie ma nic! Dajmno i Hatamoto tylko szablami się trzymają! — huczał Żrebiec.

— Banzajemon był też doskonałym szermierzem! — wstawił spokojnie Token.

— Co mi tu wspominasz Banzajemona! To nędznik, którego trzeba znaleźć i zabić! — wybuchnął Żrebiec chwytając za szablę.

Spór zaczął przyciągać uwagę innych braci, zebranych na obiad w dużej wspólnej izbie. Otokodate przysunęli się bliżej do stojącego przed Tokemem *hibaczi* i nabili tytoniem fajeczki. Dyskusję przerwał jednak wejście ojca Czobei. Rozsunęli się robiąc mu miejsce i czekali w milczeniu, co powie. Czobei wyjął przede wszystkim zza pasa swój kapeciuch, fajeczkę, nabiał ją wolniutko, porządnie, pociągnął kilka razy dym i wtedy dopiero zagadał spoglądając na otaczających.

— Dobrze, że was tu wszystkich widzę. Chodzi o naszą szkołę szermierską, splugawioną przez tego nędznika. Otóżznaczam na jej kierownika Tokena.

— Tokena? — powtórzyli chórem.

— Tak, Tokena! Nie przecz, stary! — zwrócił się do Tokena, który potrząsnął energicznie fajeczką i głową. — A ponieważ jesteś zajęty wielu ogólnymi sprawami i nie masz czasu, więc dodaję ci do pomocy Gompaci, przezwiskiem Haru...

Zapanowało głębokie milczenie. Oczy wszystkich skierowały się na młodzieńca siedzącego w ostatnim rzędzie koła. Paru starszych braci mimo woli rozsunęło się, wystawiając go na ogólny widok. Był bladym i opuszczone miał na dół powieki, kiedy je jednak podniósł, wzrok jego rozgorzał mocnym ogniem.

— Dziękuję ci, ojczu! Już raz wybawiłeś mnie od niechybnej śmierci, teraz drugi raz darujesz mi życie! Postaram się nie zawieść twego zaufania. Nie wiesz nawet... Nikt nie wie... — wyszeptał drżącymi ustami.

— Ani chwilę nie wątpię — zgodził się Czobei. — Władasz szablą doskonale, reszty dokonaj pilność.

— Tak, tak! — powtórzyli obecni. — Szablą robi na podziw...

— Nikt z nas tak nie umie! — krzyknął Sei-bei.

— Jest nasz! — dodał grubym basem Żrebiec.

Token uśmiechnął się do chłopca życzliwie i podał mu swoją świeżo zapaloną fajeczkę. W tej chwili wniesiono ogromny kocioł z ryżem i uwaga

powszechna w tamtą zwróciła się stronę. Gompaci przysunął się na klęczkach do ojca Czobei i, przycisnąwszy ręce do piersi, złożył przed nim po trzykroć czolobitny ukłon, jaki dzieci składają rodzicom. Stary wódz położył rękę na jego podgolonej głowie i rzekł:

— Czas, aby młodość szła na zmianę starości!

Token istotnie nie miał ani czasu, ani ochoty, ani dość szermierskiej praktyki, żeby się mieszać do spraw fechtunkowej szkoły. Nawet tam się nie pokazywał. Gompaci został od razu jej rzeczywistym kierownikiem. Starsi bracia początkowo bardzo niechętnie i nieufnie przyglądali się jego poczynaniom, lecz młodzieniec rychło pokonał ich uprzedzenia. Młodzież zaś była zachwycona naznaczeniem Gompaci na tak odpowiedzialne stanowisko.

— Słuchaj, Haru, ty im pokaż, pokaż, że ilość lat to jeszcze nie wszystko! Joszitsune nie był starszy od nas, gdy zdobywał prowincje i zwyciężał siwołosych wodzów!

— Jestem pewny, że im pokażesz! Cała młodzież na ciebie patrzy! Nasza szkoła musi być najlepsza! — dowodził przyjacielowi Sei-bei.

Gompaci milczał, lecz marszczył brwi i rozdymał nozdrza.

— Będę szukał uczniów! Ze wszystkich stron będę zwabiał do niej uczniów! — dodał gorąco Sei-bei.

— O, tak! Potrzeba dużo uczniów! — zgodził się Gompaci.

Spędzał w szkole dnie i noce.

Nigdy jeszcze ciemna i posępna buda fechtunkowej sali nie była tak starannie podmieciona, oczyszczona i upiększona jak za owych czasów. Ściany ubrane były barwnymi chorągiewkami i zmienianymi co parę dni sosnowymi gałązkami. Naprzeciw drzwi wchodowych i okien, gdzie biło najmocniejsze światło, powiesił Gompaci długie papierowe *kakemona*, świecące w zmroku jak srebrne starodawne puklerze. Na nich napisał najpiękniejszym charakterem, do którego tyle wagi przykładano w szkole księcia Inaby, sentencje zapamiętane z *Buszido*.

„Męstwem jest żyć, gdy się żyć godzi, umrzeć, kiedy umrzeć potrzeba”.

„Dzielny wojownik zatyka ucho na ponętny śpiew *uguisu*”.

„Wstyd jest jak blizna na drzewie: nie znika, lecz zwiększa się z czasem”.

Koło drzwi zaś wisiał równie ładnie napisany regulamin szkoły. Stała się ona wkrótce miejscem zebrania całej okolicznej młodzieży. Nie była to młodzież bogata i dochody Gompaci były niewielkie, lecz za to dyskusje, spory na rozmaite tematy były niezmiernie długie i gorące, a śpiewy i żarty — bardzo wesole.

Sam Gompaci bardzo się przykładał do ćwiczeń orężnych. Broń była zawsze odpowiednia, drewniane miecze należytej długości i mocy, a żelazne szable zawsze doskonale wyczyszczone. Maski, naramienniki, narpierśniki, rękawice, bandaże — całe, czyste, opatrzone dobrymi rzemyka-

U g u i s u — słowik japoński.

mi i sprzączkami, pociągały swoją wygodą i schludnością. Ten, co raz spróbował w nich walczyć, wracał zawsze następnie.

W dodatku Gompaci okazał się graczem nie lada, znał tysiąc sztuczek, rzadkich cięć oraz parowań i nie zaniedbywał żadnej okazji, żeby się dalej w sztuce swej ćwiczyć. W braku lepszych przeciwników bił się co dzień z Sei-bei.

Sława szkoły rozchodziła się coraz szerzej. Wśród gości, którzy napływali coraz tłumniej, aby się po prostu przyglądać zapasom, zaczęli pojawiać się ludzie z dalszych dzielnic, nawet samurajowie ze świt książęcych. Token promieniał. Żrebiec rżał z zachwytu, a ojciec Czobei kiwał Gompaci przychylnie głową.

Pewnego razu dostrzegł Gompaci wśród swoich widzów Fusiki Norimici. Stał we drzwiach, odbijając od szeregu tłumy strojnymi szatami i dumną postawą; dwóch służących towarzyszyło mu z tyłu. Gompaci, który bił się właśnie z jakimś nowym miłośnikiem szermierki, tak się wzruszył, że o mało nie przegrał, wnet się jednak opanował i kilkoma świetnymi cięciami walkę zakończył. Po czym pośpiesznie zdjął maskę, rękawice, odpasął skórzany fartuch i nisko kłaniając się podszedł do czcigodnego gościa:

— Nie poznaje mnie Wasza Wielmożność?

Fusiki przyglądał mu się przez chwilę zdziwionym wzrokiem.

— Jestem Gompaci, znaleziony przez Waszą Miłość w lesie bez życia rok temu w Święto Latawca i uratowany od śmierci...

— Aha! Przypominam sobie, że istotnie został uratowany jakiś ronin młody, dzięki łasce księcia Goto Sikibu-no Kami. Istotnie, jesteś do niego podobny, ale mówiono mi, że nazywasz się Haru i że należysz do Otokodate mieszczan. Tamten był samurajem...

— Wielu samurajów należy do Otokodate, zmuszonych do tego potrzebą...

— A pamiętasz, co młody książę Sendaju powiedział do swego pazia?

— Pamiętam:

Wstyd samurajowi  
Czuć głód,  
Nawet gdy, ma pusty żołądek!

— Widzisz...

— Ale ojciec Czobei uratował mi życie.

— Uratował ci życie? Do licha! Któż to tak wciąż na twe cenne życie nastaje?!

Gompaci milczał opuściwszy oczy. Dotknęło go dobrotliwe szyderstwo dworzanina. Otaczający, którzy grzecznie odsunęli się w czasie rozmowy, przyglądali się im z oddalą z naprężoną uwagą; nawet ćwiczący się uczniowie przerwali szermierkę.

— Dlaczego nie przyszedłeś do nas? — spytał Fusiki.

— Byłem dwa razy; nie dopuszczono mnie!

— Dobrze, przyjdź jutro! Opowiesz nam wszystko dokładnie!

Gompaci skłonił się nisko, rycerz kiwnął mu głową i odszedł wraz z swym

orsakiem, poprzedzany hałaśliwą gromadą dzieci, poruszonych widokiem świetnej broni i kolorowych jedwabi.

— Czego on od ciebie chciał? — spytał Sei-bei podchodząc do przyjaciela.

— To dowódca przybocznej straży księcia Goto Sikibu, o którym ci mówiłem.

— Aha! Teraz ciebie przypomnieli sobie, kiedy stajesz się sławny!

— Nie wiedzieli, że to ja.

— Strzeż się! Nie może być przyjaźni między prostym człowiekiem i panem.

Gompaci nic nie odpowiedział; wciągnął na powrót rękawice i wziął do ręki rzucony papier.

W parę dni potem wysłał do Mikawy przez jednego z udających się tam braci następujący list:

*Skład porcelany. Irodzuj Chitaci.*

*Irodzuj Komurazaki.*

— *Nie pisałem, bo nie było co pisać. Byłem w drodze śmiertelnie ranny. Wyzdrowiałem. Przybyłem do Jeddo. Szczęśliwym trafem znalazłem od razu dach nad głową i skromną strawę codzienną. Ale nic więcej. Jeddo jest jak ocean i człowiek niknie w nim bez śladu jak rzucony w głębinę morską kamyczek. Oficerów i żołnierzy pełno. Zajęcie znaleźć trudno. Żyłem dotąd z ludzkiej łaski. Teraz prowadzę szkołę szermierską, mam skromny zarobek i z wolna zdobywam uznanie. Ale to nie jest przyszłość! Co może mi dać szkoła po wielu latach ciężkiej pracy? Nie da mi nigdy tej sławy, która mi jest potrzebna, abym mógł wrócić w szeregi rycerskie. Parę dni temu Fusiki Norimici, dworzanin księcia Goto Sikibu-no Kami, przyszedł do szkoły i zaprosił mnie do pałacu, aby przedstawić samemu księciu. Książę był już raz dobry dla mnie i poszedłem pełen nadziei. Lecz książę nigdy nie ma czasu: to przyjmuje gości, to śpi, to wezwał go Sziogun, to wyjechał z miasta, to jest zmęczony. Norimici powiedział mi, że najlepiej będzie urządzić spotkanie w Josziwazze, gdzie książę często się zabawia. Już mam zaproszenie na jutro na ucztę w domu Słodkiego Spotkania, zwanym Łódź na Morzu. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeżeli nadzieje moje się spełnią, napiszę niezwłocznie.*

*Wierny sługa i brat Ri-dzo*

XV

Gorąca, letnia noc już dawno okryła ziemię swym płaszczem gwiazdzistym, kiedy zjawił się Gompaci, świeżo ogolony, ubrany w nowe, kupione za własne pieniądze szerokie jedwabne *hakama* oraz *haon*\* z twardym kończastym kołnierzem, sterzącym na ramionach jak złożone skrzydła gołębia; rękojeście obu cudnych szabli, okryte nowymi kapturami, sterczały mu dumnie zza pasa przewiązanego białymi rapcami. Wszedł wraz z tłumem gości we wrota Josziwary. On tu już często bywał z towarzyszami i znał wszystkie zakątki. Tym razem przyszedł sam. Nawet Sei-bei nie powiedział, że ma na dziś zaproszenie od księcia Goto Sikibu na wieczerzę ze śpiewkami i kurtyzanami. Był rad, że dotychczas nikogo ze znajomych nie spotkał. Aby ich uniknąć, przepychał się pośpiesznie ku odleglejszym kątom Josziwary, gdzie stały nie oświetlone tajemnicze domy, a konary gestych drzew rzucały głębokie cienie. Ale przedostać się przez ciżbę było niełatwo. Trzeba było wystrzegać się, aby nie potrącić bogatych szlachciców, nastroszonych bronią, bodzących wszystkich wokoło końcami twardych, haftowanych złotem i srebrem kołnierzy, włóczących za sobą długie rękawy i spodnie. Trzeba było unikać młodych, barwnie ubranych dziewcząt z kolorowymi latarniami w ręku, uwijających się wśród tłumów, przyśpiewkami i wesołymi żarcikami zaczepiających młodych ludzi. Dziewczęta rade były pośmiać się z byle czego i zaczepiały szczególnie chętnie nowicjuszków. Gawiedź, żadna rozrywki, zaraz w tę stronę zwracała uwagę, skupiała się i zatrzymywała, oglądając za lada okazją do zabawki lub widowiska. A wokoło było widowisk coraz więcej. Płonęły kolorowymi ogniami wszędzie gęsto okratowane łoże, gdzie na tle białych parawanów siedziały rzedami przedziwnej urody dziewczyny w pysznych ubiorach, błyskając srebrnym i złotym brokatem, mieniając się żywymi barwami cudnych haftów. Siedziały bez ruchu jak delikatne posągi, rzeźbione z najcenniejszej różowawej kości słoniowej, i jedynie błyski dużych wilgotnych oczu w półprzykrytych firankami rzes, jedynie tłumione uśmiechy świeżych ust, ozdob-

*Hakama* — spodnie, *haon* — odświeżone kimono, zawsze jedwabne i ciemnego koloru.

nych ruchliwymi dołeczkami policzków, dawały poznać, że w tych zamarych postaciach przelewa się gorąca krew życia...

Gompaci kilkakrotnie zatrzymywał się przed wystawami kobiet i za każdym razem odczuwał bolesne ukłucie w serce. Żywe przypomnienie białej szyi łabędziej wyrastającej z młodych piersi, smagłych aksamitnych policzków ozdobionych dołeczkami, spojrzenie wiernych oczu, uśmiech ślicznych ust — odpychały go precz od tych ponęt rozkoszy. Odchodził ze stłumionym westchnieniem i mieszał się z tłumem, przez który coraz częściej przechodziły słynne *taju*\*, kierując się na wezwanie wielbicieli do Domów Słodkiego Spotkania. Słudzy z wielkimi latarniami biegli przed nimi, wykrzykując:

— Droę, droę dla Rozkoszy Oczów!

— Droę dla Uśmiechu Wiosny!

— Droę dla Perłowej Zatoki!

Tłum rozstępował się i śledził idące zachwyconym wzrokiem. Czasami przechodził tęgi, półnagi robotnik, niosąc kłęzącą na jego plecach strojną jak motyl dziewczynę.

Blask tysiąca różnokolorowych lamp, rozwieszonych wszędzie nad wejściami domów, na balkonach, na słupach bram, na drzewach, rozsnuty jarzącymi różańcami wzdłuż gzymsów, węglów i okapów domów, przepajał mrok tęczą mglą.

Szmer głosów, stukot sandałów, wykrzykniki odźwiernych, wychwalających zalety swoich zakładów, dźwięki gongów oznajmiające przybycie jakiegoś ważnego gościa do któregoś z domów, szumiały wciąż z końca w koniec nad tym rozplómiennym miastem.

Ale Gompaci już wiedział, że nie tu, na tym błyszczącym, krzykliwym targowisku zdobywa się najwyszukańsze przeżycia oraz rozkosze i jak nurek przebijał się przez żywą falę ludzką ku domostwom cichym i słabo migocącym ogniami, gdzie kryły się najprzedsionki „Kwiaty Pachnącej Wiśni”.

Rychło znalazł się w owej ustronnej uliczce, w której końcu stał pałacyk Trzech Morskich Brzegów, mieszkanie Purpurowej Jaskółki.

Jaka jest ona, ta władczyni najdumniejszych, najswawolniejszych serc? — rozmyślał, oparłszy głowę o bambusowe ogrodzenie kwietnika. Zadumany nie zauważył, że nie opodał jakiś ukryty w cieniu człowiek przygląda mu się pilnie, a gdy młodzieniec odszedł, podążył za jego śladem.

W godzinie Jaszczurki\* stanął Gompaci wreszcie przed wspaniałym wejściem do Łodzi na Morzu, zalany od góry do dołu jarzącym światłem barwnych lampionów. Dostrzegł przez otwarte drzwi, że dużo już sandałów stoi na schodkach obszernego przedsionka, że więc nie będzie pierwszym.

— Nie pomyślą, że się śpieszę do ich *sake!* — mruknął sam do siebie i wszedł śmiało do środka.

*Taju* — kurtyzany najwyższej klasy; dosł.: wspaniała, czcigodna.  
*Godzina Jaszczurki* — między 10—12 w nocy.



Czereďa dziewcząt jednakowo odzianych i uszeregowanych przyjął go głębokim ukłonem. Sam gospodarz poprosił go uprzejmie o broń.

— Z bronią nie wolno! — tłumaczył, kłaniając się z uśmiechem.

— Nie rozstawałem się z nią dotąd nigdy! — odrzekł zmieszany Gompaci.

— Prawo zabrania!

A gdy ronin wahał się dalej, gospodarz umilkł, wyprostował się i spojrział nań z zimną stanowczością.

Gompaci zrozumiał, że z bronią na salę nie wejdzie, więc wyjął wreszcie obie szable zza pasa i złożył ostrożnie w wyciągnięte ręce znowu uśmiechającego się doń gospodarza domu.

— Nic im się tutaj nie stanie! Sam Jasny Książę Sikibu broń swą bezcenną u mnie zostawia! Głową za nią odpowiadam! Teraz niech wielmożny pan idzie na górę! Księcia Pana rychło patrzeć!

Dwie młodzieuchne *muś-me*, idąc za nim z dwóch stron, powiodły Gompaci na górę.

W wielkiej sali, o ścianach wyłożonych jasnozłotawym drzewem, kłęzczo już na białych matach dużo szlachty w strojach ciemnych, haftowanych srebrem i złotem. Za każdym kłęzczoła gejsza, a przed każdym stał niziuchny stolicek z filiżanką herbaty i pudełkiem ciastek. Cichy szmer rozmów i tłumionych śmiechów polatywał nad zgromadzeniem. Olbrzymie papierowe latarnie rzucały barwne blaski spod wysokiego rzeźbionego pułapu.

Gompaci nikogo tu nie znał i zmieszany trochę, przykląkł u progu, oddając wszystkim zwykły ukłon powitalny. Jednak Fusiki Norimici dostrzegł go niebawem pośród gości i dał mu znak powitalny i przyzywający.

— Dobrze, żeś przyszedł zawczasu. Uklęknij tu za mną. Skoro tylko książę przyjdzie, spróbuję cię mu przedstawić i przypomnieć.

Gompaci zajął pośpiesznie wskazane mu miejsce, rad, że znika z oczu ciekawie na niego zwróconych, zmieszany bogactwem otaczających go strojów, a głównie brakiem wiernej szabli przy boku. Jedyne głęboka w nią ufność i ufność w swą rękę dawały mu poczucie równości z innymi, tak bardzo mu drogie.

Gości wciąż przybywało, rozsiadali się pod ścianami komnaty według wskazówek mistrza ceremonii. Wtem rozmowy ucichły, ze schodów dobiegł mocniejszy szmer zmieszanych głosów i kroków. Drzwi szeroko rozsunęły się i wszedł szlachcic w bogatym ciemnoszafirowym stroju, mieniącym się złotym połyskiem, twarz miał brązową, chudą, wzrost słuszny, ruchy wyniosłe, pańskie. Mocno skośne oczy strzelały groźnie i podejrzliwie na wszystkie strony.

— Mizuno Dźjurozajemon — szepnęła do ucha Gompaci kłęzczoła poza nim gejsza.

Za Dźjurozajemonem wtoczył się dyszący ciężko i spocony Goto Sikibu-no Kami.

Wszyscy czołami przypadli ku ziemi; obaj magnaci odpowiedzieli również niskim ukłonem, po czym zajęli miejsca naczelne pod ścianą, gdzie

w małej niszy między dwoma porcelanowymi lisami stał z drzewa rzeźbiony posążek boga Dajkoku\*.

Od tej chwili dopiero zaczęła się prawdziwa uczta.

Z rozsuniętych szeroko drzwi wyszła cała procesja gejsz w powłóczytych szatach, niosąc w ręku stoliceki zastawione potrawami na małych miseczkach. Jak cienie posuwały się poza plecami kłęzczołych na ziemi mężczyzn, stawiały przed nimi zastawę i odchodziły, aby znowu przynieść to dzbanki z gorącą *sake*, to kryształowe flakoniki z wiązkami kwiatów, to czarę z ciepłą wodą do płukania kieliszków i mycia palców. Ich ruchy zręczne, powiewne, ich nagie pachnące ręce wychylające się z szerokich rękawów, ich ślicznie uczesane głowy z wpiętymi we włosy kwiatami, ich białe szyje kołyszące się w wykroju ciemnych kimon, ich uśmiechy słodkie, ich dźwięczne, cicho szeptane wyrazy, owinęły i społyły od razu uczujących girlandą upojenia.

— Nazywam się Kinume, piękny, młody panie! A skąd ty jesteś? Nie widziałam cię tu nigdy jeszcze — szepnęła Gompaci urocza, przydzielona doń tancerka, nalewając mu *sake* i zmieniając talerze.

— Z daleka jestem, z północy! — odparł ten krótko i podejrzliwie.

— Aha, nie chcę bynajmniej wiedzieć twego nazwiska! Czyż nie wystarczy mi widok twych ślicznych ust? Lecz ty, panie, nie spojrzaleś jeszcze ani razu na mnie i *sake* stygnie w twej czarce! Czy nie przybyłeś tu po to, aby się weselić?

— Kto jest ten przyszczytany na twarzy pan, co mówi tak brzydtko o ojcu Czobei?

— To jest Szirogoro, przyjaciel i zausznik Dźjurozajemona. O, nasłuchasz się tu dużo zabawnych rzeczy o tych Otokodate. To ulubiona tutaj rozmowa. Czyż ci żal, szlachetny panie, tych prostaków i łotrzyków?

— Nie są wcale łotrzykami! O, co za szkoda, że nie mam tu swojej szabli!

— Jakże mądre jest stare prawidło, zamieniające w tych miejscach szczęk żelaza na śmiech i brzęk strun...

— Dlaczegoż jeszcze nie zaczęli tańców, które przerwałyby głupie rozmowy?

— Czekają na Purpurową Jaskółkę. Za chwilę przyjdzie, już po nią posłali.

— Więc to Purpurowa Jaskółka będzie przewodziła uczcie?

— Tak! Widzisz przygotowane dla niej miejsce między księciem Goto i panem Dźjurozajemonem? *Szi!* Już jest, już idzie!

W otwartych drzwiach ukazała się smukła postać kobieca w długim kimonie z purpurowej lamy; szeroki pas, również purpurowy, ale cały za haftowany złotymi kłosami zbóż i pękami polnych kwiatów, owijał jej kibić i spuszczał się aż do małych, wyglądających spod rąbka sukni, stóp; owal twarzyczki okalała ramka długich włosów, z których na wszyst-

\* Dajkoku — bóg bogactwa i powodzenia.

kie strony strzelały promienie długich, złotych szpilek. Pochyliła z lekka śliczną szyję i patrząc spod gęstych rzęs na ucztujących, rzekła z wesołym uśmiechem i głębszym jeszcze ukłonem:

— Szczęśliwej życzę wam nocy.

Gompaci, który spostrzegłszy ją, nagle zmartwiał, poderwał się z miejsca na dźwięk jej głosu. Ale Kinume czuwała nad nim, przytrzymała go za końce długich rękawów, szepcząc:

— *Szisz!* Tylko księżę Goto-no Kami ma prawo zamienić z nią powitanie, jego jest gościem!

— Kto ona? Kto ona? — pytał chrapliwym głosem Gompaci.

— Mówiłam już: Purpurowa Jaskółka; Purpurowa Jaskółka z Trzech Morskich Brzegów. Wszyscy tracicie dla niej momentalnie głowy! A to dlatego, że każdemu z was podoba się tylko to, co podoba się już innym...

Gompaci nie odpowiedział nic — już się opanował.

— Naley mi *sake!* — rzekł, wskazując gejszy na próżną czarkę.

— Nareszcie zaczynasz, śliczny młodzieńcze, rozumieć, po co przychodzi się tutaj! Co za szkoda, że będę cię musiała wkrótce opuścić, gdyż gram na tamburynie w orkiestrze, a widzę, że zaraz rozpoczną się tańce. Lecz przedtem przyniosę ci jeszcze jeden dzbanuszek *sake*.

— O, tak... tak! Proszę bardzo!

Śledził nabiegłymi krwią oczyma za purpurowym widmem płynącym środkiem sali w otoczeniu gejsz, z dwiema strojnymi, jak małe laleczki, *kamuro* po bokach.

Siadła, śmiejąc się, między grubym księciem i ospowatym Dźjurozajemem i natychmiast jakby dreszcz szczególny przeleciał po otaczających; rozpoczęły się śmiechy i gwary, żywiej zaczęły krążyć czarki podawane sobie przez sąsiadów i brzęczeć zaczęły podniecająco dźwięki samisenów.

Ukryty za szerokimi barami Fusiki Norimici, Gompaci pił chciwie *sake* i oczu nie spuszczał z cudownego zjawiska. Jej srebrny śmiech wciąż do niego dolatał; widział, jak jej aksamitne, powłóczyście oczy błyskają zalotnie w stronę wielkiej, czerwonej jak miedziany rondel, twarzy księcia, to zwracają się do psiej, kostropatej, końskiej mordy Dźjurozajemona. Widział, jak jej małe ręce toczone, wychylając się niby dwie lilie z purpurowych rękawów, broniły się zręcznym ruchem wachlarza przed zbyt narzączywym pochylaniem się sąsiadów ku jej falującym piersiom...

Na sali gejsze tańczyły swawolne płasy, jakich Gompaci nie widział jeszcze nigdy w swym życiu; słodkie głosy kobiece śpiewały wesoło piosenki, pokrzykiwali rozochoceni biesiadnicy. Kilku z nich spróbowało wykonać rycerski taniec. Z nęcącym śmiechem rozpierzchnęli się przed nimi na wszystkie strony rój gejsz i *muś-me*.

Gompaci widział to wszystko jak przez mgłę, wśród której wyraźnie rysowała się przed nim purpurowa zjawa...

— Purpurowa Jaskółka niech śpiewa! — rozległy się nagle ogólne wołania.

— Podajcie *koto!* — rozkazał księżę.

Podczas gdy wleczono długi ciężki instrument do kolan śpiewaczki, bie-

siadnicy usiedli znowu na miejscach i znowu zaczęły krążyć gęste czarki z parującą aromatycznie *sake*. Gejsze wróciły na swoje miejsca poza plecami gości. Kinume przykłękała tuż za Gompaci w zbytym pośpiechu pewnie tak blisko, że przez jedwabną tkaninę swego *hakama* młodzieniec poczuł wyraźnie nęcące ciepło jej kolan obok swych łądźwi. Choć wypita *sake* gęstym tumanem powlokła już jego wołę, odsunął się jednak niechętnie od zawstydzonej jego ruchem dziewczyny.

— Nie poczęstował mnie pan dotychczas ani razu! — rzekła z wyrzutem.

Oplukał czarkę i drżącą ręką nalał ją do pełna.

— Czy i ona tańczyć będzie? — spytał dość głośno.

— Nie, ona nigdy nie tańczy przed wieloma! Tańczy tylko przed wybrańcami! — odrzekła gejsza niechętnie. — Mówią, że ona jest *ojran*\* księcia Goto...

— *Szisz!* Śpiewa! — wyszeptał Gompaci nadstawiając uszu.

Miły, znany głos zanucił nagle, jakby z dalekiej głębin, znaną mu tak dobrze piosenkę:

Wiecznie deszcze i mgły  
Przelatują nad Fudzi śniegami.  
Wiecznie wieher surowy  
Tam szumi wśród skał...  
A w mym sercu twe imię.  
Daleki, kochany...  
Wiecznie brzmi  
Jak jęk struny  
Dotknięty przez ból...

Nagle stała się rzecz niesłychana: Gompaci uniósł się ze swego miejsca, wyrwał wstrzymującej go Kinume, chwiejnym, ale upartym krokiem wyminął szereg i, schylając się poza plecami księcia ku Purpurowej Jaskółce, rzekł głosem chrapliwym:

— Pozwól, pani, ubogiemu roninowi ofiarować ci czarę...

Purpurowa Jaskółka szybko odsunęła się od opierającego o nią ramienia księcia i zwróciła głowę do mówiącego.

Nagle jej błyszczące sarnie oczy otworzyły się szeroko i zmartwiały, twarz pokryła się straszną bladością, a dolna warga, złotym powleczone pudrem, drgać poczęła drobnym, bolesnym drżeniem.

— Ty... ty... Więc żyjesz?

Osunęła się prawie zemdlona w ramiona księcia.

— Co to za prostak?! Precz z nim! — krzyczał gniewnie Dźjurozajem.

— Za dużo wypił *sake* ten młody człowiek! — zauważył pogardliwie księżę.

— Gompaci, coś ty narobił? Wszystko przepadło! Chodź już, chodź.

\* *Ojran* — miłośnica; pewnego rodzaju kurtyzana, a raczej pensjonarka Josziwary, której całkowite utrzymanie wraz z zarobkiem gospodarza oplaca kochanek z prawem wyłącznego jej posiadania.

nieszczęśniku! — szeptał Fusiki, wprowadzając przy pomocy innych biesiadników szarpiącego się bezprzytomnie młodzieńca.

— Bardzo cię przestraszył? — pytał troskliwie księżę z wolna przycho-  
dzącej do siebie *ojran*.

— O, tak, przestraszył mię... Gdzie on jest? — spytała słabym głosem.

— Czy go znasz?

— O, nie, nie! — odparła żywo, prostując się i dotykając ręką czoła. —  
Gdzie on jest? — powtórzyła.

— Nie ma go! Już go wyprowadzili. Ja go też nie znam. To jakiś znajomy  
moich dworzan!

— Sikibu, jesteś zbyt nieostrożny. W naszych czasach rozgorzałych waśni,  
gdy czerń nabiera tyle śmiałości dzięki nierozsądnemu poparciu z góry,  
Otokodate wszędzie mogą się wśliznąć! — wyrzucał księciu Dźjurozajemon.

— Ależ ja nic nie wiem. Fusiki za to odpowiada! Spytaj się Fusiki! —  
bronił się księżę.

Ale Fusiki był na razie nieobecny, a wkrótce powrotna fala zabawy  
i wesela ogarnęła biesiadników.

Zapomniano o przykrym zajściu.

Znowu śmiała się, strzelała dowcipami, błyskała oczami i drobnymi  
zabkami śliczna Purpurowa Jaskółka. Jednak śpiewać już się więcej nie  
zgodziła.

## XVI

Od samego rana dał mocny *jamase*\*. Pod jego tchnieniem zgasły i po-  
wlokły się siwą mgłą wszystkie barwy ziemi, a na niebiosa wtoczyły się  
zwały czarnych, postrzępionych obłoków, brzemienne ulewą. Było parno,  
duszno od rozsianych w powietrzu drobinek piorunów, które za chwilę  
miały spłonąć w strasznych błyskawicach na dalekich górach, ale tymcza-  
sem przenikały wszystko na nizinach, budząc bolesne oczekiwania.

Gompaci klęczał na zwykłym miejscu „mistrza” przy drzwiach swej sali  
fechtunkowej i patrzył na ćwiczących się uczniów. Ale nie odzywał się,  
nie wydawał ostrzegawczych okrzyków, nie udzielał wskazówek jak zwykle.  
Oczy jego zawsze takie żywe, błyszczące, uważne, tym razem były zamglo-  
ne i nieruchome, drewniany miecz i skórzane rękawice leżały u jego kolan  
dotychczas nie tknięte. Walka nie podniecana jego gorącym udziałem od-  
bywała się niemrawo.

— Co za nuda dzisiaj! — rzekł Sei-bei, zdejmując maskę i siadając obok  
przyjaciela. — Co ci jest? Chory jesteś?

— Nie! — odburknął niechętnie Gompaci.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Sei-bei z ukosa śledził twarz towarzy-  
sza, wreszcie nie wytrzymał:

— Mówiłem, że nie należy wdawać się z panami! To nie dla nas!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że powiadają, że wyrzucili cię z tej uczyty księcia Sikibu-no Kami.  
Ale ja nie wierzę. To nie wygląda na ciebie, żebyś dał sobie bezkarnie  
ubliżyć!

Gompaci uśmiechnął się krzywo.

— Co prawda wróciłeś wtedy taki pijany, żeśmy się wszyscy dziwili,  
że nie zgbiliłeś swoich Muramasa.

— *Szi!* — syknął ronin. — Co wy tam robicie?! — krzyknął nagle na  
szermierzy.

Zerwał się, skoczył ku nim z pałaszem w rękę.

— Tak trzeba, tak trzeba! — powtarzał, odtrącając jednego z walczą-

\* *Jamase* — muson; wiatr zmienny, zależny od pory roku, na brzegach mórz i oceanów,  
typowy dla pld.-wsch. Azji.

cych i stając na jego miejscu bez maski i napierśnika. Odbił cios, po czym uderzył sam tak zaciekle, że przeciwnik aż przypadł na jedno kolano.

— Zbyt mocno! Tak walczyć niepodobna! — rzekł z urazą uderzony, podnosząc się i zdejmując maskę.

— Jak sobie chcesz! — odmrunknął Gompaci wracając na miejsce.

Złym spojrzeniem zmierzył jakiegoś nędzarza, który widocznie chroniąc się przed wybuchłą nagle na dworze nawałnicą, stał na progu ze zwiniętym, ociekającym parasolem w rękę.

— Czego on tu chce? Mógłby zatrzymać się w sionce... włóczęga! — odpowiedział Sei-bei.

— Trzeba było poczęstować go uderzeniem głowni sztyletu albo lepiej jeszcze ostrzem. Nie ma co robić z nim ceremonii! Sami złodzieje i rabusie!

— A Sanza?

— Sanza? Tak, Sanza... Sanza... zginął! — krzyknął Gompaci z rozdrażnieniem. — Czego chcesz? — zwrócił się do przybyłego, który oparł parasol o framugę drzwi, a sam przykucnął na progu.

Nieznajomy podniósł powoli powieki i utkwiał w Gompaci białe, nieruchome źrenice.

— To nie ten! To jakiś ślepy masażysta. Nie widzisz? — szepnął pośpiesznie Sei-bei.

— Czego tu szukasz? — powtórzył pytanie Gompaci.

— Po stuku mieczów poznaję, że tu jest szkoła szermierki! — odrzekł cicho ślepiec.

— Więc co?

— Nie moglibyście mi powiedzieć, czy nie ma tu niejakiego Gompaci... Sirai Gompaci?

— Nie ma żadnego Sirai Gompaci! — przerwał pośpiesznie Gompaci.

— Szkoda... — westchnął ślepy. — Mnie mówiono, że tu jest w tej szkole.

— A kto ci mówił? — spytał ostrożnie Sei-bei.

Ślepy nic nie odrzekł i zrobił ruch, jak gdyby chciał wstać.

— A nie wiecie, gdzie bym mógł go znaleźć?

— Nie wiemy. A czego chcesz od niego?

— Mam dla niego... list — odpowiedział ślepiec podnosząc się na nogi i macając rękami framugę w poszukiwaniu parasola.

— Poczekaj! List tobyśmy może mogli mu doręczyć... — wtrącił gorączkowo Gompaci.

— To go znacie?

— Owszem, znamy go.

— Więc jest tu?

— Jest.

— W takim razie prowadźcie mnie do niego... Muszę mu list oddać osobiście!

— Słuchaj, człowieku, jakże go poznasz? Wszak każdy z nas mógłby się nazywać Gompaci — zauważył podejrzliwie Gompaci.

— Już ja go poznam. Prowadźcie mnie.

— Więc ja jestem Gompaci!

— Sirai? — zapytał ślepy.

— Tak, Sirai!

— W takim razie podaj mi lewą rękę — dodał nieznajomy po pewnym wahaniu.

— A od kogo list? — dopytywał się Gompaci, nie podając rąk.

— Tego ja powiedzieć nie mogę. Dowiesz się z listu.

— Choć mniej więcej? Czy z tego miasta, czy z dalekiej okolicy? Jeżeli z tego miasta, to z jakiej dzielnicy? — dopytywał się Sei-bei.

— Nie wiem, nie wiem! List doręczono mi na ulicy. Jestem, jak widzicie, ślepy i nie mogłem nawet zobaczyć kto. Powiedziano mi tylko, że za doręczenie go Gompaci też da mi srebrną monetę... — kłamał widocznie, sadowiąc się znowu na progu.

Uczniowie zaprzestali szermierki i otoczyli rozmawiających zaciekawionym kołem.

— Do roboty, panowie, do roboty! — zwrócił się nagle do nich Gompaci. — Sei-bei, odprowadź ich i ustaw w pozycjach. Zaraz przyjdę!

Odeszli z ociąganiem się, zaciekawieni niezmiernie.

— Masz moją rękę, jestem Gompaci i mów, od kogo list.

— Tak, jesteś Gompaci. Blizna jest na swoim miejscu! — szeptał ślepy, wodząc palcami po lewym ramieniu Gompaci. — Oto list! Ale przedtem masz mi dać srebrną monetę!

— Cha, cha! A jeżeli to pusty papierek?

— Więc czytaj, niedowiarku! — obruszył się stary. — Nie ucieknę przecież stąd, niewidomy, lotem ptaka!

— Tyle razy byłem oszukiwany! — gorzko zauważył młodzieniec, rozwijając cienką bibułę.

„Bądź jutro w czasie Węża\* w świątyni Lisa na ulicy Pięćdziesięciu Herbaciarzy.”

Ani podpisu, ani adresu!

Krew mu jednak serce zalała, a później gorącą falą uderzyła do głowy. Obracał papierek w rękę i wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w szereg drobnych literek, które już nie były dla niego tajemnicą. Tak, to ona!

Chciał dać srebrną monetę posłańcowi, lecz już go nie było, i wtedy dopiero przypomniał sobie, że stary, odchodząc, mrucał coś o jego skąpstwie.

— I cóż tam było w tym liście? — spytał podchodząc Sei-bei. — Stary oddalił się tak szybko, jakby doskonale widział na dwoje oczu!

— Odszedł... Tak... Nawet nie wziął pieniędzy!

— Ech, przyjacielu, jeżeliś ronin, strzeż się, żebyś nie wpadł w zasadzkę jak Sanza. Pewnie cię zapraszają na jaką uroczą schadzkę?

— Istotnie zapraszają! — odrzekł Gompaci i podał przyjacielowi karteczkę.

— Stara sztuka! — zauważył ten, zwracając przeczytany liścik. — Pójdziesz?

\* Czas Węża — między 10 i 12 rano.



— Pójdę?

— Miłosierna Kwanon! Ależ to najpodlejszy kąć w całym Jeddo! U samego wejścia do Josziwary! Miejsce schadzek złodziei, włóczęgów i najemnych morderców. Mętów całej Japonii. Nie lubisz, kiedy tu jeden się taki kręci, a tam pójdziesz w ich tłum.

— Pójdę! — powtórzył uparcie.

— W takim razie choć mnie pozwól iść ze sobą!

Gompaci pomyślał chwilę.

— To można! — rzekł wreszcie. — A co zrobimy ze szkołą?

— Zamkniemy budę na jeden dzień. Bez ciebie i tak nie ma nauki!

— Dobrze. Dziś też nie mam ochoty. Pójdziemy do herbaciarni. Taki straszny czas! Hej, panowie! Jutro lekcji nie będzie i dziś możecie zaraz iść do domu!

Obecni zaczęli się rozbierać z bandaży i napierśników oraz składać na miejsce drewniane miecze.

Gompaci z Sei-bei wyszli ostatni, zamknęli szopę na klucz i chroniąc się nastawionymi jak puklerze parasolami od uderzeń pędzonej na ukos przez wichurę ulewy, poczapali przez kałuże czarnej wody ku herbaciarni, świecącej nie opodal wesoło ogniami.

## XVII

Nazajutrz wiatr szalał jak wczoraj i deszcz z krótkimi przerwami lał jak z cebra. Ulica Pięćdziesięciu Herbaciarni przedstawiała rzekę cuchnącego błota.

Z trudem przebrnęli ją na wysokich sandałach młodzi samurajowie, ubrani w żółte nieprzemakalne płaszcze z naoliwionego papieru. Rządcy przechodnie, obszarpani i posępni, przyglądali im się podejrzliwie, a z okien wyglądały wyniszczone twarze mieszkanek tej dzielnicy, szerszawe od trądu i wstrętnych wrzodów.

Świątynia Innari\* stała w samym końcu ulicy, niedaleko fosy okalającej Josziwarę. Przez zamkniętą bramę widać było za woalką ulewy puste, wysypane żółtym piaskiem ulice Doliny Rozkoszy i korony drzew tamtejszych ogrodów, huczące i bałwaniące się nad nimi w porywach wichury. We mgłach majaczyły idące ku nim jak gdyby dwie postacie, lecz nie mieli czasu się im przyglądać, gdyż chcieli się dostać na miejsce w samym początku czasu Węża. Świątynka, której nigdy przedtem dobrze nie obejrzeli, okazała się starą, brudną ruderą. Dwa kamienne posągi lisów, umieszczone z obu stron schodów, tuż przed niepozorną drewnianą *tori*, czarne od dżdżu i kurzu, szczyrzyły na siebie zęby.

Młodzieńcy minęli je obojętnie, stukając mocno zabłoconymi sandałami na wysokich stopniach kamiennych schodów, po czym zostawiwszy obuwie w sionce, weszli cichutko do wnętrza przez na wpół rozsunięte drzwi. Panował tam głęboki zmrok, ledwie rozwidniony ognikami dwóch olejnych lampek na głównym ołtarzu, słabo błyskających poprzez czerwone szkło swych naczyń.

Pachniało stęchlizną, kadzidłem i woskiem.

Gompaci i Sei-bei pośpieszyli ukryć się w kącie. Długo tam siedzieli, aż oczy ich, nawykłszy do ciemności, rozróżniły w kącie starego mnicha, który układał w paczki leżące przed nim żółte świece z drzewnego łoju i coraz spoglądał podejrzliwie na przybyszów. Wtem cicho zastukały sandały na podsieniu i w jasnym kwadracie wejścia zamajaczyły dwa cienie. Chwilę potem pochyliły się nad kamienną czarą z wodą, słyhać było, jak

\* Innari — lis.

pluszczą myjąc ręce, zabrzączały miedziane monety, rzucone do drewnianej przed ołtarzem skarbonki, ciemne postacie padły na kolana tuż przed balustradą ołtarza, trzykroć klasnąwszy w ręce. Mnich podniósł się ze swego miejsca, zapalił dwie świece i przylepił je do żelaznego lichtarza tuż przed modlącymi się. Jedna z postaci klęczała z twarzą ukrytą w dłoniach, druga ostrożnie obejrzała się dookoła.

Gompaci już nie miał wątpliwości — tak, to była Komurazaki!

Kocimi ruchami wypełznął ze swego kąta i ukląkł koło niej. Poznała go; jedną ręką zakryła twarz, a drugą opuściła, szukając jego dłoni. Schwycił ją i uściskał mocno, za mocno pewnie, gdyż odsunęła się nagle, lecz on już nie władał sobą. Serce mu drżało nie mniej boleśnie, niż w mocnych jego palcach drżała jej mała, miękka dłoń.

— Jakże się to stało... jakże się stało... — próbował szeptać.

Położyła palec na ustach, kiwając głową w stronę towarzyszek; wtedy nagle między swoją i jej dłonią poczuł gruby rulon, którego od razu nie zauważył. Zwolnił uścisk i natychmiast Komurazaki wyszarpnęła mu rękę i zakryła nią drugą połowę twarzy. Zrozumiał i odpełznął cichutko na dawne swe miejsce. Kobiety przekleślały jeszcze czas jakiś, po czym podniosły się jednocześnie i udały do mnicha, który wróżył im za skromne wynagrodzenie, każąc ciągnąć drewniane „żerebia” z miedzianej urny i odszukując według nich wersety w wielkiej oprawnej księdze.

Widział Gompaci, że odchodząc szukała go oczyma, lecz ciemności, gdzie się ukrył, były zbyt wielkie.

— Jaka cudna! Kto to? — pytał Sei-bei, gdy chlupali z powrotem po cuchnącym błocie.

— Purpurowa Jaskółka! — odrzekł z pewną przechwałką Gompaci.

— Nie może być! — krzyknął zatrzymując się Sei-bei.

— Tak jest!

— I co ty będziesz robił?

— Nie wiem. Czy to co pomoże, jeżeli będę o tym myślał?

Sei-bei stanął, poglądził ze zdziwienia podbródek, lecz ruszył natychmiast, pociągnięty przez niecierpliwego towarzysza. Próbował jeszcze dowiedzieć się cokolwiek, lecz Gompaci nie zdradzał najmniejszej ochoty do rozmowy. W domu porzucił go zaraz i udał się do pustej szkoły pod pretekstem, że zapomniał tam sakiewki. W szkole zamknął się i obejrzawszy wszystkie okna i otwory, rozwinął paczuszkę, którą mu wręczyła Komurazaki. Znalazł tam rulon złota i następujący list:

„Nie potępiaj mnie, dopóki mię nie wysłuchasz. Przyjdź w tych dniach. Abyś mógł to uczynić, posyłam ci trochę pieniędzy z moich oszczędności. Książę wyjechał i zwolnił mię”...

I nic więcej, nic więcej!

Znowu, jak za pierwszym razem, patrzył długo zmętniałym wzrokiem na list i zawinięte wań złoto, aż rzucił oboje na ziemię i zakrywszy twarz rękawem, z jękiem pochylił się na lewą stronę, gdzie poczuł szczególny ból.

— Książę wyjechał i zwolnił mię! — wyszeptał.

## XVIII

Deszcz lał dzień cały z krótkimi przerwami; pod wieczór wypogodziło się jednak i wśród podartych skłębionych chmur zabłyśły gwiazdy.

Gompaci, odziany w najlepsze swoje ubranie, z dwoma szablami za pasem, jak przystało samurajowi, z parasolem i latarnią w rękę, szedł pospiesznie wąskimi błotnistymi uliczkami Jeddo w kierunku Josziwary. Poczciwy Sei-bei towarzyszył przyjacielowi, również niosąc parasol i latarnię, ale miał za pasem pojedynczą szablę jako żołnierz mieszczański.

— O której przyjsz po ciebie? — spytał, kiedy światła Doliny Rozkoszy zabłyśły w głębi ciemnej ulicy.

— Po co masz przychodzić? Dziękuję ci, przyjacielu, ale sam przyjdę!

— Może by jednak bezpieczniej było we dwóch...

— Ty sam chodzisz?!

— Ja co innego, moje życie dla nikogo nie ma wartości... Odzież moja licha, broń prosta!

— Dziękuję, przyjacielu. Dam sobie radę. Zresztą wrócę pewnie o świtaniu.

— Gdyby jednak... Może... zaczekam?

— Wciąż jeszcze myślisz, że to zasadzka, cha, cha! Tym razem — nie, upewniam cię! Może gorzej, ale nie zasadzka!

— Więc mam zaraz odejść?

— Czyż nie wejdiesz do Josziwary pogapić się na *juzo* i *ojran*?

— Pora deszczowa \* i nikogo pewno nie ma! — zauważył Sei-bei.

Kiedy jednak znalazł się przed bramą, skusiły go puste wprawdzie, ale czyste, piaskowe ulice z drewnianymi i kamiennymi chodnikami po bokach, oświetlone wielkimi latarniami, zawieszonymi na słupach i zrębach wielu domów. Nie było jednak cudownych różańców, ogni wzdłuż gzymsów i balkonów. Złożone klatki kobiet stały ciemne, puste, zasunięte papierowymi lub drewnianymi *szodzi*. Same wejścia jedynie płonęły jaskrawym światłem, tak że doskonale można było odczytać na wystawionych afiszach imiona i zalety mieszkających tam kurtyzan. Na widok przechodniów odżwierni wykrzykiwali zachęcająco zakatarzonymi głosami:

\* Pora deszczowa — Njubei — czerwiec i lipiec są najbardziej dżdżyste, choć i od kwietnia do września z trzech dni jeden zawsze jest dżdżysty.

— *Io-ro-sziji!* \*. Wstępujcie! Spieszcie na słodycz przemijającą kwitnących ogrodów!

Ale ludzi było mało i ci kierowali się, nie zatrzymując, do miejsc wybranych zawczasu.

Przed domem Trzech Morskich Brzegów nie wisiał nawet napis z imionami kurtyzan. Wielkie jajo żółtej latarni z czarnym napisem nazwy domu rzucało łagodne światło na pobliski zmięty ulewą i mokry od deszczu kwietnik, na wilgotne, kamienne schodki i ciemnobrązowe zamknięte drzwi.

— Więc nie przychodzić? — spytał powtórnie Sei-bei, spoglądając pożądliwie na tajemnicze wejście.

— Raz jeszcze dziękuję ci. Nie trzeba! Gdybym nie wrócił dość wczesnie, otwórz szkołę.

— Słodka bogini Benten! Jeżeli nie przyjdiesz? Pójdę i opowiem wszystko Tokenowi. Bracia znajdą cię.

— Ani się waż! W tym jest jakaś tajemnica. Pojść nie mogę, co przywiodło aż tutaj Kom...

Urwał i spojrzał podejrzliwie na towarzysza, gdyż dotychczas nie mu nie mówił o swej przygodzie z córką kupca z Mikawy. Sei-bei wciąż spoglądał na drzwi, poza którymi rozbrzmiewały srebrne głosy dziewczęce.

— Nie trzeba. Sam sobie dam radę! Do widzenia, przyjacielu — rzucił wreszcie, schwył się za rączkę i drzwi szeroko rozsunął.

Potok światła lunął wprost w twarz młodzieńcom. Sei-bei jeszcze stał chwilę i przyglądał się rojowi służących, szybko zlatujących w sukniach o motylích barwach po szerokich schodach ku Gompaci stojącemu już pośrodku przedsionka. Jedne zdejmowały młodzieńcowi obuwie, inne odbierały parasol. parę skoczyło ku wyjściu i wysunął na zewnątrz ciekawie twarzyczki, zaczęły wołać na oddalającego się Sei-bei:

— Racz zaszczyścić wejściem! Wejdz i spytaj, śliczny młodzieńcze!

Ale widząc, że ten oddala się w milczeniu, zawarty drzwi ze śmiechem.

Gompaci poddał się chętnie posługom śmiejących się, młodzieńcych, świeżych i pachnących *muś-me*, ale szabel im nie oddał i kazał zawołać samego *zegen* (gospodarza).

Po dłuższym oczekiwaniu zjawił się poważny pan, wygolony jak budyjski mnich, ubrany w drogie srebrnoszare kimono z grubego jedwabiu.

— Czego życzy sobie ode mnie wasza wielmożność? — spytał *zegen* wpatrując się bystro w młodzieńca.

— Nie chciałem oddać byle komu mych szabel rodowych, których cena droższa dla mnie niż życie! — odrzekł Gompaci podając mu broń.

*Zegen* zgiął się, wciągnął powietrze i otrzymawszy na wyciągnięte dłonie obie szable, podniósł je uroczyście na wysokość swego czoła.

— Czy wasza wielmożność już wybrał jaki kwiat z mego ubożego ogrodu?

— Tak, Purpurową Jaskółkę!

— Purpurową Jaskółkę?! — przeciągnął gospodarz, znów ogarniając bystrym spojrzeniem całą postać gościa. — Nie wiem, czy wolna... Proszę wejść łaskawie na górę!

Wskazał na błyszczące schody, gdzie w potokach kolorowego światła rzędem z obu stron jak żywe kwiaty stały pochylone *muś-me*. Gompaci szybko przebył schody, wszedł w towarzystwie dwóch dziewcząt do dużego pokoju, gdzie usiadł pośrodku pod wielką okrągłą lampą, okrytą skrawkami czerwonego, białego i niebieskiego muślinu. Wkrótce z bocznych drzwi ukazała się i przyklekła obok niego starsza kobieta w czarnym kimonie, szarym opasana pasem. Natychmiast *muś-me* cofnęły się na korytarz i zasunęły drzwi; zostali sami. Stara ukloniła się nisko, lecz natychmiast wyprostowała i spojrzała gościowi przenikliwie, prawie groźnie w oczy.

*Jarite* \*... Jaka wstrętna! — domyślił się Gompaci. Oczów nie opuścił, choć poczuł pewien lęk o Komurazaki na widok tej twarzy zwiędłej, pomarszczonej, ze zgolonymi brwiami i czernionymi zębami, błyskającymi złowieszczą wśród wysłanych warg.

— Czego szukasz u nas, łaskawy panie? Czy znasz imiona dziewcząt naszych lub pokazać ci je?

— Chciałbym spotkać się... z Purpurową Jaskółką. Myślę, że mi to raczysz ułatwić!

— Purpurowa Jaskółka zajęta!

— Zajęta? Teraz pora deszczowa, gości nie macie!

— Nie ma pory złej dla Purpurowej Jaskółki! Jeżeli ją wasza wielmożność zna, to pewnie wie o tym.

— Znam ją i wiem o tym, że jest *ojron* księcia Goto Sikibu-no Kami. Ale książę wyjechał do swoich włości na żniwa i wróci dopiero na Święto Chryzantemy. Jest więc wolna!

— To wasza wielmożność jest dworzaninem księcia? — spytała skwapliwie. Zawahał się chwilę.

— Nie, nie jestem dworzaninem ani nawet wasalem księcia! — odparł szorstko. — Pochodzę z prowincji Inaba, gdzie ojciec mój posiada włości!

Nazwiska jednak nie powiedział, choć widział, że *jarite* czeka z niezmierną ciekawością, aby spadło z ust jego.

— Purpurowa Jaskółka droga jest! — westchnęła wreszcie stara. — Tak pięknemu kawalerowi nietrudno będzie o najlepszy wybór. Pokażę ci wszystkie kwiaty upiększające nasz ogród! Nic nie szkodzi, jeżeli je odrzucisz!

Klasnęła trzykroć w ręce nie czekając na jego odpowiedź.

Ukazywały się jedna za drugą z bocznych drzwi i przechodziły mimo młodzieńca na srebrzystym tle parawanów jak cudne widma, odziane w cieniuchne wzorzyste tkaniny. Szmer ich długich sukien, wlokących się po śliskich makatach, szumiał jak wiosenny strumyk; rozkoszna woń mocnych perfum rozlewała się wokoło jak ciepły podmuch wietrzyka lecącego z kwitnących łąk; ich twarze białe i delikatne jak płatki hodowanych pod namio-

*Io-ro-sziji!* — wszystko w porządku!

*Jarite* — nadzorczyńni kurtyzan.

tem peonii chwiały się z lekka na smukłych łabędzich szyjach, błyskając promieniami wielkich złotych szpilek, wetkniętych w przedziwnie uczesane, czarne jak noc, włosy. Szły, nie patrząc na Gompaci, z wilgotnymi aksamitnymi oczami, utkwionymi gdzieś w dal, gdzie czekała na nich pewnie własna i cudza rozkosz, zasnutą purpurową mgłą.

Przeszły. Było ich niedużo, były niewysłowienie piękne, lecz Komurazaki wśród nich nie było.

— A gdzież Purpurowa Jaskółka? — spytał drżącym cokolwiek głosem Gompaci.

*Jarite* nachyliła się ku niemu.

— Te wybrane są z tysięcy, jak wybrany jest zdrowy owoc granatu z tysięcy zerwanych. I kosztują niedrogo... dwa, trzy złote rijos za całą noc — szeptała cichutko.

— Chcę Jaskółki! — mruknął niecierpliwie.

— Jaskółki nie pokazujemy, bo ona... nie ma ceny! — szeptała dalej.

— Ile? — spytał już zupełnie głośno.

— Ile sam ją cenisz?

Gompaci zrobił gniewny ruch, jakby szukał szabli.

— Ile płacił księżę?

— Inna jest cena nocy, a inna miesiąca, a jeszcze inna roku.

— Proszę zawołać *zegena!*

— O, panie! Młody jesteś, lecz rozum twój jest rozumem siwowłosego starca. Po co niepokoić *zegena?* Daj dziesięć rijos i mnie *szadaj* pół złotego rijo, a zaraz każę cię prowadzić do jej pokoju. Jak mam oznajmić jej godność twą, łaskawy panie, gdyż Purpurowa Jaskółka ma zastrzeżone w umowie, że może nie przyjmować tych, których nie chce!

— Powiedz jej, że prosi ją o łaskawe przyjęcie samuraj z Inaby Ri-dzo!

— Ri-dzo? W takim razie nie trzeba pytać, gdyż mówiła nam, że czeka na przybycie twoje, łaskawy panie! Jakże się cieszę, że tyle piękności połączy się z sobą w dzisiejszą gwiazdną noc! Życzę ci słodyczy północnego miodu i zachwycenia głębokiego jak promień księżycy przebijający falę oceanu! — szeptała przebiegle, odbierając zapłatę i pół złotego *szadaju*. Wyprowadziła go przez główne drzwi na korytarz i przywołała dwie młodziuchne służące, rozkazując, aby powiodły go o piętro wyżej.

Dziewczęta chciały go od razu przebrać w nocne lekkie kimono, ale Gompaci się oparł.

## XIX

W niedużym białosrebrnym pokoiku, gdzie nie było nic prócz wazonu z gałązką rozkwitłej krwawnikowej kamelii, w rogu dwóch *kakemono* \* ze złotymi rybkami na ścianie — klęczała Purpurowa Jaskółka. Oczy utkwiała w wejście, ręce oparła na kolanach i tak trwała nieruchomo już od dłuższego czasu jak posąg oczekiwania. Nie ruszyła się nawet, gdy na progu pojawił się Gompaci i domyślnie *kamuro* \* szybko zasunęły drzwi za nim. Dopiero kiedy podszedł do niej, nagle upadła mu do nóg. Podjął ją i usiadł natychmiast obok.

— Jakże się to stało? Jakże się stać mogło? Ty... tu? Komurazaki... Komurazaki... — powtarzał drżącymi ustami.

Plakała wciąż, zakrywszy oczy końcem długiego rękawa.

— Jakże się to stało? Czy znowu cię porwano?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Więc powiedz! Co za nowa tajemnica? Gdybyś wiedziała, jaki sztylet bólu przebił mi wnętrzości, kiedy cię ujrzałem wówczas na uczcie... Właśnie niedawno pisałem do ciebie list...

— Pisałeś? Dużo razy? — spytała przez łzy.

— Raz pisałem; przedtem nie miałem co pisać, ale skoro tylko zaświtała nadzieja...

— Jaka nadzieja?

— Już jej nie ma! — mruknął posepnie. — Ale... ty... ty! Opowiadaj ty! Jakże się to stało?

— Długo opowiadać! Wkrótce po twoim odejściu spalili nam sklep, a potem dom...

— Kto spalił?

— Oni... Ludzie Ketsu-ona...

Gompaci błysnął oczami i rękę mimo woli położył tam, gdzie nosił miecz.

— Skąd wiesz?

— Bo potem pisali list z naigrawaniem się i groźbą, że będą się mścili

*Kakemono* — długie, zwykle na jedwabiu malowane obrazy, zwijane na drewniane wałki.

*Kamuro* — osobiste służebnice kurtyzan, zwykle dziewczynki 12-, 13-letnie.



do końca, aż mnie zabiją. Gdybyś ty był, może by się nie ośmielili, ale... odszedłeś!

— Mnie też o mało nie zabili... Długo chorowałem potem... Dlatego teraz jestem w ńędzy. Gdyby nie ksiązę Goto Sikibu... zginąłbym.

— Ale ja nic nie wiedziałam?! Dlaczego nie pisałeś, kochany?

— Nie chciałem was martwić i straszyć...

— Stokroć wołałabym wiedzieć, niż to, co przeżyłam, nie mając tak długo wieści od ciebie.

— Więc opowiedz nareszcie, jak to było?

— W czasie pożaru ledwieśmy z życiem uszli... Wyskoczyliśmy z płomieni w nocnych kimonach i one tylko zostały nam z całego majątku... Sąsiedzi przytulili nas z początku. Lecz ty wiesz, niebogaci nasi sąsiedzi! Część długów oddali nam sumienniejsi dłużnicy, ale reszta nie zgłaszała się nawet. Wiedzieli, że spłonęły i kwity, i książki. Było coraz gorzej. Głód zaczął zaglądać do uboższego szafasu, który wybudowaliśmy z desek na naszym pogorzelsku. Ojciec sprzedał za bezcen ziemię. Próbowałam zarobkować, lecz nic nie umiałam, a jako prosta najemnica ledwie na swoje zarabiałam życie. W oczach mi rodzice schli i wędli. Nic już nie zostało, co moglibyśmy spieniężyć... Wtedy powiedziałaś im: dla uratowania waszego życia sprzedajcie mnie, jak każde stare prawo. Sprzedali mnie i oto jestem... Wciąż myślałam o tobie, ale nawet nie wiedziałam, gdzie jesteś...

— Żle się stało. Żałuję, że nie poślubiłem cię! Gdybyśmy odeszli oboje, może by nie spalili twoich rodziców...

— Gdybyśmy odeszli oboje... ach tak, Gompaci... Gdybyśmy odeszli... — powtórzyła, po raz pierwszy spoglądając mu słodko w oczy i pochylając się ku niemu. — Pewnie głodny jesteś? Zaraz każę podać wieszczkę!

Klasnęła w ręce i poleciła przybiegłym na zew *kamuro* podać herbatę, ciastka, kolację.

— Wszystko dawno już czeka przygotowane — zaszczebiotała poufale starsza, zwana Mały Kłopot.

— Wszyscy się dziwią, że tak długo rozmawialiście bez herbaty! — zauważyła młodsza.

— Chodź no tu, chodź, mała zbytnico! — zawołała na nią Purpurowa Jaskółka i schwyciwszy dziewczynkę za rękę, przycisnęła ją do siebie i objęła za kibić.

— To jest „Złota Jaszczurka”, jedyna moja tutaj radość! — zwróciła się ze smutnym uśmiechem do ronina.

— A ja? — upomniała się Mały Kłopot, stając po drugiej stronie.

Kurtyzana przygarnęła ją również do siebie.

— I ty, i ty! Bez was nie wiem, czybym tu wytrzymała!

— Tak ci jest źle? Ale to dopiero niedawno. Dawniej śmiałaś się...

— To prawda! Dopiero niedawno płaczesz! — świergotały na przemian dziewczynki.

— Jak dorośniemy i my będziemy takie jak ona! — chwaliły się przed Gompaci.

— Dosyć już. Idźcie na kolację i przynieście domowe kimono dla wielmożnego pana! — kazała Purpurowa Jaskółka wypuszczając dziewczynki z ramion.

Przy posiłku opowiadali sobie długo i szczegółowo o wszystkim, co przytuli od chwili rozstania. Komurazaki wielokrotnie powracała do napadu włóczęgów na ukochanego w Święto Latawca oraz w Gaju Dzwonów i za każdym razem, słuchając, bladła z przerażenia i gniewu.

— A tutaj w mieście nie powtarzali zamachów?

— Nie. Tutaj ja jestem pod opieką potężnego Otokodate, ojca Czobei z Bandzuin! — rzekł z pewną dumą młodzieniec.

— A jednak strzeż się, strzeż, kochany. Ja znam tego Ketsu-ona... Przyjrzałam mu się dobrze w te kilka tygodni pobytu w ich jamie. To wściekły pies, zły i mściwy jak sam demon! W dodatku, dopóki ciebie nie zabije, nie będzie miał dawnego miru wśród swoich towarzyszy. Taki ich obyczaj!

— Kto jeszcze kogo zabije, nie wiadomo! — mruknął wzgardliwie Gompaci. — Co innego ty... Ty musisz się więcej strzec niż ja!

— Dopóki jestem w Josziwarze, nie obawiaj się o mnie. Nie śmiaj mnie zaczepić! Związek *zegenów* wszędzie go dosięże i wyda katu albo zgnoi w więzieniu. Oni strasznie bogaci ci *zegeni* i u rządu mają wielkie wpływy. Przez nas oni trzymają w posłuchu książąt i dajmiosów...

Uśmiechnęła się blado i nalała mu ciepłej *sake* do czarki.

— Tak, ale my przecież uciekniemy! — szepnęła cicho, pochylając się ku niej i gładząc pieszczotliwie jej rękę.

Uśmiech znikł z jej ust i odrzekła po chwili poważnie:

— Niemożliwe. Gdybym dziś uciekła, już jutro mój *zegen* nie tylko nie posłałby rodzicom pensji, lecz ściągnąłby z nich moje długie za ubrania, klejnoty i przedmioty domowe, potrzebne w moim zawodzie. Zabrano by im nawet te liche sprzęty i odzienie, które już zdołali sobie nabyć: wyrzucano by ich z mieszkania, ba, może by nawet wtrącono do więzienia. Nie, ja nie ucieknę. To trzeba inaczej urządzić. Czy ty dużo im zapłaciłeś?

— Dziewięć rijos złotem i pół rijo *szadaju* dla *jarite*!

Klasnęła rękami.

— To cię oszukali! Ale ja zrobię awanturę!

— O, nie rób awantury! Jeszcze mnie do ciebie więcej nie puszcza...

— I to prawda. Wszedłeś tak niespodziewanie. Nie wołali mnie nawet. Czy ty czasem nie powiedziałeś im za dużo?

— Powiedziałem *zegenowi* od razu, że chcę ciebie.

— Nierozsądny... Trzeba było nic nie mówić i wybrać mnie spokojnie, gdybym wyszła w szeregu.

— A mnie powiedzieli, że ciebie nigdy nie pokazują.

— Nieprawda! Muszę wychodzić, gdy jestem wolna, jak inne. My tylko nie siadujemy w klatkach. U nas nie ma klatki. Jakże żałuję teraz tego, moglibyśmy widywać się co dzień. Nie na długo starczy pieniędzy, które ci dałam, a szkoła szermierki nigdy ci nie przyniesie takiego dochodu...

Zwiesiła głowę, ale ronin uderzył ręką po biodrze, wypił czarkę *sake* i roześmiał się.

— Co będę myślał o tym, co będzie! Oboje płyniemy po kołyszącym się morzu bez drogi. Czy warto smucić się tym, co może będzie albo i nie będzie? Mam jeszcze co najmniej na cztery wizyty. Więc zamówię ciebie na pół miesiąca...

— Ale ty się z nimi potarguj!

— Wstyd mi będzie targować się o ciebie, kochana!

— Oni to spostrzegli i dlatego oszukali ciebie. A ty zwróć się do *zegeny*, on lepszy i on nas nawet lubi trochę, jak wieśniak lubi swoje kaczki i kury niosące mu złote jaja. Może ustąpi. Bo ta nasza *jarite* to lubi tylko pieniądze, a nienawidzi młodości, bo jej już nie ma! Wiesz co? Nawet dobrze będzie, jak pójdziesz do *zegeny* i zażadasz zniżki. Niech im w głowie nie postanie, że znaleźmy się dawniej i że...

Zamilkła, zmieszana, i opuściła głowę.

— I... że cię kocham! — szepnął gorąco i przytulił usta do jej białego karku.

Przechyliła się nagle w tył, odrzuciła rękawy i owinęła mu szyję nagim, atlasowym ramieniem...

## XX

Wrócił o świtaniu i cały dzień był jakiś zamyślony, jakby nieprzytomny. Szkołę prowadził niedbale i gdyby nie Sei-bei, szermierze rozeszliby się przed czasem. Dopiero pod wieczór ożywił się, wykapał, poszedł do golazra, kazał się starannie ogolić, uczesać, wyrwać wszędzie na ciele niepotrzebne włosy, namaścić pachnidłami, włożyć swoje najpiękniejsze suknie, głównie szabli pokrył nowymi jedwabnymi pokrowcami, i piękny jak bóg ruszył na miasto.

Bracia, którzy sypiali z nim w tej samej izbie, śledzili za nim ciekawie, spod oka, ale żaden nie śmiał go zapytać. Jeden Sei-bei wyszedł za nim, zabrawszy miecz i latarnię.

— Do Josziwary? — spytał cicho.

— Tak.

— Pozwolisz sobie towarzyszyć?

— Owszem, nawet ci dam trochę pieniędzy, żebyś i ty się zabawił.

— Nie. Dziękuję ci. Mógłbyś z czasem pomyśleć, że kocham cię dla zysku. Ja zresztą mam tu niedaleko szkoły znajomą, młodą służącą...

— Jak uważasz!

— A ty? Czy choć jesteś szczęśliwy?

— Będę szczęśliwy, kiedy ją stamtąd wyrwę.

— O łaskawy Dajkoku! Żeby wykupić taką *taju*, potrzeba góry pieniędzy! Skąd je weźmiesz?!

— Muszę je mieć! — mruknął Gompaci, ściskając zęby.

Tak rozmawiając, doszli do Josziwary, przy której bramie, otwartej i oświetlonej, zatrzymali się. Było chmurno, ale deszcz nie padał i gości kręciło się więcej po cichych ulicach Doliny Rozkoszy.

— Wrócisz pewnie nad ranem, więc ja zabiorę latarnię — powiedział na odchodnym Sei-bei.

— Nie wiem. Może wcale nie wrócę! — roześmiał się Gompaci.

— Niech chroni cię miłosierna Kwanon!

— A pilnuj się i ty, żeby cię kto w ciemnościach nie usiekł!

— Jaki komu zysk napadać na takiego jak ja robaka?

— Kto to wie! Lepiej byś się ze mną nie wdawał, jeśli chcesz żyć spokojnie!

— Jakoś dotychczas żyjemy! — roześmiał się z kolei Sei-bei.

Odszedł. Gdy jednak chwilę potem obejrzał się, schowawszy za plecy latarnię, wydało mu się, że wśród ludzkich cieni, kryjących się co noc na brzegach kanału Josziwary, powstał jakiś ruch, że jakaś postać ciemna i kosmata przesunęła się między nim i luną bijącą z Miasta Miłości. Idąc nasłuchiwał więc pilnie i istotnie rozróżnił jakby ostrożne człapanie za sobą nóg bosych. Przystanął, człapanie ucichło, znowu ruszył i znowu je usłyszał. Wtedy, machając wesoło latarnią, jął biec szybko i nagle skręcił za róg pierwszej spotkanej ulicy, przytulił się do ściany i latarnię przykrył połą kimona. Tupot bosych nóg zbliżał się gwałtownie, a gdy był tuż u węgła, Sei-bei wyskoczył z szablą w rękę i podniósł latarnię do góry. Stał przed nim chwilę, oślepiiony widocznym blaskiem latarni, wielki, obdarty włóczęga z palicą w rękę, znikł jednak wcześniej, nim go zdołał zapytać lub uderzyć.

Tak, tym razem śledzą mnie, ale po co? — pomyślał Sei-bei i wyrzucił w powietrze pełną gardzielą krzyk wojenny, zew pomocy Otokodate, aby do reszty spłoszyć uciekającego prześladowcę.

Gdy nazajutrz opowiedział swoją przygodę Gompaci, ten zauważył z pewną wesołością:

— Tak, przyjacielu, wyśledzili mnie i gotują nowy na mnie napad! Nie wiem tylko kto: czy Zempa...

Urwał nagle, spostrzegłszy się.

— Kto taki? — spytał Sei-bei.

— Tacy... dawniejsi! — odrzekł niechętnie. — Ale to na pewno nie oni. To Ketsu-on!

— Nigdy nie słyszałem takiego nazwiska! Czy to też samuraj?

— Nie, to taki zbój, który porwał niegdyś Purpurową Jaskółkę. Ach, jakże pragnąłbym się z nim spotkać i zmierzyć! Niechby się raz skończyło!

Sei-bei chciwie łowił tak rzadkie u przyjaciela wyznania, ale gdy ten umilkł, nie śmiał go o więcej pytać; rzekł tylko po chwili milczenia:

— To może my go poszukamy?

— Chętnie bym to zrobił, ale czy ja mam czas?! Przeklęta szkoła wiąże mi ręce!

Nie bardzo jednak zajmował się szkołą; uczniów ubywało i nie wracały już wcale wesołe, zapalczywe spory o starych broniach, o ciosach i sposobach, o dawnych mistrzach szermierki i nowych fortelach, o czarach, gusłach, przygodach, które tak wabiły niedawno rycerską młodzież do szkoły.

Nikt już nie komponował wierszy między jednym starciem i drugim i nie wieształ ich na znak uznania na ścianach sali w ramce kwiatów.

Nauka odbywała się w posępnym milczeniu, przerywana jedynie twardymi fachowymi wykrzyknikami, jak nudna pańszczyzna.

A wieczorami Gompaci i Sei-bei, przebrani w najlepsze swoje szaty, zabrawszy miecze i latarnie, znikali.

Kiedy powtórzyło się to kilka dni z rzędu, bracia domyślili się, dokąd chodzą, i pewnego ranka Token Gombei spytał Sei-bei:

— Gdzie to Haru przepada po nocach? Słyszałem, że w Josziwarze! Czy to prawda?

— Prawda, starszy bracie!

— Za często, za często! Zaniedbuje szkołę.

— On tam znalazł dziewczynę, którą znał dawniej, którą kochał i z którą podobno miał się żenić!

— Biedny! Cóż on: chce ją wykupić?

— Może by i chciał, ale nie ma pieniędzy!

— He, będzie ich miał jeszcze mniej, skoro szkoła upadnie. Ty go nie możesz zastąpić, nie masz dość wprawy w szermierce ani takiej wśród młodzieży wziętości jak on...

Sei-bei czekał niecierpliwie powrotu Gompaci, aby mu rozmowę powtórzyć.

A co, jeżeli ojciec Czobei da pieniędzy na wykup dziewczyny? Wtedy Gompaci zamieszka z nią pewnie gdzieś w pobliżu albo odgrodzą miejsca trochę na parę pokoików z kuchenką w samej szkole! Toby było doskonałe, znowu by wrócił śmiech i wesele na lekcjach i sława Otokodate rozbrzmiewałaby szeroko, odbijając się o mury Asakusa\*. I znowu zacząłby się śmiać swoim ślicznym śmiechem Gompaci, wtórowałaby mu Purpurowa Jaskółka. Jaka ona cudna! — rozmyślał pocziwy chłopak.

Daremnie jednak czekał dzień cały: Gompaci nie wrócił wcale z Josziwary.

Nadszedł wieczór, zapadła noc, a Gompaci nie było. Już Sei-bei zaczął się poważnie niepokoić; już zamierzał poruszyć braci i udać się na poszukiwanie zaginionego, gdy we drzwiach ukazał się Gompaci. Twarz miał szerniałą, oczy gorejące i głęboko zapadłe, ubranie w nieładzie.

— Masz pieniądze? — spytał od progu przyjaciela, obrzuciwszy przedtem bystrym spojrzeniem pustą izbę, słabo oświetloną wiszącą u pułapu latarnią.

— Mam trochę!

— Daj i chodź ze mną!

— Nie oczyścisz ubrania?! Całe w błocie! Może kąpiel ci zrobić?

— Nie trzeba! Zbyt długo... Dawaj wody gorącej... gąbkę i... szczotkę...

— A gdzie druga szabla? — spytał z przerażeniem, pomagając rozbić się przyjacielowi.

— Przegrałem! — odrzekł ten głosem zmieszonym. — Przegrałem, wszystko przegrałem!

Sei-bei cofnął się zdumiony.

— Przegrałeś... twoje Muramasa?!

— Ach nie mów! — szepnęła Gompaci ze łzami w oczach. — Muszę odegrać się, odebrać... Do jutra mam czas...

— A teraz pójdziesz z jedną szablą jak prosty chłop?

\* Asakusa — dzielnica magnatów pośrodku Jeddo, gdzie początkowo SzioGUNowie trzymali pod surowym nadzorem niesfornych dajmiosów wraz z rodzinami.

— Cóż robić... Chodźmy! Weź latarnię i parasol, bo znowu deszcz leje!

Szli ulicami pełnymi szumu ulewy i nieprzeniknionych ciemności. W śródmieściu jeszcze tu i owdzie spotykali kołyszące się u ziemi ogniki latarni rzadkich przechodniów; szeroko rozświetcone wewnątrz *szodzi* domów rzucały blady blask na smugi dżdżu i czarne kałuże pluskającego błota. Dalej wszakże na przedmieściach wszystko już spało i czarne zarysy domów zlewały się zupełnie z czerniawą powietrza.

Wokoło siebie widzieli już tylko tyle, co oświetlał nikły płomyk ich szarpanej przez wiatr latarni.

— Dziś nie pozwolę ci wracać samemu do domu! — oznajmił Gompaci.

— Gdzież się więc podziej?

— Pójdiesz ze mną!

— Czy to nie sprawi przykrości Purpurowej Jaskółce?

— Żadne moje życzenie nie sprawi jej przykrości. Owszem, będzie bardzo rada.

Już słaba łuna światła Josziwary zamajaczyła w dali nad domami, gdy nagle zza węgła wyszedł rosty drab, oświetlił ich wznieśioną do góry latarnią i z cicha gwizdnął przez zęby; jednocześnie dwa cienie rzuciły się na nich z dwóch stron z obnażonymi mieczami. Sei-bei zastawił się parasolem, rzucił latarnię i dobył swej szabli. Oparty plecami o ścianę czy też o parkan chciał się bronić, lecz ze zdziwieniem spostrzegł, że nikt na niego nie naciera, za to rześisty szczęk żelaza rozlegał się tuż obok w kole światła z latarni, trzymanej wciąż w wyciągniętej ręce przez nieznanego włóczęgę. Światło biło wprost na całą postać i na bladą twarz Gompaci, broniącego się umiejętnie szabłą przed dwoma ostrzami, które co chwila jak straszliwe lśniące żądła wysuwały się ku niemu z ciemności z niezmierną szybkością z tej lub z owej strony. Sei-bei skoczył i ciął na oślep w ciemności, jednocześnie Gompaci sparował uderzenie i jednym rzutem usunął się z koła światła. Nie przestał jednak walczyć, słychać było, jak dalej jego szabla szczęka i uderza. Latarnia w rękach draba zakołysała się i zatrzymałszy chwilkę na Sei-bei, posunęła dalej, aż nagle upadła i potoczyła się po błocie.

— Jest! — krzyknął, ciężko dysząc Gompaci. — Sei-bei... żyjesz? Podnieś latarnię, podnieś ją, zanim zgaśnie! Prędeż!

— Ranny jesteś?

— Nie, a ty?

— I ja nie! Tylko mój parasol porąbany. A gdzież są oni?

— Uciekli, ale jeden z nich został. Dawaj tu latarnię, zobaczymy, co za jeden...

Przy niepewnym blasku zbrukanej błotem i krwią latarni znaleźli o parę kroków dalej leżącego na ziemi mężczyznę z głową opartą o drewniany parkan. Wśród bladej twarzy dziko połyskiwały wyszłe z orbit oczy, z prawej, odciętej prawie zupełnie, ręki bluzgała krew. Gompaci podszedł ku niemu i, nadepnawszy prawą stopą na ciężko dyszącą pierś, przyłożył ostrze miecza do obnażonej krtani nieznajomego.

— Ktoś ty?

— Nie śmiej mnie zabijać! Jestem ze „Związku włóczęgów”... Będę pomszczony!

— My też jesteśmy z Otokodate ojca Czobei! Dlaczegoś na nas napadł?

— Taki rozkaz... Napadną i inni.

Nie zdążył skończyć, gdyż Gompaci nacisnął szabłę, włóczęga zacharczał, zatrzepotał się jak zarzynany ptak i zamarł bez ruchu.

Przerażony Sei-bei stał skamieniały.

— Co teraz będzie?

— Będzie wojna! — roześmiał się Gompaci, wycierając szabłę o poję zabitego. — Poświeć, poświeć jeszcze tu bliżej, bo to mój łup — dodał, wyciągając spod trupa unurzoną w błocie szabłę i wycierając ją również starrannie. — Poszukać tylko musimy pochwy. Porzucił pewnie ją niedaleko.

Po niedługim szukaniu znaleźli pochwę.

— Wcale niezgorsza broń! — gadał Gompaci oczyszczając pochwę z błota. — Oto i drugi mój miecz! — dodał, wsuwając szabłę za pas.

Sei-bei, wciąż przerażony, nie odzywał się, tylko kiedy idący przodem Gompaci mijając trupa zatrzymał się, zapytał go drżącym głosem:

— Co jeszcze chcesz robić?

— Poczekaj, zaraz pójdziemy dalej!

Nachylił się i długo szukał pod łachmanami na ciele zabitego, aż wyciągnął stamtąd ciężki trzos.

— A co?! — krzyknął, pokazując go towarzyszowi. — Ja ich znam, tych nędzników! To są po prostu zbóje! Pewnie nagroda za napad na mnie! Ho, ho! Teraz już wszystko, chodźmy! Ale parasol swój i latarnię, choć porąbane, zabierz, bo to ślad, a po co mamy robić miejskiej policji niepotrzebny kłopot! Wrzucimy je do kanału koło Josziwary...

Tak rozmawiając znaleźli się wkrótce przy bramie Doliny Rozkoszy. Tu skręcili w bok wzdłuż brzegu fosy, szukając dogodnego miejsca na zatopienie niepotrzebnych przedmiotów. Brzegi jednakże okazały się zaludnione, co krok trafiali na jakieś nędzne postacie, które pomimo deszczu spały wtuliwszy się w krzaki lub wczółgawszy się pod bambusowe pomosty nadbrzeżnych domów. Ruszali się lub podnosili głowy na widok ich latarni. Szli więc dalej i dalej, aż zabrnęli na jakiś nieznanany już zupełnie pusty plac. Tu rzucili rzeczy w głębinę między wielkie liście lotosu.

Noc spędzili bardzo wesoło.

W kiesie napastnika znaleźli uncję srebra. Sei-bei po krótkim wzdraganiu się wybrał sobie jeden kwiatek z ogrodu gospody Trzech Morskich Brzegów. Zamówili sobie dobrą kolację, wypili dużo *sake*, dużo się śmieli, pisali wiersze, opowiadali zabawne anegdoty, wspominali przygody.

Purpurowa Jaskółka śpiewała im i grała, potem śpiewali wszyscy razem, potem Mały Kłopot i Złota Jaszczurka odtańczyły wszystkie znane im tańce.

Wybrana przez Sei-bei Pani Ulatającego Obłoku uśmiechała się tak słodko, że chłopak wkrótce zapomniał o okropnościach tej nocy i świetnie



związał jedną ręką dwie łądy kwitnącej trawy za pomocą papierowej wstążki z napisaną na niej modlitwą o wieczną miłość.

Słowa nie pisnęli o tym, co ich spotkało po drodze, jak to rozkazał Gompaci.

Wyszli o świtaniu, dawszy tak sute *szadaj* zarówno służbie, jak i starej *jarite*, że ta ostatnia gotowa była na tych warunkach pogodzić się nawet z Gompaci i wybaczyć mu zawładnięcie najpiękniejszą *ojran* zakładu.

## XXI

Białe dymy mgieł kołyszących się nad Jeddo nasiąkały już różowym światłem, kiedy opuścili Josziwarę.

Młode ich ciała, jeszcze pełne słodkiej niemocy po przeżytej w tej nocy rozkoszy, chłodził teraz i przenikał na wskroś wiatr wiejący od morza. Sei-bei kurczył się i chował ręce głęboko w rękawy. Gompaci bystro spoglądał przed siebie w pustą zamgloną dal ulicy. Nagle zatrzymał się i zwrócił w przecznicę na prawo.

— Dokąd? Będzie wiele dalej! — szepnął Sei-bei.

— To nic. Lepiej nałożyć! Nie wiadomo, czy tam przy wczorajszym trupie nie krążą już wywiadowcy miejskiej policji.

— Niech krążą! Przecież nie my, lecz oni na nas napadli.

— Tak, to tak! Jednak wołę nie włączyć im w oczy!

Sei-bei wyprostował się nagle i ręce wyjął z rękawów. Długo siedł w milczeniu obok kroczącego szybko towarzysza, wreszcie bąknął:

— Co prawda... sumienie nic mi nie wyrzuca! Ale, może by lepiej było, Haru, gdybyśmy nie brali tego worka ze srebrem?

— Dlaczegoż to? Czy myślisz, że oni nie przetrząsnęliby naszych kieszeni, gdyby nas zabili? Zresztą o tym nikt nie wie prócz mnie i ciebie. Gorzej byłoby, gdyby zapytali mnie: skąd jestem i co w Jeddo porabiam?

— Co porabiasz? Uczysz młodzież władać szablą, bardzo szlachetne zajęcie...

— He, he! Dobry jesteś, przyjacielu! — roześmiał się Gompaci.

Znowu przez dłuższą chwilę szli w milczeniu przez ciche, śpiące ulice.

— Daruj, bracie, zapomniałem, że ty jesteś... ronin! — szepnął wreszcie Sei-bei, nachylając się do przyjaciela.

— Nie o to chodzi, lecz o to, żeby nie dowiedzieli się o mnie ci, co nie trzeba, wcześniej, niż zabłysnę!

— O, tak! Ty zasłyniesz... Nie wątpię. Ty jesteś wprost nadzwyczajny! I kocha cię taka kobieta!

— Już dobrze! Teraz idź wprost do szkoły, a ja pójdę wykupić moje Muramasa.

— Ale wracaj zaraz! Pamiętaj, że ojciec Czobei pytał się o ciebie!

Rozstali się i zniknęli w obłokach gęstej płynącej ulicami mgły. Miejscami opona tumanu rozdzierała się, szarpnięta przez wiatr pogodnego poranka.

Kończy się pluchota! Wróć panowie. Zaroi się Josziwara. Co pocznie wtedy Purpurowa Jaskółka? Ech, biedny Gompaci! — wzdychał Sei-bei, otwierając drzwi pustej i posępnej szopy.

Czas jakiś kręcił się, porządkował, wreszcie wyciągnął z kąta matę, podłożył pod głowę okrągły klocek drzewa i schowawszy gołe kolana pod poły kimona, usnął smacznie.

Obudziły go dopiero głosy napływających uczniów. Zasiłił świeżymi węglami *hibaczi*, zapalił fajeczkę, poczęstował nią przybyłych, po czym wzięli się do zwykłych ćwiczeń. Coraz niespokojniej spoglądał jednak Sei-bei na wejście, w miarę jak napływali nowi szermierze i stale zapytywali o Haru:

— Nic ma! Zaraz będzie! Wyszedł na chwilkę.

Godziny biegły. Więcej gadano, niż bito się.

Wreszcie około południa wpadł Gompaci, powitany powszechnym: „O he!” Sei-bei od razu zauważył, że jest wściekły.

— Co się stało?

— *Chaj!* Znowu przegrałem wszystko.

— A Muramasa?

— Muramasa mam! O, tego już nigdy się nie pozbędę, nigdy! — gadał gorączkowo, poprawiając ubranie i przygotowując się do szermierki. — A to twoja szabla! — dodał, podając towarzyszowi zdobytą wczoraj na włóczędzie szablę. — Niezła broń, musieli ją gdzieś ci zbóje ukraść!

Sei-bei przyjął broń po króciuchnym wahaniu, wyciągnął klingę z pochwy i oglądał ją ciekawie pod światło, zacerwieniony i zmieszany. Obecni, dostrzegłszy połyskujące ostrze, zbliżyli się doń, brali do ręki, oglądali, rozpytywali.

— Kupiłem ją wczoraj na ulicy od niewiadomego przechodnia! — kłamał Sei-bei.

Jedni chwalili, drudzy ganili nabytek; sprzeczali się o wartość, o pochodzenie i rodzaj wyrobu.

— To nie jest prawdziwa Szidzu Kanei, ale coś w tym rodzaju.

— A ja ci mówię, że to Masamuna!

— Nic wy nie wiecie, ale w każdym razie dobry brzeszczot.

— To się dopiero pokaże w robocie.

— Cha, cha! Daj, niech cię usiekę!

— Czas na obiad, chłopcy, zdejmujcie napierśniki! — rozkazał, zbliżając się, Gompaci.

Gdy weszli do głównej izby Otokodate, bracia już jedli obiad. Ojciec Czobei tym razem obiadował razem ze wszystkimi. Żrebak, który tylko co wrócił z północy z Sendaju, dokąd towarzyszył karawanie z towarami, opowiadał krzykliwie swoje przygody. Ojciec Czobei przywitał kłaniających się przy wejściu młodzieńców ruchem głowy i przewlekłym uważnym spojrzeniem.

Opowiadanie Żrebaka przedłużało się, i nawet kiedy wszyscy już spożyli posiłek i zapalili fajeczki, gadatliwy żołnierz wciąż się śmiał i sypał bez końca wyrazy.

Ojciec podniósł się i kiwnął na Gompaci.

— Chłopcze! — rzekł, gdy usiedli wygodnie w sąsiednim małym pokoiku i służąca postawiła przed nimi na stoliczku filiżaneczki oraz imbryk z gorącą herbatą. — Chłopcze, opuszczasz się! Powierzyłem ci szkołę, naszą chlubę, tymczasem ciebie tam nie ma, a szermierkę prowadzi Sei-bei, który wcale do tego nie ma zdolności. Uczniowie skarżą się...

— Nie byłem wszystkiego parę razy... — wtrącił nieśmiało Gompaci.

— To zupełnie wystarcza dla zepsucia opinii. Co ci jest? Zmieniłeś się, jesteś mizerny i smutny. Powiedz, może będę ci mógł dopomóc?

Gompaci milczał, pochyliwszy głowę i nie podnosząc opuszczonych powiek.

— Mówią, żeś się zakochał w jakiejś dziewczynie z Josziwary... Czy to prawda? Niebezpieczna to rzecz!

Gompaci wciąż milczał posępnie.

— Powiedz, kto ona jest? Czy nie można jej wykupić? Otokodate pomoże ci.

— Ojczy, jakżebym tego pragnął... jakżebym pragnął. Ona przeze mnie popadła w takie nieszczęście!

— Któż ona jest? — nastawał dobrotliwie Czobei.

— Nie wiem, czy ją znasz? Ona się zowie Purpurowa Jaskółka.

— Purpurowa Jaskółka? Co mówisz? Znam ją bardzo dobrze! *Ojran* jednego z naszych największych wrogów. Ależ za nią zażądamy góry złota! To niepodobna!

Gompaci znów głowę opuścił i nakrył oczy powiekami.

— To niepodobna! Oni prędzej zabiją, niż ją nam oddadzą! — powtarzał poruszony Czobei. — Za nic! Radzę ci, chłopcze, dla swego i jej bezpieczeństwa porzuć ją zaraz! Im prędzej, tym lepiej. Zresztą to się niedługo skończy. Goto Sikibu-no Kami wraca... rozłączą was.

Spojrzał na chmurzącą się, zaciętą twarz młodzieńca i zamilkł. Gompaci nie ruszał się. Czobei zapalił fajeczkę, pociągnął kilka razy i podał chłopcu. Gompaci przyjął ją niezbyt skwapliwie, pociągnął, wytrząsnął popiół starannie, nie przerywając milczenia.

— Więc jakże? — zapytał niecierpliwie Czobei.

— Ojczy, ona ma mnie jednego tylko na świecie. Rodzice daleko, starzy i chorzy, żyją z tego, co ona im daje. Już raz rzuciłem ją i stąd przyszedł wszystkie jej nieszczęścia...

— Oboje zginiecie!

— Jeżeli takie jest przeznaczenie! Kto może uchylić się od swego losu? Widocznie w dawnych wcieleniach byliśmy połączeni.

— Będę jednak musiał odebrać ci szkołę.

— Dałeś mi ją, możesz ją odebrać, ojczy! Od dziś nie opuszczę jednej godziny! I nie dlatego, że mogę zarobek utracić, lecz dlatego, że byłbyś dobry dla mnie, ojczy, i gniew twój boli mnie.

Czobei znowu nabił tytoniem fajeczkę.

— Dobrze. Zostań więc. Ale pamiętaj, że ja muszę dbać o godność i dobro całego Otokodate. Że mi nie wolno osobistymi kierować się względami. Że będę surowy!

— Dobrze, ojczu! Będę pamiętał.

— Idź więc! A może chcesz, żebym wysłał cię gdzie... na daleką wyprawę?

— Nie, ojczu, nie pojechałbym teraz nigdzie! — Ukłonił się naczelnikowi do samej ziemi, wciągając mocno przez zęby powietrze, i wycofał się tyłem z pokoju.

Żrebiec jeszcze gadał, choć większość braci już się rozeszła.

## XXII

Młody księżyc wysunął swój blady sierp spoza zębatej linii dachów Jeddo i przepoił srebrem ametystowy mrok, wypełniający puste ulice.

Gompaci z Sei-bei szli szybko, kierując się ku Josziwarze. Sei-bei sprzedał starą swą szablę, mieli więc trochę pieniędzy i doskonale humory. Biegli, podskakując, podśpiewując, podniecając się wzajem do pośpiechu, gdyż dzięki długim targom z handlarzami broni spóźnili się bardzo. Na domiar Gompaci nastawał, żeby znowu okrążyli zaułkami miejsce wczorajszego napadu na ulicy Pięćdziesięciu Herbaciarni.

— Głos mi wewnątrz mówi, że tak będzie lepiej! Na starej drodze mogliby nas znowu zaczepić — zauważył Gompaci.

— Ale bardzo się spóźnimy i może Ulatujący Obłok już kto inny zabrał — bąknął markotnie Sei-bei.

— Ee! Co to to nie! Cha, cha! Nie damy się! — roześmiał się Gompaci.

— Ba! Mając twoją Muramasa można drwić z samych demonów. Gdyby to i moja okazała się równie dobra! Niektórzy mówią, że znakomita, ale inni się śmieją. Mówią, że szable do pierwszej bitwy wszystkie są jednokowe jak dziewczyny przed małżeństwem! — wdychał Sei-bei.

— Chcesz, zaraz ją spróbujemy! — odrzekł wesoło Gompaci.

— Jak?

— Ano widzisz tutaj tych — odpowiedział samuraj, wskazując głową na liczne ciemne postacie, to siedzące, to leżące na brzegu kanału Josziwary, dokąd właśnie zbliżali się.

— Co ty mówisz, co ty mówisz?! Co oni winni?

— Wszyscy oni jednacy. Nie żałuj ich! Wszyscy oni w zмовie. Widzisz tego tam, co leży na desce? Głowę podparł i patrzy na światła Josziwary. Na pewno kogoś szpieguje. Dawaj szablę! — wybuchnął Gompaci.

Nim Sei-bei zdążył się sprzeciwić, wyrwał mu szablę i podskoczył do obdartusa, leżącego z oczami utkwionymi w wejście Doliny Rozkoszy.

— Co tu robisz?! — krzyknął, zamachując się na nieznajomego.

Ten podniósł głowę, a widząc wzniesione nad sobą żelazo, wzniosł rękę dla obrony; jednocześnie zerwał się, uskoczył w bok i obnażył własny miecz.

— Daj pokój! On kulawy... Nie widzisz? Żebrak jakiś nieszczęsny! — wstrzymywał przyjaciela Sei-bei.

— Właśnie kulawy! Taki już raz na mnie napadł! — krzyknął, nacierając. Gompaci.

Po pierwszych jednak złożeniach poczuł samuraj, że ma do czynienia też z graczem nie lada i żałował, że nie własną, a nie znaną broń ma w rękę, nacierał mimo to dalej zuchwale, podniecony okrzykami biegnących ze wszech stron widzów. Przeciwnik wciąż ustępował, nagle udał, że jest ranny i przypadł na lewe kolano, kiedy jednak podniecony Gompaci rzucił się gwałtownie naprzód, nieznajomy błyskawicznym ruchem dotknął go w czoło końcem miecza. Gompaci natychmiast odskoczył, ale pośliznął się na wilgotnej ziemi i zostałby pewnie szpetnie przez przeciwnika pościęty, gdyby Sei-bei nie pośpieszył mu z pomocą. Ale Sei-bei miał do walki tylko pochwę, więc przeciwnik ze śmiechem mu ją z ręki wytrącił, uderzył młodzieńca płazem w policzek i zniknął, kulejąc, w ciemnościach.

— Macie, czegocście chcieli! Nie zaczepiajcie ludzi spokojnych! — krzyknął im z oddala.

— Uciekajmy! Policja! — szepnął Gompaci, obcierając rękawem krew zalewającą mu oczy.

Istotnie z bramy Josziwary wybiegli zbrojni miejscy pacholki i sunęli ku nim. Zebrani widzowie natychmiast rozbryznięli się we wszystkie strony. Gompaci i Sei-bei nie pozostali w tyle za nimi.

O pójściu do Josziwary, rozumie się, mowy nie było. Wrócili do domu i naprędce opatrzywszy rany, położyli się spać.

Nazajutrz Gompaci powiedział, że jest chory, i pozostał w pościeli z koldrą naciągniętą na głowę, a Sei-bei, choć się podniósł, lecz zaraz na powrót położył, gdyż o pójściu do szkoły nie mogło być mowy. Gęba mu przez noc srodze spuchła, poczerwieniała i w jednym miejscu okazała się nawet nadcięta.

Trudno było przekonać śmiejących się braci, iż to od... upadku.

Token Gombei ostro na niego zasiadał wobec zebranych:

— Nie łzyj! Zaraz wszystko opowiedz, jak było!

— Pobiliśmy się... — wybąkał wreszcie młodzieniec.

— Między sobą? Słuchana rzecz! Cóż to, nie macie Sądu Braci?

— Ależ nie! Pobiliśmy się z włóczęgami.

— Z włóczęgami? To coś nowego! I to oni tak was obu urządzili?

— Dużo ich było? — pytali bracia gwarnie.

— Trzeba będzie poskarżyć się związkowi. Cóż to, nie znają naszych ludzi? Napadać gromadą!

— Ależ nie. Właściwie włóczęga był jeden... — wstawił nieśmiało Sei-bei.

— Jeden napadł na was dwóch?! Cóż to za śmiałek?

— Tak ni z tego, ni z owego: pobił ciebie i pocałował Gompaci?

— Prosty włóczęga ranił Gompaci? To niepodobna!

— Kłamie! — wołali bracia.

Ale Sei-bei nagle się zaciął i nie chciał dawać więcej wyjaśnień, tak że Token Gombei poszedł i zameldował o wypadku ojcu.

Czobei bardzo się rozgniewał i kazał młodzieńca natychmiast przyprawić do siebie:

— Gadaj zaraz, jak było! Inaczej chwili dłużej nie zostaniesz w Otokodate! Dość mam tego!

Sei-bei utkwiał przerażone oczy w surowej twarzy ojca.

— Szliśmy do Josziwary... — zaczął drżącym głosem.

— Znowu? — mruknął Czobei.

— Tam niedaleko bramy na desce leżał włóczęga. Gompaci chciał spróbować mojej szabli i rzucił się nań. Lecz to nie był włóczęga, ale sam demon, bo, choć kulawy, poranił Gompaci i mnie uderzył. Potem uciekł i myśmy też uciekli, bo nadchodziła policja i było nam wstyd!

— Policja? Tego brakowało! Poznali na pewno, żeście Otokodate, bo przecież wciąż się tam włóczycie! Ładna sprawa! Będą o nas mówić niedługo jak o rozbójnikach! Zamiast być obrońcami pokrzywdzonych, jak to przysięgaliście, sami napadacie na spokojnych ludzi.

— To był włóczęga! Gompaci nienawidzi włóczęgów. Niedawno... — Sei-bei chciał opowiedzieć o świeżym na nich napadzie, ale przypomniał sobie o kiesie srebra, zabranej przez Gompaci, i w porę ugryzł się w język.

Ojciec Czobei patrzył na zmieszanego młodzieńca chmurnie i podejrzliwie. Token Gombei kręcił nagannie głową.

— I na domiar to nie był wcale włóczęga! — ciągnął surowo ojciec Otokodate. — Prosty włóczęga i to jeszcze kulawy nie usiekłby nigdy Gompaci. To był jakiś znakomity rycerz i wy obaj musicie dziś jeszcze go odszukać i przeprosić!

— Jakże go odszukamy, kiedy uciekł tak szybko jak widmo! — westchnął żałośnie Sei-bei.

— Odszukacie i przeprosicie! Pod tym tylko warunkiem pozostawią was w Stowarzyszeniu! Token Gombei i Żrebiec będą wam towarzyszyli — zakończył surowo naczelnik.

Dał znak Sei-bei, że ma odejść. Token pozostał z ojcem chwilę dłużej.

Wyrok wielkie zrobił na braciach wrażenie. Uważali go za sprawiedliwy, choć niewykonalny, i zawczasu żalowali nieszczęśliwych wypędków.

Sei-bei poniósł żalostną wieść Gompaci, ale ten przyjął ją dość obojętnie.

— Co ja będę robił, jeżeli mnie stąd wypędzą? Jestem zupełny sierota, nie mam nikogo. Gdzie się podzięję?! Chyba zostanę włóczęgą jak ci i ty mnie jeszcze kiedy zabijesz! — biadał z gorzkim uśmiechem Sei-bei.

— Po co zaraz masz zostawać włóczęgą? Przecież będzie nas dwóch, damy sobie jakoś radę.

— To prawda: będzie nas dwóch! — ucieszył się znowu Sei-bei. — Jednak lepiej byłoby go znaleźć!

— Znajdziemy go, jeżeli tak ci już o to chodzi! Nie mam ochoty tam go bardzo przeproszać, bo przecież on mnie usiekł, a nie ja jego. Lecz jeżeli tego chcesz koniecznie, to go znajdziemy. Świat nie jest taki duży i ludzie się wciąż na nim spotykają. Pójdziemy przede wszystkim na to



samo miejsce, gdzie go wczoraj znaleźliśmy. Jeżeli on kogoś śledzi, to tam gdzieś w pobliżu znowu będzie.

— Doskonale, doskonale! Zaraz pobiegnę i powiem Tokenowi.

— Idź! Kto dziś w szkole?

— Nikogo nie ma. Szkoła zamknięta!

— Szkoda. Pójdę i położę się w szkole. Przyjdź tam do mnie!

— *So-da!* Racja! Może przyjdzie list?! Idź, przybiegnę niedługo i obiad przyniosę. Nie masz pewnie ochoty pokazywać swego czoła?

— Już się goi! Ostry był miecz!

Wieczorem udali się wszyscy czterej pod dowództwem Tokena Gombei na Ulicę Pięćdziesięciu Herbaciarni. Kiedy znaleźli się na brzegu fosy, od razu spostrzegli, że włóczęga leży na miejscu wskazanym przez Sei-bei i tak samo podparłszy głowę na rękę, patrzy na wejście Josziwary spod głęboko na oczy nasuniętego trzcinowego kapelusza. Braci zdumiała odwaga tego człowieka, który najmniejszym ruchem nie zdradzał niepokoju, a musiał przecie poznać zbliżającego się Gompaci z bandażem na głowie, w towarzystwie czterech uzbrojonych towarzyszy. Dopiero kiedy Token oddzielił się od braci, podszedł i zagadał, nieznajomy podniósł głowę. Dostrzegli wtedy w łunie światła bijących z Josziwary twarz wychudłą, szerniałą, ale piękną i szlachetną, rozświetloną wielkimi czarnymi oczyma.

— Szlachetny panie, jestem Token Gombei, do usług, zastępca znakomitego Czobei z Bandzuin, ojca Otokodate. On to właśnie wysłał mnie tutaj, abym, odszukawszy pana, wyraził mu głęboki żal w imieniu całego związku Otokodate, że dwóch młodocianych jego członków napadło pono na pana poprzedniej nocy i obraziło go. Sami oni są tu obecni, i proszę uniżenie, abys przebaczył im ze względu na ich młodość i brak życiowego wyrobienia, za ich zbyt gorącą popędliwość, naganną u ludzi noszących oręż. Szczęśliwie stało się, że nawet Haru, nasz najlepszy fechtmistrz, który napadł na ciebie, został pobity i musiał uciekać. Stąd wnioskujemy, że musisz być znakomitym rycerzem, którego jedynie nieszczęśliwe okoliczności doprowadziły do kalectwa i stanu nieodpowiedniego twej dostojności. Jakkolwiek jesteśmy skromnymi żołnierzami, zaledwie zdolnymi ci towarzyszyć, prosimy jednak uniżenie, abys zgodził się przyjąć naszą gościńnię, udał się z nami i powiedział ojcu i braciom naszym, co uznasz za stosowne ze swych doświadczeń, oraz wysłuchał naszego zbiorowego prośnienia!

Długo i pięknie mówił Token, a klęczący z tyłu poza nim towarzysze wielokrotnie kłaniali się oberwańcowi do samej ziemi. Ten również ukląkł, skoro tylko zrozumiał, o co chodzi, i grzecznie w czasie przemówienia wciągał powietrze przez zęby.

— Zaszło małe nieporozumienie, jakie często się zdarza w ciemnościach nocy! Czy warto robić sobie tak wiele kłopotu z powodu takiej drobnostki? — odrzekł wreszcie dworsko.

— Nie odmówisz jednak, dobry panie, spożycia z nami skromnego posiłku! — nastawał Token.

Klęcząc za nim Gompaci i Sei-bei znowu uderzyli czołem i nawet Żrebiec pochylił cokolwiek swoje wielkie cielsko.

Nieznajomy chwilę wahał się, obrzucił ich uważnym spojrzeniem i namyślił, zanim odpowiedział.

— Owszem, dziękuję uprzejmie za serdeczne zaproszenie! Pójdę z wami. Imię moje Takagi Umanosuke, rodem jestem z Jamato!

Pokłonili się sobie i wstali w taki sposób, że zaproszony podniósł się trochę wcześniej, po czym wesołą gromadą ruszyli w kierunku Otokodate. Sei-bei obejrzał się żałośnie na kolorowe ognie Josziwary, pełne już ruchu i szumu. Gompaci nawet nie oglądał się, szedł ehmurny i zamyślony za Tokenem i Żrebcem, którzy uroczyście kroczyli po bokach Umanosuke.

Wszyscy bracia zebrali się, aby podziwiać znakomitego szermierza, który poranił samego Gompaci. Ojciec Czobei kazał natychmiast przygotować dlań gorącą kąpiel, zastawić sutą wieczerzę. Dużo jedli, ale jeszcze więcej pili gorącej *sake*. Gość jednak poczynił sobie bardzo wstrzemięźliwie zarówno z jadłem, jak z napojem. Był bardzo grzeczny, ale miał się cały czas na baczności. Dopiero kiedy się wszystkim dobrze przyjrzał, a sam należycie ogrzał i pokrzepił, zaczął opowiadać:

— Wielce zacny i czcigodny ojciec z Bandzuin! Słynie daleko twa dobroć, twa sprawiedliwość i męstwo, lecz zaiste, widzę, że słynie za mało. Serdeczność twoja i tkliwość ośmielają mnie do opowiedzenia tobie i szlachetnym twym braciom historii złych losów, jakie mnie spotkały. Jestem synem dworzanina dajmia Hondo Danajaki, samuraja, Umanojo, tego samego, którego zabił niejaki Sanza.

— Sanza?! A jakże! Znamy go! — wykrzyknęli wszyscy wokół.

— Pewnie, że go znacie, gdyż został zabity niedaleko stąd u wrót Josziwary przez zdrajcę Banzajemona, który należał do waszej Otokodate!

— Tak, tak! Przysięgliśmy mu zemstę!

— Ale on uciekł! — krzyknęli naraz Gompaci i Sei-bei.

— To ci dopiero historia! Sanza! Sanza! Przenajświętszy Sanza! — ryknął Żrebiec.

— Ciszej! Pozwólcie szanownemu gościowi mówić! — uspokoił ich ojciec Czobei.

— Wiem, gdyż czytałem list czcigodnego pana Tokena Gombei do żony Sanza, i dlatego właśnie od razu powziąłem ufność usłyszawszy jego nazwisko. Nie rozumiałem tylko, po co przyszedł w towarzystwie aż czterech zbrojnych ludzi. Wczoraj było dwóch! Cha, cha!

— Cha, cha! — roześmieli się obecni. — Mała omyłka!

— Cóż więc było w tej ciekawej historii! Jakże pan się znalazł? Gdzie Kosanza, syn Sanza? — nawiązał znowu grzecznie ojciec Czobei.

— Gdy tylko żona Sanza dowiedziała się z listu panów o straszliwych okolicznościach śmierci męża, oznajmiła to synowi i oboje pograżyli się w głębokiej rozpacz. Kosanza miał już lat czternaście i był dzielnym chłopcem. Od razu powiedział matce: „Zbierz siły, matko, i pociesz się, gdyż natychmiast idę do Jeddo, odszukam tego mordercę Banzajemona

i jestem pewny, że pomszczę śmierć ojca. Teraz więc przygotuj wszystko, co potrzebne do mej podróży!” Tak rozmawiali, kiedym przyszedł. Bardzo się mieszała na mój widok, gdyż, jak wiecie, Sanza dał mi ich, odchodząc, w zastaw, dla pewności, że wróci po moją zemstę. Uspokoilem, że przychodzę nie we wrogich zamiarach, że chociaż Sanza zabił mego ojca, ale uważam, że ani jego wdowa, ani sierota nie byli temu winni, stąd nie zachowałem do nich złego uczucia. Przeciwnie — rozumiem, że Banzajemon jest odąd naszym wspólnym wrogiem. On to przez swój diabelski czyn wywołał całą posępną gmatwaninę, której ofiarą padł mój ojciec, a teraz znowu przez morderstwo Sanza pozbawił mnie nadziei zadośćuczynienia jego nie pomszczonej pamięci. W końcu oświadczyłem Kosanza mniej więcej: „Czcigodny panie Kosanza, słyszałem o podstępnych okrucieństwie, z jakim Banzajemon zamordował również pańskiego ojca. Wiem, że pan będzie się mścił za jego śmierć, jak należy synowi żołnierza, i jeżelibyś zgodził się przyjąć moje pokorne usługi, to zostanę drugim tobą i będę starał się pomóc ci ze wszystkich sił. Banzajemon zostanie moim wrogiem, jak jest już twoim!” „Nie, panie Umanosuke! — odpowiedział Kosanza. — Chociaż z całego serca dziękuję ci, ale przyjąć nie mogę z waszych rąk tej łaski. Mój ojciec Sanza zabił waszego szlachetnego ojca; że pan zrzeka się odwetu za to nieszczęście, jest to już więcej niż dobroć. Nie mogę bez bólu myśleć, że chce pan narażać swe życie, aby mi dopomóc!” „Wysłuchaj mnie pan! — odpowiedziałem mu — a zrozumiesz bez zdziwienia, dlaczego muszę ofiarować ci pomoc. Przeszłego roku, gdy okrwawione ciało mego ojca leżało jeszcze na brzegu morza, ojciec pański zawarł ze mną układ, że wróci, aby dać mi sposobność do odwetu, skoro tylko odzyska skradzioną szablę swego dajmiosa. Banzajemon przez morderstwo u wejścia do Josziwary pańskiego ojca ukraść mi moją zemstę. Czyż nie on jedynie może mi zapłacić obecnie za śmierć mego rodzica? Czy nie jego nikczemność spowodowała wszystko?”

— O, tak! — zgodzili się chórem słuchacze.

— „A więc postanowiłem iść z wami, panie Kosanza, do Jeddo i nie wcześniej wrócimy obaj do naszej ziemi, aż zabójstwo obu naszych ojców będzie całkowicie ukarane”. — Kosanza, jak widzicie, musiał się zgodzić. Wdowa łzami wdzięczności oblała mi nogi, tymczasem ja spełniłem tylko swój obowiązek. Zawarliśmy przyjaźń, zobowiązaliśmy się wspierać w każdym wypadku jeden drugiego i udaliśmy się w drogę na poszukiwanie zdrajcy Banzajemona. Dużo mieliśmy przygód, zanim dotarliśmy do Jeddo. Zatrzymywaliśmy się w tanich oberżach, aby robić poszukiwania. Ale choć szukaliśmy daleko i szeroko, nie trafiliśmy na najmniejszy ślad naszego wroga. Po trzech miesiącach Kosanza zaczął upadać na duchu. Starałem się wytłumaczyć mu, że nasze początkowe niepowodzenia były do przewidzenia, że nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich środków. Lecz okazało się, że słabość Kosanza miała poważne źródło. Zachorował na zapalenie oczu od brudów naszego ubóstwa. Cierpiał bardzo, lecz nie chciał się leczyć. Za resztę pieniędzy sprowadziłem wreszcie potajemnie lekarza. Było za późno:

powiedział mi, że Kosanza na całe życie zostanie już ślepy jak kamień. Byliśmy w wielkim mieście, bez przyjaciół, bez środków, a jeden ślepy! Co mogłem zrobić? Ból mnie i litość przejmowały niezmiernie, lecz zaprowadziłem Kosanza do Asakusa i posadziłem przy drodze, aby żebrał, a sam włączyłem się tam i sam, wyprasząc coś niecoś od litościwych, wzruszonych mym nędznym widokiem. Na chwilę jednak nie traciłem z oczu celu naszej wyprawy. Dzięki temu, że byłem żebrakiem, że się zapisałem do ich stowarzyszenia, miałem możliwość poznać życie włóczęgów, ich dziwaczne wybiegi, ich wstrętne nory, kryjówki i zebrania, do których nikt poza ich zawodem nie ma dostępu. Przebiegałem wraz z nimi miasto z końca w koniec, podpierając się tęgim kosturem, a własną dobrą szablą ukrywałem starannie pod łachmanami, w oczekiwaniu, kiedy nareszcie los postawi mnie twarz w twarz z Banzajemonem.

Ale daremnie się trudziłem, nic nie wykryłem i zaczynałem już przypuszczać, że Banzajemon porzucił Jeddo. Gdyby nie Kosanza, poszedłbym szukać nikczemnika w świat. Lecz czy mogłem opuścić bezradnego ślepcę? I dobrze się stało, gdyż Banzajemon sam się znalazł... Widocznie zauważył w Asakusa ociemniałego chłopaka i poznał z rysów, że to syn Sanza. Następnie słusznie wyrozumował, że ślepiec nie mógł tu sam przychodzić, że musiał mieć kogoś, kto się o niego troszczy. Wyśledził nas, gdzie mieszkamy, i pewnego razu, kiedy wyszedłem na chwilkę, wdarł się do naszej izby. Niewidomy Kosanza, słysząc kroki, myślał pewnie, że to ja powracam, nie bronił się wcale, przeciwnie, wyszedł na spotkanie i nawet ręce do niego wyciągnął. Tak mi Kosanza opowiedział przed śmiercią.

Banzajemon krzyknął mu swoje nazwisko i przebił bezlitośnie. Kiedy się to działo, już wracałem, gdyż tknęło mię w drodze przeczcucie. Dostrzegłem wyskakującego za drzwiami człowieka z obnażoną szablą. Rzuciłem się za nim. Uciekając tchórz machał szablą za plecami, czego w ciemnościach nie spostrzegłem i ranil mię w udo... Upadłem, a on uciekł... Podniosłem się i spróbowałem iść za złoczyńcą po gorących śladach, lecz upływ krwi osłabił mię... Wróciłem do domu i znalazłem pławiącego się we krwi, umierającego Kosanza. Kosanza rychło skończył. Powiadomiłem o wypadku Bractwo Żebraków, do którego zapisany był Kosanza, i oni pochowali go, bo ja nie miałem za co, nie miałem nawet na leczenie mej rany, tak że zostałem kulawy. Nie przestałem jednak szukać. Ponieważ chodzić nie mogę, leżę więc przed Josziwarą, gdyż pewny jestem, że wcześniej czy później on tam przyjdzie!

Ronin odetchnął głęboko i napił się *sake*. Słuchacze siedzieli bez ruchu w głębokim milczeniu.

— Istotnie dziwna historia! — rzekł wreszcie ojciec Czobei. — Ten Banzajemon, zanim poznaliśmy jego czarne serce, należał istotnie do naszego bractwa i korzystał z naszej opieki... Dlatego uważamy za nasz obowiązek ofiarować ci naszą pomoc, łaskawy panie... Prosimy cię, żebyś został u nas, dopóki zdrowie twoje nie poprawi się i nie odszukasz nikczemnika, który słusznie musi ponieść karę za swoje zbrodnie!

— O, tak, prosimy cię, łaskawy panie! — powtórzyli zgodnie bracia, kłaniając się i wciągając z szumem powietrze.

Było już późno, część zebranych rozeszła się do swoich mieszkań, ci, co mieszkali w „bratniackim” domu, wyjęli z szaf pościel i gotowali się do spoczynku. Token zabrał do swego pokoju Umanosuke, jak to mu polecił ojciec Czobei.

— Wspaniały ten Umanosuke, wspaniały... Biedny Kosanza! Doprawdy, warto żyć tylko dla zemsty! — szeptał Sei-bei do Gompaci rozścielając cienki materac.

— Wolę żyć dla miłości i sławy... — odszepnął ten. — I ty niedawno mówiłeś co innego!

— Tak, mówiłem. Ale mam tego już dosyć! Nie pójdę więcej do Josziwary. Zresztą nie pójdziesz i ty, gdyż słyszałem, że ojciec nakazał od jutra rana wysłać do dnia wszystkich młodych ludzi na poszukiwanie Banzajemona.

— A szkoła?

— Szkoła zostanie zamknięta do czasu.

— Taak?!

— A tak! Już śpię, przyjacielu!

Ale Gompaci długo nie spał, kaszłał, palił fajeczkę i przewracał się z boku na bok pod swoją kołdrą grubą i twardą jak wicko trumny.

### XXIII

Całe miasto zostało podzielone na równe okręgi i do każdego wysłano po dwóch braci, którzy przebrani w odpowiednie ubrania, bez znaków Otokodate, mieli zlustrować ulicę za ulicą, dom za domem aż do skutku. Bracia mieli chodzić nie razem, ale niedaleko jeden drugiego, aby się mogli w razie potrzeby wspomagać.

Do Umanosuke tymczasem wezwano dobrego chirurga, który mu zaniedbaną ranę oczyścił, opatrzył, zalał balsamem, zakleił maściami.

— Będzie zdrow, ale kilka dni musi pozostać bez ruchu! — powiedział ojcu Czobei.

Ojciec Czobei zatrzymał więc w domu Umanosuke, choć ten rwał się do poszukiwania z innymi.

Gompaci, jako samurajowi, wyznaczono odległą, pańską dzielnicę Aka-saka. Token chciał mu dodać do pomocy Sei-bei, lecz ojciec Czobei postanowił rozdzielić młodzieńców i wysłał z Gompaci Żrebca.

Wieczorem dopiero wrócili znużeni i głodni. Gompaci zastał list, który otworzył z drzeniem serca.

„Kochany... Już drugi dzień nie mam wieści od ciebie. Niepokój pożera mię, gdyż słyszałam, że onegdaj przed bramą Josziwary miał miejsce napad. Mówiono, że byli tam ludzie z Otokodate. Możesz wręczyć oddawcy karteczkę... Oplacony... Twoja wiecznie w tym i przyszłym życiu Komurazaki.”

— Kto to przyniósł?

Nikt nie wiedział, kto przyniósł ani kiedy.

— Słuchaj, pożycz mi pieniędzy! — zwrócił się Gompaci do Sei-bei, wzięwszy go na stronę.

— Więc idziesz?

— Idę. A ty nie pójdziesz?

— W takiej chwili?

— Cóż takiego?

— Doprawdy nie wiem, czy powinienem ci dać pieniądze, właśnie ze względu na naszą przyjaźń.

— Proszę o pożyczkę.



— Dobrze. Dam ci, ale niedużo i musisz niedługo oddać, bo chcę sobie kupić ubranie.

— Ile dasz?

— Trzy, cztery rijos.

— Cztery rijos?! Możesz sobie je schować! Co ja z nimi pocznę? Bywaj zdrów! — syknął Gompaci, oddalając się szybko.

— Poczekaj, poczekaj! Ile ci trzeba?! Co za gorączka! — krzyknął Sei-bei biegnąc za przyjacielem.

Samuraj nie zatrzymał się, nie obejrzał i zniknął wkrótce w zmroku ulicznym.

On jeden nie zdał sprawy tego wieczoru ze swych poszukiwań, które zresztą nie powiodły się na ogół.

Do domu Trzech Morskich Brzegów przybył Gompaci późno. *Zegen*, przyjmując od niego broń, spojrzął podejrzliwie na obandażowane jego czoło, na twarz wzburzoną, posępnie błyskające oczy; nie śmiał jednak pytać. Za to dziewczynki zasypały go wymówkami.

— Purpurowa Jaskółka nie je, nie pije i nie śpi!

— Myśmy nawet wróżyły w łaźience, czy przyjdiesz...

— Ja pierwsza zobaczyłam twoją twarz w wodzie...

— A ja zobaczyłam, że jesteś smutny, co ucieszyło nas wszystkich, bo... gdybyś się tam śmiał, tobyś nie przyszedł...

— Purpurowa Jaskółka bardzo na nas krzyczała, żeśmy upuściły płonący papier do wody...

— Bo to właśnie wypaliło ci ten znak na czole. A co, jak się wszystko sprawdza! — świegotały, wiodąc po schodach.

Gdy stanął w progu, wydało mu się, że słodka, wierna dusza Komurazaki wychodzi z szeroko otwartych oczu dziewczyny i pada mu do nóg. Ruchem powolnym składała i rozkładała wachlarz. Ukłękł natychmiast obok, a ona długo nie mówiła nic i błędziła jedynie spojrzeniem po miłych rysach, po spuścistych ramionach, po pomiętej i zbrukananej cokolwiek odzieży, po całej ukochanej postaci, powtarzając ten sam ruch wachlarza.

— Co to jest? — spytała wreszcie wskazując na czoło.

— Rana.

— Od szabli?

— Od szabli.

Opowiedział wszystko, co zaszło, szczegółowo i prawdziwie.

— Więc Umanosuke mieszka u was?

— Do chwili, aż znajdziemy Banzajemona.

— Ten Banzajemon to okropny. Ty go znasz?

— Tak. on prowadził przede mną szkołę fechtunku.

— Dlaczego szkołę fechtunku zamknięto?

— Nie wiem.

— Strzeż się ty tego Banzajemona... strzeż się! Co się ze mną stanie, jeżeli ciebie nie będzie? Kiedy wstaję rano, już myślę o wieczorze, a kiedy wieczór przychodzi, umieram z każdą chwilą, kiedy ciebie nie ma! Co

będzie, jeżeli znikniesz? Żaden ból nie dorówna lękowi przed tym cierpieniem! O, po coś mię tak oczarował, ukochany? Ale bądź błogosławion przez tysiąc wieków, żeś mię tak oczarował... — szeptała podnosząc łokieć lewej ręki i zasłaniając wstydliwie twarz zwieszającym się końcem rękawa.

Słuchał i powoli wygładzały się zmarszczki oraz bruzdy na jego twarzy i beztraska młodość świecić poczyniała jak dawniej z wnętrza jego postaci.

— Nie zniknę! — mówił z mocą. — Zbyt mocno wiążesz mię z życiem! Dlaczego jednak ptaki i cykady mogą śpiewać, ile pragną, a my nie możemy się kochać bez przeszkód?

— Bo wtedy dusza nie chciałaby istnieć już więcej i życie spłonęłoby w jednym uścisku.

— Niechby spłonęło! Mam ochotę nieraz szarpać swoje i twoje ciało, gdyż wydaje mi się przegrodą, nie dającą złąć się z tobą w jedno!

— Tak, kochany... Chcę, abyś ogarnął mnie, pochłonał, jak fala morza pochłania zielone porosty, jak blask słońca przenika kryształ powietrza...

— Nie mów tak, gdyż może niewart jestem ciebie, i ciężki mój los i ciebie z czasem pogąrzy.

Oderwała się od niego i spojrzała mu w oczy.

— Co to znaczy, kochany? Niewart jesteś? Tyś dla mnie jest jeden jedyny!

— Gdybym... gdybym... jednak uczynił coś takiego, że wszyscy odwróciły się ode mnie, czy kochałabyś mnie tak samo?

— Poszłabym za tobą po drodze *Mejdo* \*, jak idzie za człowiekiem wierny jego cień w dzień słoneczny! Nieraz myślę, że Jakuzi-san \* po to jedynie cię stworzył, aby obudzić i nasycić we mnie po tysiącokroć błogosławioną tęsknotę tysiąca żyć! Pragnę cię wciąż, ciebie jedynie, jak wyschłe usta pragną wody. I czuję, że pragnąć cię tak będę do końca już dni moich i poza grobem przez miliony wcieleń. Ach, czy spotkamy się jeszcze kiedy w oceanie bytu?

Tak szeptali do siebie noc całą, spleceni w gorącym uścisku, oboje piękni jak bogowie.

Na pierwszym piętrze rozlegały się śpiewy i tańce, szumiały rozrzucone w tańcu jedwabie, dźwięczały samiuseny i kastaniety, i śmiech nabrzmiały weselem i rozkoszą przelewał się srebrną falą między ścianami. Ale na górze było wciąż cicho. Całą noc gniewna *jarite* wchodziła na palcach na schody i wysunąwszy głowę zza poręczy patrzyła na pusty korytarz, szepcząc ze złości:

— Jeszcze nie wyszedł! Wciąż śpią! A już drugi raz nic nie zapłacił!

*Mejdo* — droga śmierci.

*Jakuzi-san* — lekarz i opiekun dusz.



## XXIV

Poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Przejrzano wszystkie kąty Jeddo i nie natrafiono na najmniejszy ślad Banzajemona.

— Na pewno opuścił stolicę! — zgodzili się jednogłośnie bracia.

Jeden Umanosuke był innego zdania.

— Co on tam będzie robił na prowincji? Z czego będzie żył? Wszyscy awanturnicy z całej Japonii zbiegają się tutaj, a on by miał stąd się wynieść? Tutaj on ginie wśród podobnych do siebie, jak kropla deszczu ginie w morzu wody. W małej mieścinie prowincjonalnej lub na szerokiej drodze publicznej o wiele łatwiej się spotkać z kimś, kto cię zna. W dodatku on jednego przeciwnika już zabił, najważniejszego, a drugiego ranił. On się mnie po prostu już nie boi, bo nie wie, jaki miałbym powód go ścigać. Więc po co miałby rzucać wesołe życie stolicy?

Ojciec Czobei życzliwie wysłuchał dowodzenia, ale poszukiwań dalej w takich rozmiarach prowadzić nie mógł: była to rzecz za kosztowna nawet dla takiego stowarzyszenia, jak Otokodate. Poleciał więc braciom w dalszym ciągu przy okazji tropić Banzajemona, gdziekolwiek się znajdują — teraz jednak kazał wrócić do porzuconych zajęć.

Ponieważ Umanosuke już wyzdrowiał, zaproponował mu objęcie kierownictwa szkoły fechtunku na miejsce usuniętego Gompaci.

Ten ostatni, ku zdziwieniu Sei-bei, nie wykazał z tego powodu żadnej niechęci i rozdrażnienia. Życie prowadził dziwne, spał we dnie, po nocach przepadał i odsuwał się coraz bardziej od zbiorowego życia bractwa. Pieniędzy miał dosyć.

— Gra szczęśliwie! — domyślał się Sei-bei.

— Albo też Purpurowa Jaskółka mu daje! — zarżał Żrebiec.

— W każdym razie niedobrze! — zauważył Token Gombei.

— Ty, Sei-bei, będziesz pomagał Umanosuke w szkole jak dawniej!

— Wybornie! Właśnie o to prosić chciałem.

Umanosuke był markotny. Prawda, nie cierpiał już nędzy i nie kulał wcale, ale pisał smutne listy do matki, że nie wie, kiedy wróci...

Tymczasem w sąsiednich dzielnicach zaczęły się dziać tajemnicze, straszne wypadki. Co jakiś czas znajdowano trupy ludzi okropnie pocięte, ale

bez śladu rabunku. Broń, odzież, cenne często latarnie, parasole i wachlarze, kosztowności pozostawały przy zabitych nie tknięte; nie znajdowano przy nich jedynie pieniędzy; lecz pieniądze mogli zabierać przechodnie lub nawet pacholkiwie miejscy. W każdym razie zabójstwa te nie były dziełem zawodowych rozbójników, gdyż często wśród ofiar trafiali się włóczędzy, należący przecie do zbójceckich związków. Popłoch padł na mieszkańców; rzadko kto ośmiewał się wychodzić w nocy z domu, nawet dobrze uzbrojony, nawet w towarzystwie. Zbrodniczy potwór nie zważał na liczbę, napadał niespodzianie na dwóch i trzech ludzi, mordował ich i ścigał. Cuda opowiadano o strasznej jego sile, szybkości ruchów, błyskawiczności uderzeń, o ostrości jego niemiłosiernej szabli. Byli tacy, co twierdzili, że ukazuje się jeden, lecz w czasie walki dwoi się, troi, mnoży w oczach, zamienia na całą bandę. Ciosy istotnie były nieraz okropne, przecinały ludzi na połowę, a i broń musiała być wyborna.

— Banzajemon! Nikt inny tylko szermierz Banzajemon. On jeden zna podobne cięcia! — twierdził Token Gombei.

Umanosuke zaczął tedy nocami chodzić po zagrożonych dzielnicach, dobierając sobie do pomocy jednego z młodszych braci, zazwyczaj Sei-bei.

Sei-bei chętnie chodził na takie wyprawy, gdyż władze miejskie wyznaczyły sutą nagrodę za pojmanie żywych lub martwych zbrodniarzy, a z takim rębaczem jak Umanosuke nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Działo się jednak tak jakoś dziwnie, że napadów dokonywano wręcz w innych dzielnicach, niż te, dokąd wyprawiali się właśnie Otokodate. Markotny chodził Umanosuke, wstydził się niepowodzeń Sei-bei. Aż pewnego dnia w porze obiadowej przybiegł zdyszany Żrebiec i wszystkich wzburzył swym opowiadaniem:

— Poszedłem do świątyni Asakusa, aby kupić sobie jaki używany, ale przywoity kapciuch, gdyż stary podarł mi się na strzępy... Znalazłem, zapłaciłem, a potem poszedłem na wewnętrzny podwórzec, żeby wypić filiżankę herbaty, gdy patrzę, kuglarz w masce Dajkoku pokazuje tam sztuki szabli. Ludzie się tłoczą dookoła, podeszedłem i ja. Przyglądam się... coś znajomego. Ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie go widziałem. Wtem maska odsunęła mu się z twarzy i choć szybko ją poprawił, poznałem Banzajemona! Tak, Banzajemona! Nie widział mnie, gdyż schowałem się w tłumie i zaraz tu przybiegłem.

— Idziemy! — porwał się Umanosuke.

— Zaraz, zaraz! Powoli! Weź ze sobą ludzi. Trzeba go otoczyć, gdyż inaczej znowu się wymknie! W Asakusa ludzi zawsze jak w mrowisku! — radził ojciec Czobei.

— Dobrze! Kto więc ze mną idzie, skoro chcecie mi łaskawie pomóc? — zgodził się Umanosuke.

Chcieli iść wszyscy, ale Czobei kazał Tokenowi wziąć tylko pięciu najmłodszych, najsprawniejszych. Token wybrał: Gompaci, Sei-bei, Żreba i jeszcze dwóch tęgich rębaczy.

— Ty, Gompaci, leć naprzód! Ty go znasz. Zobacz, czy jest tam jeszcze,

i uwiadom nas niezwłocznie! Będziemy na ciebie czekali przy bramie bogów Pioruna i Wiatru — rozkazał Token.

Młodzieniec pociągnął pas i pomknął natychmiast.

— Szkoda, żeś go posłał! Lepiej było kogo innego! — mruknął ojciec Czobei.

— Kogo miałem posłać? On najzręczniejszy!

— Nie ufam mu.

— No, nie tak dalece!

Umanosuke również był niezadowolony, lecz nie wyraził tego niczym. Zaczął się niezmiernie spieszyć.

— Chodźmy już, chodźmy!

Na ulicy kazał im Token rozbić się na pary i iść osobno, żeby nie zwracać uwagi. Umanosuke z nieodstępnym Sei-bei wyprzedził wszystkich. Biegł prawie tuż, tuż za Gompaci.

Czerwona wieża świątyni strzelała wysoko w błękit ponad grzbiety dachów i zielen ogrodów okalających wzgórze Złotego Smoka. Biegli wprost ku niej, lecz wkrótce gęstniejący tłum przechodniów utrudnił im posuwanie się. Stracił z oczu Gompaci. Szmer rozmów, stuk sandałów, nawoływanie przekupniów, żalosne wycie i skomlenia gromad żebraczych, rozsiadłych pod sztachetami klasztornego ogrodzenia, zlewały się w nieprzerwane huczenie ludzkiego roju. Pośpiesznie przepychali się przez ciżbę do wyznaczonego punktu, gdzie ponad głowy tłumu wznosił się po jednej stronie sklepienia bramy purpurowy posąg boga Wiatru z miechem burz na ramieniu, a po drugiej zielony bóg Pioruna. Tu musieli się zatrzymać. Umanosuke nie spuszczał oczu z ciżby, przewalającej się niespokojnym potokiem w wylocie bramy. Niedługo przybył Token z towarzyszami, ale na Gompaci musieli dobrze poczekać. Wreszcie wynurzył się niespodziewanie gdzieś z boku i szepnął:

— Jest! Chodźcie!

— Poczekajcie! Gdzie on jest?

— Na środkowym dziedzińcu, niedaleko zaklinaczy chorób...

— Musimy się rozdzielić... otoczyć go. Ty, Umanosuke, pójdziesz za mną wprost, Gompaci i Sei-bei zajdą go od tyłu, a wy — jeden z prawa, drugi z lewa! — zwrócił się Token do towarzyszy.

Zaczęli się szybko przedzierać we wskazanym kierunku przez gromady pobożnych, wysłuchujących wyroczni, kupujących talizmany, naradzających się z czarodziejami lub po prostu pijących herbatę i zjadających słodycze, roznoszone przez służbę klasztorną.

Ludzie rozstępowali się przed braci groźnymi spojrzeniami i skupionymi twarzami.

— Jest! Widzę go! — szepnął wreszcie Token Gombei.

Umanosuke chciał się rzucić naprzód, lecz Token zatrzymał go za rękaw.

— Chwilkę! Nie dostrzegam jeszcze naszych ludzi!

— To nic! — odrzekł Umanosuke i nie słuchając już, skoczył ku kuglarzowi w masce Dajkoku, zabawiającego otaczających gapiów sztukami.

— Kupujcie, kupujcie proszek do zębów! Skuteczny, cudowny! Pomaga od samego spojrzenia! A kto nie wierzy, niech spróbuje się zmierzyć szablą z panem moim i wynalazcą czarownego środka, dającego siłę i młodość!!! — wołał nędzny chłopaczek, siedzący u nóg kuglarza z kupą różnobarwnych pudełek.

Umanosuke uderzeniem nogi rozrzucił pudełka, odepchnął chłopca.

— Nikczemny morderco i kłamco! Nastał twój dzień! Jam jest Umanosuke, syn Umanojo! Przychodzę dokonać zemsty za śmierć trzech niewinnych zgubionych przez twą zradę! Jeżeliś jest mężem, broń się! Dziś dusza twa zobaczy piekło!

Na pierwsze dźwięki tego groźnego okrzyku wszystko wokół ucichło i zamarło, tak że wyraźnie dolatały z okapów świątyni gruchania gołębi i zaszumił nad głowami zdumionych, umilkłych ludzi jedwabny lot ich skrzydeł. Kuglarz cofnął się i obejrzał za siebie — ale tam już przedzierał się Sei-bei wołając:

— Trzymajcie go, ludzie, trzymajcie! To Banzajemon, złodziej szabli, co zabił podstępnie u wrót Josziwary szlachetnego Sanza!

— Trzymajcie go! Niech zdejmie maskę! Niech odpowie na oskarżenia roninowi! — rozległy się głosy.

Banzajemon rzucił maskę i szablą próbował sobie torować drogę, lecz spostrzegłszy przed sobą Gompaci z nagim mieczem, zwrócił się ku Umanosuke.

— Zróbcie koło! Przyjmuję wyzwanie! — krzyknął do otaczających ochryplym głosem.

Widzowie zaczęli się cofać, opróżniając z wolna koliste miejsce. Nagle wszczął się nowy tumult, gdyż Gompaci zauważył wśród tłumu przebranego w szaty kupca Ketsu-ona i skoczył z szablą na niego. Banzajemon próbował skorzystać z zamieszania i umknąć, ale w tej chwili Umanosuke wymierzył mu cios śmiertelny w głowę; zręczny szermierz zastawił się błyskawicznie i rozpoczął walkę. Nie miał jednak sił, po kilku złożeniach Umanosuke przebił mu gardło końcem miecza.

Tymczasem tłum, zwabiony szczękiem oręża i okrzykami walczących, naparł z tyłu i zwarł się tak mocno, że Gompaci nie mógł się przezeń przedostać. Ketsu-on więc i tym razem umknął szczęśliwie.

Rozboje jednak nie ustały ze śmiercią Banzajemona i ojciec Czobei zwrócił się do Umanosuke z prośbą, aby wstrzymał swój wyjazd z Jeddo i pomógł Otokodate schwytać zbrodniarzy. Nieliczna i źle uzbrojona miejska policja nie ufała swym siłom i zażądała pomocy od bractwa.

— Czy kto inny może to zrobić prócz ciebie, niezrównany szermierzu? — prosił stary.

— Okazaliście mi tak wiele dobroci, że byłbym niewdzięcznikiem odmawiając tego drobiazgu! — odrzekł rycerz.

Odtąd co noc błądził z wiernym Sei-bei w ciemnych ulicach, błagając

miłosierną Kwanon o rychłe ze zbrojami spotkanie. Co noc zmieniali dzielnicę. Przewrotny Umanosuke nie mówił nikomu, dokąd pójdą, nawet swemu towarzyszowi, ale wysiłki ich długi czas były nadaremne.

Aż pewnego dżdżystego wieczoru schronili się przed nagłą ulewą pod okap małej świątyni Zizo w dzielnicy Janagiwara. Stali spokojnie, czekając, aż deszcz osłabnie, i nawet nie rozmawiali ze sobą, gdy zamajaczyła nagle przed nimi postać zbrojnego człowieka. Skradał się ostrożnie i nagle znikł za węglem domu.

— Gompaci! — szepnął cichutko Sei-bei, ściskając za ramię towarzysza.

— Pewnie też poluje na rabusiów! — odszepnął Umanosuke.

Już chcieli wyjść z ukrycia, aby się połączyć z Gompaci, gdy dostrzegli w oddali czerwony ogień latarki kołyszącej się nisko nad ziemią. Ktoś zbliżał się podśpiewując z cicha i klapiąc głośno sandałami po płynącej ulicy wodzie. Gdy zbliżył się, dostrzegli, że trzyma nad głową otwarty parasol, na grzbiecie ma worek podróżny, a przy boku oręż. W tej chwili Gompaci rzucił się na niego z zasadzki jak kot. Podróżny zastawił się parasolem i, odskoczywszy w bok, wy dobył szablę — zawrzała krótka zaciełka walka, ale zanim opanowani zdumieniem Umanosuke i Sei-bei dobiegli do miejsca boju, już nieznajomy leżał rozciągnięty na ziemi, a Gompaci wyjmował z worka ciężko naładowany trzos. Nie zdążyli mu słowa powiedzieć, gdy zaatakował ich z wściekłością tygrysa.

— Gompaci, Gompaci! Co robisz?! — krzyknął przeraźliwym głosem Sei-bei.

Gompaci wstrzymał ruch szabli na mgnienie oka i Umanosuke ranil go mimo woli w czoło jak za pierwszym razem, po czym odskoczył w tył w obronnej pozycji.

— Czy to istotnie ty, Gompaci? Nie może być?! Co za wstrętna omyłka! — wołali.

Nikt nie odpowiedział; napastnik już znikł. Wrócili do domu niezmiernie zmieszani przygodą i opowiedzieli ją na osobności ojcu Czobei.

— A gdzie Gompaci?

— Nie ma go; nie bywa zwykle nocami!

— Milczcie! Przekonamy się: może to nie on? Może wam się przywidziało? Co za nieszczęście! Co pomyślą o nas! Nie uwierzą, że nie wiedzieliśmy... Co za gratka dla Dżurozajemona, Sikibu, Szirogora i całej ich szajki... Oskarżą nas na pewno przed Szio-gunem, że ukrywaliśmy go umyślnie, że dzieliliśmy się łupem, że sami organizowaliśmy te napady! Wiesz co, Umanosuke — rzekł po pewnym namyśle — ty możesz wracać do domu, choćby jutro... Skoro wiemy, kto jest winowajcą, my już wymierzmy karę!

— Dobrze, ojczu, ja też tak myślę, że będzie lepiej, jeżeli już pójdę! — odrzekł skromnie rycerz.

— Myślę jednak, że to nie on! — dodał znowu Czobei.

— Na pewno nie on; w ciemnościach łatwo się pomylić! — zgodził się Umanosuke.

— Wiesz co, weź z sobą Sei-bei! On ci się tam przy robocie w polu przy-

da. Dam mu trochę pieniędzy, żeby ci nie był na początku ciężarem. Niech się chłopak przewietrzy! Zaraz jutro rano ruszycie pewnie w drogę...

— Możemy ruszyć jutro rano, nic mnie tu nie wiąże, prócz wdzięczności dla was, czcigodny panie, a tam matka na mnie czeka niecierpliwie od tak dawna! — odrzekł Umanosuke.

— Więc idźcie i przyślijcie mi Tokena.

Nazajutrz raniutko Umanosuke i Sei-bei wyszli z Jeddo szczerze zaopatrzeni na drogę i skierowali się do Yomato.

Gompaci nie pokazał się ani tego dnia, ani dni następnych, a kiedy przyszedł nareszcie, miał jeszcze duży plaster na czole.

Czobei wezwał go zaraz do siebie. Od pierwszego rzutu oka na surową twarz ojca rozumiał Gompaci, że stary wie wszystko, i przygotował się do burzliwej sceny. Tymczasem Czobei wodził płomiennymi oczyma po całej postaci klęczącego przed nim ronina, po jego pięknej, pobladłej i zdrapieżniałej nagle twarzy, po zranionym czole, po zgrabnych, silnych rękach, opartych na rękojeści szabli i milczał, długo milczał...

— Co to jest? — rzucił wreszcie, wskazując oczami na czoło.

— Upadłem w ciemnościach... uderzyłem się... stara rana otwarła się... — odrzekł cicho Gompaci.

— Nie łzyj! — zagrzmiął stary.

Ronin cofnął się z lekka korpusem w tył i nakrył powiekami zukośniałe nagle oczy. Widział wybornie, że straszliwy ojciec, tak niedawno ukochany przezeń wojownik, zмага się z sobą, że długie włosy rzadkich wąsów zjeżyły mu się nad zaciśniętymi ustami, że żyłasta szyja zgrubiała i pociemniała, że nozdrza szeroko rozwarły się i drgają jak u zdartego w biegu konia. Smukłe palce młodzieńca coraz mocniej zaciskały się na szabli, powieki coraz niżej opuszczały na oczy. Cekał ciosu... Zamiast tego usłyszał niespodzianie brzęk srebra i ciche słowa:

— Oto dwie uncje srebra... Weź i... odejdz!

Gompaci chwilę pozostał bez ruchu, wreszcie otworzył pełne łez oczy:

— Ojczu! — szepnął. — Ojczu...

Upadł twarzą przed starym. Ten długą chwilę patrzył na walającą się w prochu młodą głowę, zanim powtórzył znowu już głosem ciepłym i zbolalym:

— Odejdz, odejdz! Zgubisz nas, jak zgubiłeś siebie!

Gompaci podniósł się, raz jeszcze uderzył czołem, zabrał srebro i cofnął się na kolanach poza próg komnaty.

Kończył się miesiąc Koguta \* i zbliżało się Święto Chryzantem. Pogodna jesień sprzyjała rozwojowi roślin. Lada chwila oczekiwano, że pod słodką

\* Miesiąc Koguta — Październik. Miesiące zwa się według Zodiaku Japońskiego. I — Szczur, II — Byk, III — Tygrys, IV — Zając, V — Smok, VI — Wąż, VII — Koń, VIII — Koziol, IX — Małpa, X — Kogut, XI — Pies, XII — Dzik.



pieszczotą łagodnego słońca pękłą nabrzmiałe pękowia i delikatne białe korony kwiatów rozwiną w błękitnozłotym powietrzu swe tęczowe piany.

Josziwara od wczesnego zmerchu do późnej nocy gorzała ogniami i wrzała od tłumów gości. A jednocześnie wewnątrz zakładów szły gorączkowe przygotowania do uroczystej procesji, gdyż chryzantema jest wyrazem miłości głębszej, gwałtowniejszej niż nawet miłość bladioróżowych okiści miłośniowych, niż nawet namiętność purpurowych irysów — jest symbolem miłości, która się kończy Śmiercią Zimy, śmiercią zakochanego...

W zakładzie Trzech Morskich Brzegów krzątano się również. Służebne, a nawet same *dżoro*, o ile nie były zajęte, pracowały dzień cały, odkurzając, oczyszczając maty, ściany, brązy i obrazy, przeglądając i odświeżając larnie, plotąc girlandy z kwiatów sztucznych, ze wstążek, ze złota i srebrnego papieru, z liści klonów, z sosnowych gałązek, ze słonecznej słomy ryżowej. Z głębokich szaf wyciągano najpyszniejsze *obi*\*, najdroższe stroje ze starożytnymi haftami z cudnych materii, mieniących się jak fala „w blasku miesiąca”, jak „obłok wczesnego poranka” albo „podgardle dzikiego gołębia”...

Wszyscy byli zajęci oglądaniem, przymierzaniem, poprawianiem. Ale nie towarzyszyły w tym roku tym miłym zajęciom zwykle śmiechy i śpiewy. *Jarite*, chmurna jak jej ciemne kimono, zjawiała się zaraz i tłumiała najmniejsze próby wesela gniewem i spojrzeniem.

— Nie macie się czego radować! Chowajcie swą wesołość dla gości... Będą nas wkrótce omijali jak zapowietrzzone — syczała, przesuwając się bezdźwięcznym krokiem po korytarzu.

Ale gorzej jeszcze było, gdy na tych korytarzach pojawiała się wychudła, pobladła i smutna niezmiernie Purpurowa Jaskółka. Milkły wszelkie rozmowy i upiękzone kwiatami głowy dziewcząt pochylały się nisko nad robotą, i jedynie Mały Kłopot i Złota Jaszczurka kiwały porozumiewawczo głowami z oddala swej dawnej pani, pogrążonej obecnie w niełasce.

Komurazaki rozumiała powody zachowania się towarzyszek, wiedziała, że najmniejsza oznaka życzliwości sprowadzi na nie ostrą burzę gniewu i prześladowań ze strony starej *jarite* i dlatego unikała spotkania z mieszkankami Trzech Morskich Brzegów, niegdyś słynących z wesołości. Siedziała wciąż prawie samotna w swoim pokoiku, gdyż obie paziki służebne dawno zostały jej odebrane.

— Niczego dobrego one od niej nauczyć się nie mogą... Nie jest ona już „podwójnym kwiatem kwitnącej wiśni”, a zwykłą *komize-dżoro*!\* Upiera się, niech cierpi! Każdy ma tyle, co wart! — syczała *jarite*.

Sam *zegen* bał się starej i udawał, że jest bardzo zajęty przeglądaniem książek rachunkowych, kiedy zaglądała do niego. Ale pozbyć się *jarite* nie

było łatwo, wchodziła bez ceremonii i uklękawszy naprzeciwko gospodarza otwierała szeroko sine usta z uczernionymi zębami:

— Książę Goto Sikibu-no Kami już wrócił... ale, rozumie się, że wziął sobie *ojron* z zakładu Szumiącej Rzeczutki. Nikt do Josziwary nie przychodzi przecież na pogrzeb! Z tej dziewczyny nic już nie będzie! Dusza jej zaplakana jak pora deszczowa w północnych dajmiatach! Ona zupełnie zepsuła opinię naszemu sławnemu domowi. Dawniej mówiono: dziewczęta z Trzech Morskich Brzegów wszystkie są jak świeżo rozwinięte kwiaty lotosu. Możesz brać każdą z zamkniętymi oczyma, a będziesz zadowolony. A teraz co? Purpurowa Jaskółka, pierwsza piękność Josziwary, jest *ojran* ordynarnego ronina! A kto winien? Jam winna, *zegen* winien, że do tego dopuściliśmy... Nas omijają, nas się boją... Kto wie, co takiemu zatraceniowi przyjdzie do głowy! Co dla niego znaczy zabić siebie lub kogo?! Dla tego powtarzam, że należy ją sprzedać, sprzedać jak najprędzej do jakiej odległej prowincji!

— Po co zaraz mam sprzedawać? Nikt mi tyle za nią teraz nie zapłaci, ile ona mnie kosztuje — bronił się *zegen*. — Poczekamy, może się jeszcze wszystko odmieni. Tego ronina nie ma już tydzień.

— Właśnie, nie ma go tydzień! Więc ją zmusz, żeby przyjęła gościa. Albo pozwól, to ja to już zrobię.

— Nie, jeszcze teraz nie mogę. Ona ma wymówione w kontrakcie, że może się nie zgodzić! Dotychczas on płacił...

— Co płacił? Jak płacił? Czy to tak płacą?! Dawniej tu złoto przelewało się rzeką. *Szadaje*, podarunki, kwiaty, uczyty... Wszyscy mieli. Dnia nie upływało bez jakiegoś szaleństwa, o którym mówiła cała Josziwara, ba, całe Jeddo! Wiersze, obrazy, klejnoty. Amida Budsu! Sam szioğun o nas wiedział. A teraz co?! Pustka, trąd! I końca, kresu nie widać! Sprzedaj albo zmusz...

— Zmusić nie mogę, nie opłaci się! Już ona nie będzie taką, jak była. To trudno. Stało się nieszczęście. Poczekamy jeszcze trochę. Ten, ten... Upewniał mnie, że ją wykupi. Może on zbiera pieniądze?

— A jakże! Ten nędzarz, ten żebrak! Ostatnim razem dał mi tyle, że umarły płaci więcej za przeprawę przez rzekę zapomnienia!

*Zegen* wzdychał i kręcił się:

— Jeszcze poczekamy!

— Na co? A kogo pošlemy na czele procesji za tydzień? Przecież nie ją, z tą twarzą zawodowej płaczki, z oczami podpuchniętymi i wykrzywionymi bolesnym uśmiechem ustami. A jeżeli jej nie pokażemy, a będą wiedzieli, że jest u nas, to co powiedzą?! Powiedzą, że ją dręczymy za wierność w miłości, albo gorzej jeszcze: powiedzą, że choroba zagnieździła się w naszym domu. Nie, najlepiej ją sprzedać! Mam tu nawet już takiego, co się zgłaszał i pytał o nią.

*Zegen* potarł prawą ręką lewe ramię i powtórzył niecierpliwie:

— Jeszcze poczekamy!

\* *Obi* — kolorowe pasy.

\* *Komize-dżoro* — najniższa klasa kurtyzan; *Jodiboszi*, pierwszorządne, porównywane z kwiatami wiśni.



Jarite wytrzymała do *chibaczi* popiół z fajeczki, którą paliła, i popatrzywszy uważnie na gospodarza, rzekła cicho:

— Boisz się go?

— Może się i boję!

— To zwróć się do policji! Kiedy przyjdzie i odda ci broń, wezwij straż miejską.

— Nie mam powodu.

— Powiemy, że zginęła nam cenna waza, a reszta pójdzie łatwo, jeżeli stowarzyszenie cię poprze. Pogadaj z prezesem Josziwary. Byle tylko ich rozłączyć, to albo się ona nawróci, albo ją sprzedamy. Chociaż sprzedać zawsze możemy — ciągnęła po krótkiej przerwie. — Nawet się nie dowie ten jej *rafli warigwai*\*, gdzie się podziała.

— Dobrze, już dobrze! Ale jeszcze poczekamy. Dziewczyna była kiedyś bardzo miła!

— Miła? Była? I ja kiedyś byłam miłą! Dlaczego mi nie płacisz teraz za to?! Też gadanie! Wszyscyście potracili dla niej głowy! Możeś i ty stracił głowę? Ładna rzecz! Miła... była! — krzyczała stara rozwścieczona ostatecznie.

*Zegen* wsunął głowę w ramiona i nie odzywał się przezornie.

Długo jednak szybkie, gromkie, syczące wyrazy sypały się z czarnych ust *jarite*, podobne do brudnego grochu lecącego z rozdartego worka.

Zmożona wreszcie upartym milczeniem *zegen*a udała się na górę, aby wylać należytą porcję obelg i wyrzutów na obolałą duszę Komurazaki. Ta właśnie tylko co położyła w pokoju sandały naprzeciw siebie, wyszła do ogrodu i podniósłszy ręce na wysokość piersi, wypowiedziała po trzykroć znane zaklęcie. Po czym z natężeniem wsłuchiwała się w ciszę pustki, gdzie tyle razy rozbrzmiewał słodki głos jego...

Wracała do siebie niezmiernie wzruszona i radosna, gdyż wyraźnie rozpoznała szept: „przyjdę”!

Na korytarzu spotkała ją *jarite*.

— Gdzie włóczysz się, księżniczko nasza?! — zasyczała mierząc ją wzrokiem bazyliuszka. — Wszyscy zajęci, wszyscy pracują, a Wasza Miłość spaceruje wśród kwiatów! Kiedyż się to skończy? Wiecznie inni będą pracowali na ciebie? A ty będziesz jeść, pić, ubierać się, nie poczuwając się do żadnych obowiązków...

— Wszak prosiłam o zajęcie. Chętnie wykonam każdą robotę...

— Właśnie: każdą robotę! Zgasisz u wszystkich do niej ochotę swą twarzą ciemną jak wzburzony pluchotą staw! Albo gorzej jeszcze: pokażesz krzywy twój uśmiech, pod którym ślepy nawet dojrzy twą rozpacz! Nie, nie pójdziesz do wesołych dziewcząt, dopóki głupstwa nie uleczą ci z głowy, dopóki nie zrozumiesz, że postną miną odstraszyłaś nawet swojego draba i że on już nie wróci.

Komurazaki stała z opuszczoną głową, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma.

— Wróci! — szepnęła wreszcie cichutko.

— Nie wróci! Cóż ty wczoraj się urodziła czy co?! Nie znasz mężczyzn? Ma ciebie dość! Słyszałam, że chodzi do zakładu Szumiącej Wody, gdzie jest ta słynna Pani Dziewięćkroć Rozdarta! Doprawdy, nie bądź głupia! Uśmiechnij się jak dawniej. Inaczej *zegen* przestanie wysyłać pensję twoim rodzicom, a ciebie samą będzie musiał sprzedać! Tak mi powiedział! Żal mi cię, ale nic nie mogę zrobić! — zakończyła nagle łagodnie i życzliwie, zbliżając się do dziewczyny.

Komurazaki, blada jak śmierć, zrobiła ruch, jakby próbowała prześliznąć się do swojego pokoju.

— Nie! Stój, kiedy tak! — krzyknęła znowu wiedźma, chwytając ją za rękę. — Czy ja jestem tu panią, czy ty? Każę ci stać i będziesz musiała stać, ile będę chciała! Co z tobą, diablisko, robisz? Ani karą, ani pieszczotą! Powiedz nareszcie, kiedy się skończą te twoje kaprysy?!

— Niedługo... niedługo... powiem! — odszepnęła dziewczyna, podnosząc na dręczycielkę sarnie, pełne łez, oczy.

Cisza zapanowała w całym domu, służące i *juzo* porzuciły pracę i skupione przy drzwiach przysłuchiwały się pilnie rozmowie. Jedyne Mały Kłopot pobiegła do *zegen*a i powiedziała mu z płaczem, że *jarite* bije Purpurową Jaskółkę. *Zegen* uczył się dotkniętym w swym prawie właściciela i wyszedł na schody. *Jarite* usłyszała jego kroki i sycząc z gniewu uwolniła dziewczynę.

— Co na nią zważać! Puszczę do niej gościa i będzie musiała się poddać! Są tacy, co nawet to lubią! Cha, cha!

— Cicho! — powiedział *zegen* i zwrócił się do Komurazaki. — Mogę czekać jeszcze kilka dni, ale sama rozumiesz, że muszę wiedzieć, czy weźmiesz udział w procesji, czy nie?

— W procesji zawsze mogę wziąć udział! — gorąco podchwyciła dziewczyna.

— No, nie! To ma swoje następstwa! — zauważył znacząco gospodarz i kiwnąwszy głową, wrócił do swego biura.

\* *Raflī warigwai* — sutener.

XXV

Komurazaki nie miała już pieniędzy, żeby wysłać list do ukochanego, ale koleżanki złożyły się i wynajęto tego samego ślepego masażystę, który zaniósł ongi pierwszą kartkę do Gompaci. Stary wrócił po paru dniach z niczym; powiedział, że szkoła zamknięta, a w Otokodate oznajmiono mu, że ronin dawno się już wyniósł i że nikt nie wie, gdzie się obraca.

— Może wyjechał z miasta! — przekładała łagodnie Ulatujący Obłok.

— Nie, to niepodobna! Dałby mi znać! — upierała się Komurazaki. — Zresztą jego głos wczoraj odpowiedział mi wyraźnie: przyjdę!

— Mój też tak dobrze wtedy zawiązał dwie gałązki kwitnącego powoju, a przecie...

— To co innego! On był wszystkiego raz. A my... a nas... Mam wrażenie, że znaliśmy się od stu wcieleń...

— Tak, to najważniejsze te wcielenia! — zgodziła się pobożnie Ulatujący Obłok. — O, miłosierna Kwanon, muszę już iść! Słyszę, że ta wiedźma już mnie szuka!

Uciekła i Komurazaki została znowu sama. Zresztą lubiła swoją samotność. Cała jej dusza zamieniła się teraz w słuch i drażniło ją wszystko, co utrudniało wchłanianie w siebie szmerów z ciszy. Nawet oddech swój, bicie serca wstrzymywała chwilami, kiedy przez szelesty, wypełniające wszechświat, wydało się jej, że słyszy z niezmiernej dalekości rytmiczny pogłos drogich, idących ku niej, kroków.

Daremnie!

Dnie mijały, a ukochany się nie zjawiał. Znowu wysłała list, choć wstyd jej było brać od koleżanek ubogie ich grosze. I znowu ta sama odpowiedź:

— Znikł i nikt nie wie dokąd!

— Może chory? Gdyby umarł, wszystkim byłoby wiadomo! Nie potrzebowałby się ukrywać!

Serce jej stało się jako jedna obolała rana i biło coraz słabiej. A jednak nie przestała wierzyć i nasłuchiwać i dniem, i nocą w te ostatnie darowane jej chwile. *Jarite* zataiła się, nie pokazywała się, nie odzywała; milczał *zegen*, ale Komurazaki wiedziała, że i oni liczą godziny. Miała jeszcze

jedną przykrość — zginął jej chowany we włosach sztylet. W jaki sposób zginął, nie mogła pojąć, ale zginął. Aż pewnej nocy bezsennej w porze Byka, gdy ucichła już Josziwara, gdyż goście albo opuścili ją, albo uspokoiili się w ciepłych objęciach wybranek — usłyszała nagle Komurazaki męskie kroki wstępujące ostrożnie na schody...

— Idzie! On! Lęka się pewnie obudzić mnie... Chce zrobić niespodziankę. Wstydzi się tak późnego przybycia!

Uklękła na pościeli i nocne kimono naciągnęła szybko na ramiona. Cichutko rozsunęły się drzwi i w żółtawym blasku nocnej lampy ujrzała wysuwającą się z ciemności ospowatą twarz... Ketsu-ona! Zmartwiła, gdyż była pewna, że widzi widziadło, ale on pełznął ku niej na klęczkach.

— Namu-Amida-Butsu! Skąd jesteś i czego chcesz?! — krzyknęła zrywając się.

— Uspokój się. Przychodzę jako przyjaciel! Gompaci już nie ma... zginął!

— Kłamiesz! Nie zbliżaj się, gdyż się przebiję!

— Nie przebijesz się! Pogodzisz się. Zapłaciłem za ciebie i musisz się poddać!

Już był blisko i wyciągnął rękę do jej szaty, wtedy pchnęła nogą na niego nocną latarnię, która obaliła się, zaczęła dymić i płonąć, a sama skoczyła ku balkonowi, przerzuciła błyskawicznie przez poręcz i na rękach zwiła nad ziemią. Słyszała jak Ketsu-on, klnąc brzydko, gasił ogień.

Ostrożnie, czepiając się za zeschłe jesienne sploty glicynii, opuściła się na dół.

Dokąd podzieje się, dokąd pójdzie w zimną noc w leciuchnym kimonie, bosa, z roztarganymi włosami? Straże uchwycą ją natychmiast!

Przytulona we wnęce wejścia, przysłuchiwała się gniewnym głosom *jarite* i Ketsu-ona rozbrzmiewającym na balkonie. Wyglądali na zewnątrz, wychyliwszy daleko za balustradę swe blade twarze. Wtem spostrzegła niespodziewanie światelko w biurze *zegen*. Wbiegła na schodki i zastukała cichutko.

— Kto tam?

— Ja... Purpurowa Jaskółka!

— Butsu! Co się stało?!

Otworzył drzwi i pozwolił jej wejść.

— Tam... jest... — mówiła zdyszana.

— Tak! Jest... Onegdaj upłynął termin... Nic nie mówiłaś... Twój ronin nie pokazał się. *Zegen* z prowincji Mutsu chce cię nabyć... Daje dobrą cenę... Miał prawo na jedną noc, żeby cię mógł z bliska obejrzeć!

— To żaden *zegen*! To jest złoczyńca, zbój! Ja go znam! — krzyknęła porwoczo.

— Ależ to nieprawda! Papiery ma w porządku, poświadczone przez tu-tejszą policję. To solidny człowiek, pieniądze położył na stół...

— O, panie, zmiłuj się! Wszystko, tylko nie to! Spełnię wszystko, co chcesz... tylko nie to! On mówi, Gompaci zginął... Być może, że on go zabił... Wszystko, tylko nie to! Będę robiła, co zechcesz, będę jak dawniej!

Ach, ucisz tylko ten ból, ten straszny ból, który mnie szarpie, a uczynię wszystko! — jęczała cicho, leżąc twarzą u jego nóg.

— Dziecko moje, ten ból nie tylko w Josziwarze! Ten ból w całym wszechświecie. Nie uciekniemy przed nim nawet w zaświaty, gdyż pójdzie za nami w przyszłe przeżycia... więc czy nie lepiej go tutaj zdusić i przetrwać?

Długo jeszcze leżała u jego nóg z twarzą wtuloną w matę. *Jarite* i *Ketsu-on* stukali do drzwi, ale *zegen* kazał im iść precz.

Wreszcie *Komurazaki* podniosła głowę, uklękła i poprawiła rozwiane włosy. Na zmalanej, wychudłej jej twarzyczce zagrał jak blade płomyk wymuszony uśmiech.

— Będzie, jak mówisz, dobry gospodarzu. Dowiedz się: czy żyje, gdzie jest? Nic więcej, nic więcej! — szepnęła drżąc z zimna i otulając nagie piersi w kimono.

— Doskonale, doskonale... Dowiem się, a teraz zwracam zadatek temu kupcowi i nawet dopłacę mu, co będzie chciał, za zerwanie umowy! Czy dobrze, dziewczyno? Jutro zaraz pošlę twemu ojcu wstrzymaną pensję!

*Komurazaki* skłoniła się nisko i wyszła.

## XXVI

Piękna jest jesień, kiedy rdzewieją dęby, buki i kasztany, kiedy klony zmieniają zieleń swych liści na złoto i purpurę, kiedy długie kędziory sumaków czerwienią się jak krew, a z warkoczy złotych wierzb płaczących spływają łzy złotego ich listowia. Jedynie sosny, tuje i cyprysocedry stoją ciemne jak zawsze wśród powszechnego pożaru kolorów, jedynie czarne skały bazaltu i lawy, lśniące po rosistej nocnej kąpeli, występują wyraźniej spod cienkiego muślinu przywiewdłych traw i gałązek. Ciemniejsze szafir morza, a powietrze i słońce, nie duszone już przez obłoki, które rozproszyły się i znikły na długo, przelewają się swobodnie pod błękitnozłotym stropem nad żółtymi rżyskami pól oraz sadami dojrzałych owoców.

Wtedy rozkwita chryzantema — ostatni pocałunek roku. Długo wzbiera i mocije się z twardą, łuszczącą powłoką pączek każdego kwiecica, nim ostatecznie pęknie z bolesnym westchnieniem i obnaży słodkie swe łono. Delikatne, długie płateczki rozprężają się natychmiast szeroko w chłodnym powietrzu, jakby starając się wessać w siebie i zatrzymać jak najdłużej resztę uchodzącego ciepła. A konary ich, mieniające się wszystkimi barwami ziemi i nieba, zawsze zwracają się za uchodzącym zimowym słońcem.

Josziwara tonęła w chryzantemach. Zawczasu ogrodnicy usunęli z grzęd inne kwiaty i zasadzili na ich miejsca całe gaje chryzantem. Teraz każdy dom kąpał się w kolorowej pianie czochratych koron, Królowej Wschodzącego Słońca. A każdy zakład miał inną barwę, inny odcień kwiatów i odpowiednie do tego girlandy wstążek, kolory latarni, ozdoby gzymsów i balkonów, inne powiewające na dachach sztandary. Nawet wewnątrz „klatek piękności” parawany z rysunkami starych mistrzów odpowiadały treścią i barwą wybranej odmianie kwiecica. Nawet suknie, hafty i pasy *jużo* były tylko dopełnieniem cudownego żywego tła...

W pogodne dni — a dni po większej części były teraz pogodne — od samego rana ulice Josziwary wypełniały tłumy. Przychodziły całe rodziny wszelkich klas i stanów wraz z żonami niosącymi na barkach małe dzieci, i nieletnimi dziewczątkami, z dorosłymi synami i córkami, zgrzybiali starcy i młodzi rycerze, robotnicy po drodze do swoich warsztatów, żołnierze

rze i oficerowie przybocznych straży dajmioskich, wysocy urzędnicy i dygnitarze i nareszcie magnaci we wspaniałych szatach, otoczeni pysznymi orszakami, błyskającymi cennym orężem, mieniącymi się cudnymi jedwabiami — wszystko to bieгло napaść czy niezwykłym widokiem krótkotrwałej piękności.

Ciżba, oczarowana, pijana prawie od zachwytu, rzucała się nieprzytomnie w tę lub ową stronę na każdy wyraz głośniejszego uznania. Ludzie mieszali się, zderzali, odchodzili, by za chwilę znowu powrócić, zamieniali z sobą ciche wyrazy lub głośne okrzyki, parli na siebie lub płynęli lawą, głębokim niewstrzymanym strumieniem, niby przyptyw morza rzucony w wąskie szczeliny skalistej wybrzeża.

A z miasta wciąż nadchodziły nowe i nowe gromady. Stukot sandałów, szmer głosów, brzęk metalu i szkła, nawoływania odźwiernych, śmiech kobiet, dźwięki stłumionej muzyki niby tysięcowny hymn radości leciał stąd na wsze strony, daleko, nad szafir oceanu, nad srebrną Sumida-gawę, ku pałającym jesienną czerwienią ogrodom Ueno, unosił się w górę niby pożądliwe westchnienie ziemi i nikł dopiero tam, gdzie w przeczystych błękitach szło wiecznie płonące słońce, topiąc po drodze różowe chemurki.

Nagle głębokie uderzenia gongu, jak cios szerokiego błyszczącego topora, wcisnęły się w ten ruch, w ten gwar, uciszając wszystko od razu.

— Idą!

Tłum stłaczał się, zamierał, podnosząc na palce i wyciągając szyje, ile się dało.

Najpierw biegli niebiesko ubrani słudzy torując drogę:

— Rozstąpcie się, rozstąpcie! Albowiem najpiękniejsze kwiaty rozkoszy, urodzone z blasku miesiąca i kapane w rosie wiosennej, odbywają swoją jesienną przechadzkę!

Już widać chwiejące się wysoko tarcze parasoli: żółte, błękitne, czerwone, dziergane haftem mieniącym się jak promienie poranku i wieczoru; kapią z ich otoczy złote i srebrne frędzle, rzucając na tłum deszcz blasków, kołyszą się po bokach wielkie jak chmurne zorze wachlarze...

Heroldowie w szarych jedwabnych kimonach z czarnymi kołnierzami, z herbami swych zakładów wyszytymi na szerokich rękawach, niosą znaki rzeźbione z drzewa, z kości słoniowej, z barwionej porcelany, emblematy bóstw darzących rozkoszą. Dalej idą latarnicy z ogromnymi lampionami zapalonymi, choć świeci biały dzień, po to jedynie, aby płomień wewnętrzny ożywił barwy i napisy ich kolorowych powłoczy. Dalej tancerze Dajkoku i Niwaka w maskach. Gejsze z samiusenami i kastanietami. Nareszcie ukazuje się *dżoro*. Idą wolniuchno na wysokich koturnach, tak że ich główki, oświecone promieniami złotych i sztyldkretowych szpilek, wetkniętych w czarne jak heban zwoje włosów, wznoszą się wysoko ponad tłumy. Wspaniałe długie szaty opływają ich młode kibicie sięgając ziemi, lecz młodziuchne ich *kamuro* unoszą pieczołowicie rękawy, składki i rąbki zdobne bezcennymi haftami, podążając rytmicznie za krokiem swych pań. Silni giermkowie podstawiają swe barki i dłonie pod wyciągnięte ręce idących piękności,

nisko chyląc się przed nimi, aby podebrać, usunąć z drogi każdą gałązkę, każdy kamyczek sprzed ich drobnych stóp.

Oto przechodzą poważnie jak kapłanki, zapatrzone w dal, każda inaczej ubrana, w inną barwę, w inny krój, w inny haft, w inny kwiat.

Tłum szepcze ich nazwiska:

— Oto Pani Dziewięćkroć Rozdarta, dziewczyna szlachetnej rodziny, skazana na dziewięć lat Josziwary za to, że zginęło dziecko dajmiosa powierzona jej pieczy!

— Oto Wczesna Wiosna, wychowanka Josziwary, wiecznie uśmiechnięta...

— Oto Złamaną Wachlarz, żona za niewierność oddana do Josziwary przez męża.

— Oto Uśmiech Bambusa, dziewczyna wiotka jak nikt w całym państwie...

— Oto Ulatujący Obłok, kto ją poznał, innej nie zechce!

— Oto Światło Miesiąca na Fali!

— Oto Ćwierkająca Cykada!

A wreszcie cudna Purpurowa Jaskółka, odziana w zwykłą swą szatę z purpurowej lamy, haftowaną polnymi kwiatami i kłosami zboża, ponad którymi polatywały czarne jaskółki, ścigając barwne motyle...

— Miała się nie ukazać! Więc nieprawda, że pokochała ronina?!

Poruszała się jak zaczarowana, jakby nie szła, a była raczej niesiona przez miłe jej *kamuro*. Mały Kłopot i Złota Jaszczurka szły z boków zapatrzone w nią jak w obraz. Drobną twarzyczką Jaskółki, z lekka ledwie natarta pianą migdałową, świeciła jak lampa alabastrowa, oświetlona wewnętrznym ogniem nieugaszzonego uczucia. Czarne, podłużne, aksamitne, szeroko otwarte oczy patrzyły nieruchomo w dal; na drobnych ustach, podznaczonych kruszynką złotego pudru, zastąpił uśmiech do płaczu podobny. Zapatrzona w jej tylko widome widziadło, zdawała się istotnie nie spostrzegać ani otaczającej gawiedzi, ani nawet słońca i kwiatów. I ta jej obcość, nieledwie niezmierność, pociągała i czarowała ze szczególną mocą, tak że cały tłum oddał jej nagle hold głębokim milczeniem zachwytu.

W obszernej sali herbaciarni Łódź na Morzu znów czyniono przygotowania do wspaniałej uczy. Jasno w niej było i barwnie, jak gdyby nie różańce lamp kolorowych rozwieszono tam u rzeźbionych belek sufitu i wzdłuż perłowych ścian, lecz rozpalono tam samą zorzę wieczorną. Girlandy chryzantem i zieleni, przewitych połyskliwymi wstążkami jedwabiu, tworzyły faliste półkola i festony poniżej światła, a jeszcze niżej na złotych matach rozsiadł się rój gości. Spotykały ich u szeroko rozsuniętych drzwi, wiodły na miejsca i służyły im, podając herbatę i ciastka, chmary gejsz w ciemnych mieniących się jak skrzydła rzadkich żuków kimonach, podpasanych barwnymi *obi* niby płomieniami ognia. Gości zebrano już dużo, gawędzili, kłęcząc szeregami pod ścianami lub skupiając w małe kółeczka znajomych, do których co chwila przysiadł się ktoś nowy, aby podzielić się nowinami, pośmiać z żartów, usłyszeć lub powiedzieć dowcip.

Przybył książę Goto Sikibu-no Kami z gronem pysznych wasali, a w chwili potem Mizuno Dżurozajemon z nie mniej wspaniałym orszakiem. Uka-



zała się właśnie Purpurowa Jaskółka, poprzedzona harfiarzami niosącymi jej złote *koto*, mając u swego boku Mały Kłopot i Złotą Jaszczurkę w takich samych, jak ona purpurowych sukniach.

Gdy zajęła miejsce między księciem Goto a Dżurozajemonem, zaczęto natychmiast roznosić stoliczki z kolacją i miedziane dzbanuszki z gorącą *sake*. Rozbrzmiał weselej gwar głosów przewity srebrem śmiechów kobiecych.

— Szczęśliwy dzień, który wybawił cię znowu z ukrycia! — mówił dwornie książę do Purpurowej Jaskółki. — Dajcie mi pędzel i papier, abym mógł napisać wiersz!

— Wywołały cię chryzantemy, jak niegdyś boginię Amaterasu zwierciadło! — dodał z drugiej strony Dżurozajemon. — Podajcie i mnie pędzel i papier, gdyż czuję ochotę do napisania *haj-kaj*!

— A ja mam już swoją... choć ona nie moja, lecz poetki Taka — odrzekła skromnie Purpurowa Jaskółka otwierając wachlarz:

Gdyby w przyszłości  
Chwilę uroku  
Zapomnieć było mu trudno —  
Niechbym umarła natychmiast!

Szmer pochwalny rozszedł się wśród przycichłego zebrania.

— Jeżeli po tych wierszach warto czytać nasze wiersze, to chyba tylko dlatego, że opiewają wdzięki twe, o pani! — zauważył książę Goto chyląc ku Purpurowej Jaskółce opastę cielsko.

— Dajcie mi zażaz *sake*, dużo mocnej *sake*, gdyż pod mój pędzel cisną się tylko same przekleństwa! Wyobraźcie sobie, że przeklęty Czobei z Banzuinu znowu splątał mi brzydkiego figła, ale ja mu nie daruję!

— Zapominasz, drogi Mizuno, że nie wolno tu mówić o niczym prócz o miłości i kwiatach! — upominał przyjaciela książę.

— Prawda! Należycie mi *sake*... Więc wam przeczytam mój wiersz:

Ponad twe wdzięki, o pani,  
Słodszą jest tylko zemsta rycerza...

— Znowu! — szepnął z niesmakiem książę. — Czy pozwolisz, piękna, ofiarować ci czarkę wina?

— Z wdzięcznością, książę! Byłeś zawsze dla mnie łaskawy!

— Byłem i jestem przede wszystkim zakochany!

Wypił *sake*, po czym czarkę opłukał w wodzie i napełniwszy ją własnoręcznie, podał Jaskółce.

— Wierz mi, że tęskniłem do ciebie...

— Wierz mi, książę, że najsilniejsza z miłości nie jest trwalsza niż tuman nad Sumida-gawa!

— Toteż u mnie ona trwa nie dłużej jak przez noc. Cha, cha — roześmiał się Dżurozajemon.

— Szczęśliwi zmienni! Moje uczucia są ociężałe jak moje ciało! — westchnął książę.

— Ciało jest bramą, przez którą wchodzi miłość... Brama Waszej Książęcej Mości jest bardzo... obronna! — roześmiała się kurtyzana.

— To prawda! — zawtórował jej wesoło książę. — Dlaczego nie tańczą jeszcze gejsze? Jakoś smutno!

— Napij się *sake*, ona jest dla miłości tym, co strączkowy pieprz dla ryby, cha, cha! — śmiał się coraz głośniej Dżurozajemon.

Tańczyły gejsze, grała muzyka, śpiewano chórem i z osobna, śpiewała nawet Purpurowa Jaskółka. Nie zgodziła się jedynie odśpiewać najpiękniejszej swej piosenki „o obłokach nad śniegami Fudzi”.

— Nie będę już nigdy więcej jej śpiewać! — odmówiła stanowczo.

— Tak, tak! Pamiętam! Panią wówczas przestraszył ten pijany żołdak, który nie wiadomo jak tu się dostał... Otóż, był to, jak się okazało, wysłannik Otokodate... Co chciał zrobić, nie wiadomo, ale pewnie jakąś niktymność, jakąś zdradę... bo gniazdem zła jest Otokodate! — krzyczał wymachując rękami Dżurozajemon. — Dajcie mi pokój! Nie przeszkadzajcie... Muszę przecież opowiedzieć! Okazało się, że ja miałem rację. Zawsze twierdziłem, że to są zbóje, czarny motloch, pełen zawiści, który chce nas gwałtem obedrzeć z naszych majątności, z naszych przywilejów zdobytych ofiarą krwi przez naszych przodków... Czy nie tak?

— Tak, tak! — rozległy się głosy.

— Opamiętaj się, Mizuno!

— Wszak przyszliśmy tu dla wesela i zabawy! — mitygował mówcę książę.

— Daj mi pokój! To mię też bawi! Stało się to, co przepowiadałem tu na tym miejscu nieraz. Wydało się, że to oni rozbijali na ulicach Jeddo nocami. Złapano jednego z nich ze znaczną sumą pieniędzy. Przyznał się przed sądem pod torturami i już stracony. Poszedłem oglądać głowę jego, wystawioną na desce cierpienia w Gaju Dzwonów... i wyobraźcie sobie, poznałem go od razu: był to ten sam żołdak, co ciebie przestraszył tu w tej samej sali, śliczna Purpurowa Jaskółko... Został więc słusznie ukarany! Cha, cha! I tak samo będzie ukarany ich niktymny przywódca Czobei. Moja w tym głowa! Ale co tobie, piękna pani? — zwrócił się nagle do Purpurowej Jaskółki, która pochyliła się w tył i o mało nie upadła na ręce przerażonych *kamuro*.

— Dziki człowieku! Czyż mamy obciąć ci głowę jak temu żołnierzowi, co przestraszył ją wówczas, abyś przestał gadać? — strofował dobrotliwie przyjaciela książę Goto Sikibu-no Kami.

— Nic, nic! Już mi lepiej! Dajcie mi *sake* po dwakroć — szeptała Purpurowa Jaskółka przychodząc do siebie. — Więc mówisz, Wasza Miłość, że to był ten sam żołnierz? Czy nie wie Wasza Miłość, jak on się nazywał...

— Owszem, wiem: on się przyznał sędziom do wszystkiego, był samurajem księcia Inabo i zwał się Sirai Gompaci. Zabił towarzysza z rodziny Zempaczi, stał się roninem i wpadł w sieci Otokodate, która go uczyniła zbójcem...

— Książę każe podać mi arfiarzom *koto*... Mogę już śpiewać wam „o obło-

kach nad szczytem Fudži-jamy...” — szepnęła z bladym uśmiechem do księcia Goto Sikibu-no Kami Purpurowa Jaskółka.

*Zegen* miał zarobek tego wieczora ogromny, gdyż wszystkie prawie *dżoro* Trzech Morskich Brzegów zostały wezwane pod koniec uczty do Łodzi na Morzu.

*Jarite* od razu złagodniała, *zegen* nazajutrz klęcząc przed księgami rachunkowymi czynił skwapliwie rozrachunki i wesoło klepał się po udach. Toteż życzliwie przywitał Purpurową Jaskółkę, kiedy weszła cichutko do biura i uklękła przy drzwiach.

— Panie, wiem już teraz, że zginął. Więc mi pozwól pójść pomodlić się do świątyni Innari!

— Jeszcze łyzy nie obeschły, już pszczoła w twarz kłuje! — zawołał wesoło. — Dobrze, możesz iść... A kto z tobą pójdzie?!

— Chciałabym, żeby poszła Ulatujący Obłok!

— Dobrze, niech idzie, ale wracajcie na godzinę Węża, bo trzeba odrobić poniesione straty w czasach smutku...

— Wrócimy nawet wcześniej!

*Zegen* kazał niezwłocznie *jarite* wydać dziewczynom przepustki.

Stara była bardzo niezadowolona:

— Pamiętaj, że gdy pożałujesz, będzie już za późno! Niedobrze tej dziewczynie z oczu patrzy, niedobrze!

— Szczęście przychodzi przez bramę wesołą! Czy jej przeszkodzisz tutaj zrobić sobie coś złego? Nie! Więc niech sobie ulży, niech się pomodli, wyplacze, niech się utuli! — bronił się *zegen*.

Ale kiedy godzina Węża minęła, a potem przyszły godziny Konia, Koguta i nareszcie Świni, kiedy wszystkie *ojran* powinny być na posterunkach, a zwolnione dziewczęta się nie zjawily — ogarnął *zegen* niepokój i dał znać do policji josiwarskiej.

Zanim jednak ta rozpoczęła poszukiwania, wróciła niespodzianie Ulatujący Obłok i z płaczem zawołała:

— Nie ma Purpurowej Jaskółki, nie ma! Oto list, jaki kazała mi oddać... Gdzież ten list?! Miłosierna Kwanon! Zgubiłam go! Och, ja nieszczęśliwa! — biadała dziewczyna przetrząsając swoje rękawy.

— Mniejsza o to! Odpowiadaj zaraz: gdzie Purpurowa Jaskółka?! Dlaczego nie przybiegłaś zaraz, jak się nie zgodziła wracać do Innari?

— Bo nie wiedziałam... bo... wszystko stało się tak nagle... i... zupełnie inaczej, niż można było przewidzieć... Ach, ja nieszczęśliwa!

— Kiedyż wreszcie się dowiem, jak było? Gdzie dziewczyna? Gdzie ją zostawiłaś?! — krzyczał coraz głośniejszy *zegen*. — Trzeba będzie zaraz zarządzić pościg! — zwrócił się do obecnego naczelnika policji.

— Odpowiadaj: gdzieście się rozstały? — spytał groźnie naczelnik.

— Opowiem, wszystko opowiem! Dajcie nos wytrzeć... Otóż przyszliśmy do Innari, zapaliliśmy po dwie świeczki, pomodliliśmy się, ale krótko. Potem wyszliśmy przed *tori*, było ładnie, sucho, słonecznie... Mówi Purpurowa Jaskółka: „Mamy jeszcze dużo czasu, pójdziemy do Gaju Dzwonów.

Obejrzymy głowę Gompaci. Ty wiesz, że on tam stracony? Pamiętasz go?” „Pamiętam!” — mówię. — „To stąd niedaleko! Jeżeli nawet spóźnimy się z powrotem, to *zegen* wybaczy, ja mu wytłumaczę, że musiałam, gdyż bez tego serce mi pęknie!” Czyż mogłam jej odmówić? Pobiegłyśmy, ile nóg starczyło. Około południa już tam byliśmy. Ale wśród strasznych głów na desce cierpienia nie znalazłyśmy głowy Gompaci. Purpurowa Jaskółka z początku zaczęła się śmiać, cieszyć, klaskać w ręce. Wołała: „A co, mówiłam, że kłamią! Chodźmy teraz do Otokodate. Tam się wszystkiego dowiemy. Pójdę do samego ojca Czobei, padnę mu do nóg, on mi powie, gdzie Gompaci. Znajdę go. Będzie inaczej, wszystko będzie inaczej!” Poszłyśmy do Otokodate. Było już późno, wieczór zapadał. Ale stało się dobrze, gdyż ojciec Czobei właśnie wieczerał. Zaprosił nas do osobnego pokoiku. Tu mu Purpurowa Jaskółka upadła do nóg i powiedziała, kim jest. „Bądź mężna — powiedział do niej — Gompaci istotnie stracony w Gaju Dzwonów. Wykupiłem ciało jego wraz z głową i pogrzebałem je w Meguro, w ogrodzeniu świątyni Borondzi”. Nie płakała więcej Purpurowa Jaskółka. Upadła starem do nóg dziękując — potem wyszła. Już się mocno ściemniało. „Wracajmy!” — mówię. Lecz ona macha odmownie ręką. „Idę do Meguro!” — mówi. Co miałam robić, poszłam z nią. Do Meguro daleko. Byłyśmy tam około północy. Wszystko zamknięte, pusto, psy szczekają. Trafiliśmy wypadkiem na przechodniów, którzy z trudem wielkim zrozumieli, o co nam chodzi, i wskazali nam świątynię. Szczęściem wszedł księżyc. Przy jego blasku odszukałyśmy świeżą mogiłę. Ja uklękłam, płacząc, bo ten Gompaci miły był bardzo i piękny. Purpurowa Jaskółka padła na mogiłę. Długo leżała tak bez ruchu. Zrobiło mi się zimno. Mówię: „Chodźmy, już późno! *Zegen* będzie się bardzo gniewał”. Wstała, spojrzała na mnie jak błędna i znowu padła na mogiłę. Znowu mówię po jakimś czasie: „Chodźmy, już późno!” Podniosła się, patrzy na mnie tak dziwnie, potem podaje mi list, przygotowany zawczasu: „Oddaj, mów, *zegenowi!*” „Jak to oddaj; to ty nie pójdiesz?” „Nie — mówi — zostanę tutaj!” „Miłosierna Kwanon! Co ty mówisz? Jak ja ośmielę się stanąć sama przed *zegenem?*” „Powiedz mu, że tu mnie znajdzie!” „Kiedyż ten list napisałaś?” „Dawno napisałam”. „Ach, ach! Co ty sobie myślisz?!” Długo stałam, prosiłam, tłumaczyłam. Nic nie pomagało. Straszylam ją zbrojami, włóczęgami, duchami. Nic nie pomagało! Odeszłam, myślałam, że się na ostatku złęknie. Nie! Wróciłam, żal mi się jej zrobiło. Padłam jej do nóg, proszę, błagam, nie! Wtedy zrozumiałam, że nic nie pomoże, że nastał jej los... i poszłam...

Naczelnik policji i *zegen* wzięli zaraz ludzi i w nocy jeszcze udali się na wskazane miejsce, ale przybyli tam dopiero nad ranem. Znaleźli Purpurową Jaskółkę leżącą na świeżej mogile w ogrodzeniu świątyni Borondzi. Z początku wydało się im, że śpi, ale potem przekonali się, że nie żyje... Mały sztylet, który nosiła we włosach i który zwróciła jej *jarite* na wielką jej prośbę po uczcie ostatniej, tkwił po rękojeść w jej sercu, a obok na zmoczonej rosą ziemi leżał list. *Zegen* podniósł go i przeczytał:

„Piszę ten list, gdyż byliście dobrzy dla mnie, panie. Wiecie o mej miłości

*i wiecie o moim nieszczęściu. Obiecywałam sobie z moim ukochanym połączyć się, jeżeli nie w tym, to w przyszłym życiu. Idę go szukać na drodze Meido przez łańcuch wcieleń. Dzięki wam za troskliwość i pieczyotę, jakimi otaczaliście mnie w dni powodzenia i stokroć więcej dziękuję wam, panie, za współczucie okazane mi w dni cierpienia. Nie potępiajcie mnie, choć nie spełniłam swoich zobowiązań, choć naraziłam was na straty, lecz nie mieliście ze mnie pożytku, gdyż wszystko, co podobało się ludziom, uleciało ze mnie i został tylko szkielet pokryty ciałem. Darujcie mi moje słabości, wady i omyłki. Niech litość wasza przewyższy góry i morza. Wypełnijcie ostatnią moją prośbę, dobry panie, i każcie mnie pochować razem z ukochanym, a z głębi cichej mogiły będę ślać wieczne wam dzięki...*

*Trzykroć upadam do stóp twych, panie...*

*Komurazaki."*

Długo *zegen* obracał w ręku list, odczytywał go znowu i spoglądał żałośnie na śliczne ciało dziewczyny.

— Co pan zamierza uczynić? — spytał wreszcie naczelnik policji.

— Nie wiem...

— Prawo każe, żeby ciało tej grzeszniczki zostało wystawione na wałach Josziwary i tam zgniło na oczach wszystkich dla odstraszającego przykładu. Ale pan możesz zrzec się tego prawa!

— Zrzekam go się! — mruknął *zegen*.

— W takim razie trzeba uwiadomić rodziców, niech ją pochowają!

— Uwiadomimy rodziców. Ale oto idą kapłani ze świątyni Borondzi, opowiemy im rzecz całą i dowiemy się, co oni o tym myślą.

Kapłani wysłuchali z wielką żałością opowieści *zegeny*, odczytali list, po czym poprosili naczelnika policji i *zegeny* do świątyni i tam przy filiżance herbaty opowiedzieli o okrutnej śmierci Gompaci, o jego liście do Komurazaki, którego nie zdążyli jej doręczyć, o współczuciu powszechnym, jakie wzbudził zbłąkany na drodze życia młodzieniec. Po naradzie wszyscy zgodnie postanowili, że należy wypełnić prośbę umarłej. Ponieważ mnisi byli ubodzy, *zegen* dał im trochę pieniędzy na pogrzeb. Tknięci litością pochowali ciała kochanków nie tylko w jednej mogile, lecz w jednej trumnie, usunąwszy wedle zwyczaju w ostatniej chwili drewnianą przegrodę między ciałami, aby nic nie dzieliło kochanków...

Koniec